

# J Sébastien JAPRISOT



**Przedział  
morderców**

*C&T*

# *Japrisot Sébastien*

## *Przedział morderców*

Najpierw były zwłoki odkryte w przedziale nocnego pociągu z Marsylii do Paryża.  
Potem lista współpasażerów denatki. I nic, co by wskazywało na jakieś powiązania tych osób z Georgette Thomas.  
A potem kolejno następowało najgorsze... Ginęli jeden po drugim ci, którzy byli wtedy w przedziale.  
Inspektor Grazzi wie tylko jedno: znajdzie motyw - dopadnie mordercę...



## TAK TO SIĘ ZACZYNA..

Nadjeżdżał pociąg z Marsylii.

Dla człowieka, który miał za zadanie sprawdzić, czy wszystko jest w porządku na korytarzach i w opustoszałych przedziałach, był to „Phocean” 7.50 („Potem można sobie coś przekąsić”). W poprzednim — „Annecy” 7.25 — znalazł dwa płaszcze, parasol i uszkodzenie aparatury regulującej ogrzewanie. Pochylał się właśnie nad złamaną rączką, gdy przez okno zobaczył „Phocean”, zatrzymujący się po drugiej stronie peronu.

Była sobota, początek października, dzień bardzo słoneczny i zimny. Podróżni wracający z Południa, gdzie mogli się jeszcze kąpać w morzu i opalać, byli zaskoczeni widokiem pary, jaka wydobywała się z ich ust razem ze słowami powitania.

Człowiek, idący korytarzami wagonów „Annecy”, liczył sobie czterdzieści trzy lata, na imię miał Pierre, koledzy nazywali go Bébé; wygłaszał poglądy skrajnie lewicowe, myślał o strajku planowanym na najbliższy wtorek i o tym wszystkim, co jak zwykle działo się o 7.53 na Gare de Lyon w ten nieco chłodny ranek sobotni, a poza tym był głodny i marzył o filiżance mocnej kawy.

Ponieważ cały skład „Phoceena” miał i tak zostać na torze dobre pół godziny, Pierre, wysiadając z „Annecy”, zdecydował się najpierw wypić kawę i dopiero potem „odwalić” pociąg marsylski. O 7.56 był w stołówce kolejowej na samym końcu toru M — granatową czapkę zsunął na tył głowy, w rękę trzymał żółtą filiżankę z czerwonym szlaczkiem, pełną gorącej kawy — i w towarzystwie kontrolera-krótkowidza oraz robotnika z północnej Afryki rozprawiał o tym, co da im strajk wyznaczony na wtorek, kiedy nikt, dosłownie nikt, nie jeździ pociągami.

Mówił wolno, spokojnie, tłumaczył, że ze strajkiem to trochę tak jak z reklamą: rzeczą najważniejszą jest trafić do wyobraźni mieszczuchów. Obaj słuchacze przyznawali mu oczywiście rację. Rację bowiem łatwo mu przyznawano. Był wysoki, masywny, głos i ruchy miał powolne, oczy wielkie, odmładzające. Cieszył się opinią faceta spokojnego, który jednak potrafi się odciąć, gdy go ktoś zniecka zaczepi.

O 8.05 szedł już korytarzami „Phoceena”, rozsuwał i zamykał oszklone drzwi przedziałów.

W wagonie nr 4, w trzecim przedziale drugiej klasy, licząc od końca, znalazł na kuszetce żółto-czarną damską apaszkę. Rozpostarł ją i obejrzał: deseń przedstawiał zatokę nicejską. Przypomniało mu to Niceę, Promenadę Anglików, kasyno, małą kawiarenkę w dzielnicy Saint-Roch. W Nicei był dwa razy: na koloniach letnich, kiedy miał lat dwanaście, i w podróży poślubnej, kiedy miał lat dwadzieścia.

Nicea.

W następnym przedziale znalazł trupa.

Chociaż w kinie na filmach kryminalnych zwykle zasypiał, teraz wiedział od razu, że to trup. Kobieta leżała w poprzek dolnej prawej kuszetki, nogi miała dziwacznie zgięte, tak że stóp nie było widać pod ławką, światło dnia odbijało się w jej otwartych oczach, ubranie — ciemny kostium i biała bluzka — było wprawdzie w nieładzie, ale nie większym, jak mu się wydało, niż każdej innej pasażerki, która prześpała noc na kuszetce, wcale się nie rozbierając. Lewa ręka z wystającymi kostkami opierała się o krawędź ławki, prawa dłoń leżała płasko na cienkim materacyku; ciało zastygło jakby w momencie, gdy kobieta usiłowała wstać. Podwinięta spódnica tworzyła trzy fałdy nad kolanami. Elegancki pantofel — szpilekowy obcas — został na szarym pledzie kolejowym, zrulowanym w nogach kuszetki.

Pierre zaklął szpetnie i przez dwanaście sekund przyglądał się zwłokom. W trzynastej sekundzie przeniósł wzrok na opuszczoną zasłonkę w oknie przedziału. W czternastej sekundzie spojrzął na zegarek.

Była 8.20. Znów zaklął, zastanawiając się, kogo należy powiadomić, i sięgnął do kieszeni po klucz, by na wszelki wypadek zamknąć przedział.

Pięćdziesiąt minut później, gdy uniesiono zasłonkę, słońce oświetliło kolana leżącej kobiety i zaczęły trzaskać flesze fotografa z Urzędu Śledczego.

Kobieta była brunetką, młodą, raczej wysoką, raczej szczupłą, raczej ładną. Na szyi, nieco powyżej wycięcia bluzki, widniały dwa ślady duszenia, przy czym niższy składał się z wielu małych, okrągłych, stykających się z sobą plamek, a wyższy, głębszy i jednocześnie szerszy ślad otaczała ciemna opuchlizna. Lekarz powoli przesunął po niej palcem i zauważył, że nie jest to tylko zsinienie skóry: ciemna pręga wskazywała, iż posłużono się tu chyba brudnym paskiem.

Trzej mężczyźni w płaszczach, stojący przy doktorze, pochylili się, żeby zobaczyć. Rozdeptywane koraliki znowu zatrzeszczały na podłodze przedziału. Było ich wszędzie pełno; rozsypane — niby mikroskopijne okruchy słońca — na prześcieradle, dokoła zmarłej kobiety, na przeciwległej kuszetce, na podłodze, a nawet o metr wyżej, na wąskim parapecie okna. Później znaleziono je również w prawej kieszeni żakietu. Były to tandetne błyszczące perełki z naszyjnika kupionego w domu towarowym.

Lekarz powiedział, że przypuszczalnie morderca znajdował się początkowo z tyłu, za ofiarą, zarzucił jej na szyję pasek i przy zaciskaniu go rozerwał naszyjnik. Na karku nie dostrzeżono sińców, kręgi szyjne były nietknięte. Natomiast jabłko Adama i mięśnie boczne zostały silnie uszkodzone.

Bronić się musiała krótko i słabo. Paznokcie pokryte były lakierem, który odprysnął tylko na jednym paznokciu środkowego palca prawej ręki. Potem, umyślnie lub przypadkowo podczas szamotania się, morderca przewrócił kobietę na kuszetkę. Udusił ją, zaciskając pętlę na szyi. Śmierć nastąpiła prawdopodobnie w ciągu dwóch, trzech minut, co najmniej dwie godziny temu, na krótko przed zatrzymaniem się pociągu na dworcu. Jeden z obecnych w przedziale mężczyzn usiadł na brzegu lewej dolnej kuszetki, z rękoma w kieszeniach płaszcza, w kapeluszu zsuniętym z czoła, i zapytał o coś, ledwie poruszając ustami. Lekarz uniósł ostrożnie głowę kobiety i, siadając koło niej bokiem, powiedział dla świętego spokoju, że oczywiście jest jeszcze za wcześnie na jakiegokolwiek wniosek, ale według niego morderca, w takiej pozycji, w jakiej się znajdował, wcale nie musiał być ani wyższy, ani znacznie silniejszy od

swej ofiary; równie dobrze mogła to zrobić kobieta, ale kobiety raczej nie duszą.

Dobra. Obejrzy zwłoki przed południem w Instytucie. Wziął swoją teczkę, życzył siedzącemu mężczyźnie powodzenia, wyszedł i zasunął za sobą drzwi przedziału.

Siedzący mężczyzna wyciągnął z kieszeni prawą rękę z trzymanym między dwoma palcami papierosem. Jeden z obecnych podał mu ognia i także wsadził ręce w kieszenie płaszcza, opierając czoło o szybę.

Na peronie, tuż pod oknem wagonu, ludzie z Urzędu Śledczego palili w milczeniu papierosy, czekając, aż tamci opuszczą przedział i oni z kolei będą mogli zabrać się do roboty. Nieco dalej, w grupce złożonej z policjantów, paru gapiowatych urzędników i sprzątaczy kolejowych, rozprawiano z ożywieniem. Nosze z impregnowanego płótna, o drewnianych, wypolerowanych rączkach, stały oparte o ścianę wagonu przy drzwiach wejściowych. Mężczyzna wyglądający przez okno wyjął chustkę z kieszeni płaszcza, wytarł nos i oznajmił, że złapał grypę.

Siedzący za nim, ten w kapeluszu, odparł, że to bardzo niedobrze, ale niestety trzeba nieco wstrzymać się z tą grypą, bo przecież ktoś musi się tym tutaj zająć. Zwracał się do mężczyzny przy oknie, nazywając go Grazzi; właśnie on, Grazzi — rzekł — ma się tym zająć. Wstał, zdjął kapelusz, ściągnął schowaną pod kapeluszem chustkę, hałaśliwie wytarł nos i oświadczył, że on także, mój Boże, złapał grypę; włożył na głowę kapelusz, znów chowając pod nim chustkę, i powiedział swym ledwie zrozumiałym, stłumionym przez katar głosem, że skoro już Grazzi ma to robić, to najlepiej niech się od razu bierze do dzieła. Torebka. Odzież. Walizka. Primo, kim była ta cizia. Secundo, skąd jechała, gdzie mieszka, kto ją zna itd. Tertio, lista rezerwacji kuszetek. Raport wieczorem, na dziewiętnastą. Nie zaszkodzi, jeśli będzie w nim trochę mniej bzdur niż zwykle. Śledztwo prowadzi ten łobuz Fregard. „Rzecz w tym, żeby to odpowiednio spreparować. Rozumiesz?”

Wyjął z kieszeni rękę, zatoczył nią krąg, uważnie wpatrując się w mężczyznę przy oknie, ale tamten się nie odwrócił.

No dobra, powiedział, musi jeszcze zobaczyć się z Trucmuchaem w sprawie automatów do gier, no dobra, niech Grazzi sam sobie radzi.

Trzeci z obecnych, zbierający rozsypane na podłodze perełki, spojrział w górę: „Szefie — zapytał — co teraz mam robić?” Najpierw usły-

szął potężny śmiech, potem zakatarzony głos: „Nawlekać to, coś zebrał, nieszczęsna łajzo. Cóż innego mógłbyś robić?”

Mężczyzna w kapeluszu spojrzał znów na tego przy oknie, który ubrany był w granatowy płaszcz z powycieranymi rękawami: szczupły, bardzo wysoki, miał czarne, matowe włosy i przygarbione plecy — skutek trzydziestu pięciu czy czterdziestu lat codziennej uległości. Szyba na wprost jego twarzy pokryła się mgiełką oddechu. Chyba niewiele przez nią widział.

Ten w kapeluszu powiedział, żeby Grazzi nie zapomniał przypadkiem sprawdzić innych przedziałów, bo nigdy nie wiadomo... i nawet jeśli nic się tam nie znajdzie, to przynajmniej protokół nabierze wagi. Trzeba go odpowiednio spreparować.

Chciał dorzucić coś jeszcze, ale wzruszył ramionami, powiedział tylko: „Mój Boże, niezlą mam grypę... Aty, poławiaczu pereł, zamelduj się u mnie w Prefekturze koło południa, ciao” — i wyszedł, nie zasuważąc za sobą drzwi.

Mężczyzna stojący przy oknie odwrócił się, miał bladą twarz, niebieskie oczy, wzrok spokojny. „Ktoś tu naprawdę zasługuje na potężnego kopniaka” — rzekł do kolegi, który pochylił się nad kuszetką, gdzie leżały zwłoki.

Mały kołonotatnik, papier kratkowany, czerwona wytarta okładka. Kupiony kiedyś za sto starych franków w Bagneux, w niewielkim sklepiku, którego właściciel upijał się i tłukł żonę.

Grazzi utworzył właśnie ów notes w jednym z biurowych pokoi na pierwszym piętrze budynku dworcowego, aby zapisać wstępne spostrzeżenia. Dochodziła jedenasta. Wagon nr 4 wraz z całym składem pociągu marsylskiego skierowany został do zajezdni. Trzech ludzi w rękawicach, z plastikowymi torbami, przetrząsało go centymetr po centymetrze.

„Phocéen” wyjechał z Marsylii w piątek, 4 października o godzinie 22.30. Zatrzymywał się jak zwykle w Awinionie, Valence, Lyonie i Dijon.

W przedziale, w którym znaleziono zwłoki, było sześć kuszetek; numery od 221 do 226. Kolejność numeracji zaczynała się od dołu, numery nieparzyste znajdowały się po lewej stronie, a parzyste po prawej od

wejścia. Pięć miejsc wykupiono na początku trasy w Marsylii. Tylko numer 223 był wolny aż do Awinionu.

Zamordowana leżała na kuszetce nr 222. Znaleziona w jej torebce miejscówka wskazywała, że kobieta wsiadła do pociągu w Marsylii i zajęła kuszetkę nr 224, chyba że się z kimś zamieniła.

W drodze raz tylko sprawdzano bilety w wagonach drugiej klasy: do postoju w Awinionie, między godziną 23.30 a 0.30. Obu konduktorów, którzy tę kontrolę przeprowadzali, udało się złapać telefonicznie dopiero wczesnym popołudniem. Stwierdzili, że w przedziale był komplet, niestety jednak na żadnego z pasażerów nie zwrócili specjalnej uwagi.

**Quai des Orfèvres, godzina 11.35.**

Ubranie, bieliznę, torebkę, walizkę, pantofle i obrączkę ofiary złożono na biurku inspektora, wcale zresztą nie tego, który miał prowadzić dochodzenie. Była tu także kopia maszynopisu z wykazem rzeczy sporządzonym przez stażystę Bezarda.

Włóczęga, przesłuchiwany przy sąsiednim stole, rzucił nieprzyzwoitą uwagę na temat papierowego worka, który pękł w czasie transportu na piętro i z którego wystawał teraz kawałek białej tkaniny. Grazzi ostro przywołał go do porządku, na co włóczęga odpowiedział, że trudno, skoro nikt się tu nie zna na żartach, on chętnie przestanie dowcipkować, a nawet chętnie sobie stąd pójdzie; siedzący naprzeciw inspektor uznał wówczas za wskazane zamierzyć się na oberwańca, co widząc panusia, występująca w charakterze świadka, który „od początku do końca” był obecny przy jakimś ulicznym wypadku, stanęła natychmiast w obronie „pokrzywdzonych”. Wszystko to odbywało się przy akompaniamencie hałasu spadających na podłogę przedmiotów, które Grazzi usiłował przenieść, za jednym zamachem, na własny stół z cudzego, gdzie je przez pomyłkę umieszczono.

Zanim się tamci uspokoili, Grazzi poznał już niemal połowę zawartości worka; sprawdzając rzeczy, rozkładał je na stole, na krzesłach, na podłodze, na sąsiednich biurkach, a koledzy klęli, że bałwan nie potrafi zmieścić się na swoim miejscu.

Spis rzeczy uzupełniało parę szczegółów: w prawej kieszeni ciemnego zakietu była jeszcze jedna perelka; dołączono ją do pozostałych, pozbieranych w wagonie, przeznaczonych do zbadania; odciski palców



na torebce, pantoflach, walizce oraz na rzeczach w torebce i walizce były przeważnie odciskami palców ofiary, natomiast inne należało porównać ze śladami w przedziale kolejowym, co wymaga żmudnej pracy, ponieważ są niewyraźne, pozacierane; brakujący guziczek bluzki, znaleziony w przedziale, będzie zbadany razem z perełkami; w torebce znajdowała się kartka papieru o wymiarach 21x27 cm, złożona we czworo, pokryta niezdarnymi i nieprzyzwoitymi rysunkami z podpisem: „Lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu” — bez wątplenia był to rebus. Bezard doszukał się w nim błędu i czternaście linijek maszynopisu poświęcił wyjaśnieniu, na czym ten błąd polega; ci w Wydziale Śledczym, na górze, nieźle się zapewne bawili, mieli przynajmniej temat do dowcipów na cały dzień.

Do południa rebus obiegił już wszystkie piętra; komisarz, siedząc przy swoim biurku, w kapeluszu na głowie, proponował inne wersje rozwiązania, ilustrując je rysunkami; słychać było jego rechot stłumiony przez katar, trzech inspektorów-wesołków rechotało wraz z nim. Kiedy Grazzi, przygarbiony, wycierając nos, wszedł do pokoju, zaległa cisza. Komisarz zsunął kapelusz na tył głowy i powiedział: „No, dobra, chłopcy, muszę pogadać z naszym Sherlockiem Holmesem; sądząc po jego minie, ze sprawą nie jest najlepiej. Teraz spływajcie”. Nie oderwał ołówka od pokrytej drobnymi rysunkami kartki; bruzdy w kącikach ust i fałdy koło oczu były niczym koleiny wyżłobione przez jego rubaszny śmiech. Ze spuszczonej powiekami nadal coś kreślił machinalnie, podczas gdy Grazzi, oparty o kaloryfer, odczytywał ponurym głosem zapiski z czerwonego kołonoatnika.

Zamordowana nazywała się Georgette Thomas. Lat trzydzieści. Urodzona we Fleurac (Dordogne). Wyszła za mąż w dwudziestym roku życia, za Jacques'a Lange. Rozwiodła się w cztery lata później. Wzrost 163 cm. Włosy czarne, oczy niebieskie, cera jasna, znaków szczególnych brak. Była przedstawicielką firmy kosmetycznej „Barlin”. Mieszkała przy ulicy Duperré 14. W Marsylii przebywała od wtorku 1 października do piątku wieczorem 4 października. Prezentowała tam swój towar. Zatrzymała się w Hôtel des Messageries przy ulicy Félix-Pyat. Jadała w różnych restauracjach, przy ulicy Félix-Pyat i w śródmieściu. Pensja miesięczna 922,58 F, po potrąceniach. Na koncie bankowym — 774,50 F. Gotówka w torebce — 342,93 F i 1 dolar kanadyjski. Rabu-

nek nie mógł być motywem zbrodni. Do sprawdzenia pozostają adresy z notesu denatki. Wśród jej rzeczy nic godnego uwagi: puste opakowanie po aspirynie, które mogła śmiało wyrzucić, kilka fotografii tego samego dziecka, jakiś w miarę czuły list, dotyczący niedoszłego spotkania, zatytułowany „Moja przepióreczko”, bez daty i podpisu — to wszystko.

Komisarz powiedział: dobra, wszystko jasne jak słońce, teraz trzeba przycisnąć ludzi. Z kieszeni marynarki wyciągnął pogniecionego papierosa, wyprostował go w palcach. Zaczął szukać ognia. Grazzi podszedł, by mu go podać. Pochylając się, żeby przypalić, komisarz powiedział: primo, ulica Duperre, jeśli to prawda, że tam właśnie mieszkała. Wyjął papierosa z ust i wykaszał, że powinien by przestać palić. Secundo, firma „Barlin”. Tertio, odszukać krewnych, niech ją rozpoznają.

Spojrzał na leżącą przed nim zarysowaną kartkę i z uśmiechem, który z daleka powracał mu na usta, dodał, że to zabawne. A co Grazzi myśli o tym rebusie?

Grazzi nie myślał nic.

Komisarz powiedział „dobra” i wstał. Ma się spotkać z synem na obiedzie w bistro, w Halach. Jego syn zamierza studiować sztuki piękne. Dwadzieścia wiosen i pusto we łbie. Trąbka i sztuki piękne, poza tym żadnych zainteresowań. Kawał bęcwała z tego synalka.

Wkładając płaszcz, komisarz przystanął i, podnosząc palec, raz jeszcze zapewnił Grazziego, że może mu wierzyć: ma syna bęcwała. Co, niestety, nie osłabia ojcowskich uczuć. Grazzi może mu wierzyć: ten gagatek rozdziera ojcu serce.

No, dobra, wobec tego spotkają się po południu. Aha, a lista rezerwacji? Tym na kolei nigdy się nie spieszy. W każdym razie nie warto przeciążać laboratorium taką ilością analiz. Nie potrzeba fachowca, żeby jakiejś cizi ścisnąć gardziółko: Zanim on, Grazzi, w ogóle ruszy z miejsca, tamten nieszczęśnik sam mu padnie w ramiona: „Kochałem ją” itd. Pozostanie tylko odpowiednio przyrządzić sprawę ze względu na tego łobuza Fregarda.

Komisarz zapinał płaszcz, pod którym wydymał mu się brzuch, wielki jak u ciężarnej kobiety, i wełniany szalik w czerwoną kratę; uważnie wpatrywał się w krawat Grazziego. Nigdy nie patrzył nikomu prosto w twarz. Miał ponoć jakąś wadę wzroku wskutek wypadku

w dzieciństwie. Ale nie sposób wyobrazić sobie, że w ogóle był kiedyś dzieckiem.

W korytarzu komisarz znowu odwrócił się do Grazziego, który wchodził już do pokoju inspektorów, i powiedział, że jeszcze coś mu się przypomniało: tę sprawę gier automatycznych można by właściwie zamknąć, za dużo w niej zamieszanych ludzi. Nie warto ryzykować, dopóki nie przekaze się całej afery tym z kontrwywiadu. A gdyby napatoczył się tu jakiś pismak, dobrze byłoby napuścić go na naszą łalunię z pociągu, wygląda jak śpiący aniołek, natomiast o innych sprawach — ani pary z ust.

**Pierwszy** pismak dopadł Grazziego o godzinie 16.00, gdy Grazzi wracał z ulicy Duperré w towarzystwie jasnowłosego poławiacza pereł. Reporter miał poważny uśmiech i minę szczęściarza na etacie w „France--Soir”.

Grazzi obdarował go nowiną o kobiecie uduszonej na Gare de Lyon, ze wszystkimi, przyjętymi w takich razach zastrzeżeniami, i hojnym gestem wyciągnął ze swego portfela odbitkę zdjęcia z dowodu osobistego Georgette Thomas, która wyglądała na fotografii tak, jak w chwili gdy ją znaleziono martwą: starannie umalowana, dobrze uczesana, bardzo do siebie podobna.

Dziennikarz gwizdnął, zapisał dane, wysłuchał uważnie, spojrzął na zegarek i powiedział, że zaraz biegnie do Instytutu Medycyny Sądowej, gdzie ma kumpla, a jeśli mu szczęście dopisze, złapie w Instytucie dozorczynię z ulicy Duperré, którą tam wezwano, by zidentyfikowała zwłoki. Pozostaje jeszcze pięćdziesiąt minut, zdąży więc podrzucić materiał do ostatniego wydania.

Ruszył galopem i w ciągu następnego kwadransa wszystkie inne dzienniki w Paryżu wiedziały o wypadku. Ale nie miało to już dla nich znaczenia — nazajutrz była niedziela.

O godzinie 16.15 Grazzi, który właśnie zamierzał telefonować, aby przekonać się, co dadzą adresy z notesu ofiary, rozpinając płaszcz, spostrzegł na swym biurku ręcznie wypisaną listę rezerwacji kuszetek 221-226, w pociągu „Phocean”. Sześciu pasażerów zamówiło je na dobę lub na dwie doby wcześniej.

221 Rivolani  
222 Darrès  
223 Bombât  
224 Thomas  
225 Garaudy  
226 Cabourg piątek  
czwartek  
czwartek  
piątek  
czwartek  
środa 4 października 3 października  
3 października  
4 października 3 października 2 października  
Marsylia  
Marsylia  
Awinion  
Marsylia  
Marsylia  
Marsylia

Przysługa za przysługę — Grazzi zadzwonił do Instytutu Medycyny Sądowej, żeby poprosić dziennikarza o włączenie tej listy do notatki. Głos w słuchawce powiedział „chwileczkę”, a Grazzi odpowiedział, że czeka.

René Cabourg od lat ośmiu nosił ten sam kapelusz z szeroką patką z tyłu. Przez większą część roku wkładał włóczkowe rękawiczki, sweter z długimi rękawami i gruby szalik, który deformował mu plecy.

Był zmarzluchem, łatwo się przeziębiał! i od pierwszych chłódów jego nastrój, i tak posepny, zaczynał graniczyć z neurastenią.

Dzień w dzień, trochę po godzinie 17.30, wychodził z filii Paris-Sud zakładów „Proginie” („Postęp w twojej kuchni”). Chociaż autobus 38 zatrzymywał się na placu d'Alésia, naprzeciw biura, Cabourg szedł aż do Porte d'Orléans, na przystanek końcowy, dzięki czemu zawsze miał miejsce siedzące. Przez całą drogę na Gare de l'Est nie odrywał oczu od gazety. Czytywał „Le Monde”.

Ten dzień różnił się nieco od innych, ponieważ Cabourg wrócił raniem z podróży, pierwszej od lat dziesięciu, i w jego ustalonych zwyczajach powstało pewne zamieszanie. Po pierwsze, zostawił rękawiczki w szufladzie biurka, ale spieszył się do domu, gdzie od tygodnia nie robił porządków, a że był już na ulicy, zdecydował się nie wracać. Następnie, co nie zdarzało mu się nigdy, wstąpił do piwiarni przy Porte d'Orléans i wypił pół kufła przy barze: od wyjazdu z Marsylii bez przerwy chciało mu się pić; w przegrzanym przedziale kolejowym spał w ubraniu, bo piżamę miał wątpliwej czystości, a w przedziale były kobiety. Wreszcie, po wyjściu z piwiarni, obszedł trzy kioski z gazetami, ale w żadnym nie było „Le Monde”. Ostatnie wydanie jeszcze nie nadeszło. Autobus nr 38 już stał. Cabourg kupił więc „France-Soir”.

W autobusie zajął miejsce środkowe przy oknie i odwrócił pierwszą stronę, wcale jej nie czytając. Strony dalsze, bardziej poważne, mniej go drażniły. Nigdy nie lubił wrzasków, śmiechów, pieprzonych dowcipów. A krzykliwe tytuły takie właśnie robiły na nim wrażenie.

Był zmęczony, czuł charakterystyczny ucisk między oczami, zapowiedź grypy. W pociągu, na górnej kuszetce, z której bał się, że spadnie, przespał się jednak trochę, z nosem wtulonym w podłożoną pod głowę kurtkę, brzydził się bowiem kolejowych poszewek na jaśki. Spał, ale tym snem, w którym nie przestajemy słyszeć stukotu kół na podkładach ani dusić się w potwornym upale. Snem, przez który przesączają się wszystkie zapowiedzi megafonów na stacjach, snem, który trapią bezsensowne niepokoje: a to, że zdarzy się katastrofa, a to, że popsuje się ogrzewanie, a to, że wyciągną ci portfel spod głowy, i Bóg wie co jeszcze...

Z Gare de Lyon wyszedł w rozpiętym płaszczu i bez szalika. Przez cały ten długi tydzień panowała w Marsylii niemal letnia pogoda. Miał jeszcze w oczach oślepiający blask Canebière o trzeciej po południu, gdy pewnego dnia schodził ku Vieux Port i słońce świeciło mu prosto w twarz. A także owo falowanie jasnych bluzek nad spódnicami, co wywoływało w nim zawsze uczucie pewnej przykrości. Teraz był podziębiony, dostał za swoje.

Prawdę mówiąc, sam nie wiedział, za jakie „swoje”? Może za stosunek do kobiet, za nieśmiałość, za trzydzieści osiem samotnych lat swego życia. Za spojrzenie pełne zazdrości, którego się wstydził, którego jednak nigdy nie mógł powstrzymać, ilekroć widział młodą, szczęśliwą i opaloną parę. A może za to, że odczuwał wtedy przykrość?

Myślał o Marsylii, która przysporzyła mu gorszych męczarni niż wszystkie wiosny paryskie, i o jednym z marsylskich wieczorów, który rozrósł się do czterdziestu ośmiu godzin. Teraz, na wspomnienie tego wieczoru, rozejrzał się wokół — nie wiadomo dlaczego. Już jako dziecko miewał ten odruch kontrolny: czy przypadkiem ktoś nie słyszy jego myśli?! Trzydzieści osiem lat!

Dwa miejsca przed nim, w autobusie, jakaś młoda kobieta czytała „Le Monde”. Spojrzał w okno, zorientował się, że są już przy Châtelet, a on nie przeczytał jeszcze ani linijki ze swej gazety.

Położy się dzisiaj wcześniej spać. Kolację zje w barze na dole, „Chez Charles”. Do sprzątanía weźmie się jutro. Ma na to cały niedzielny ranek.

W gazecie, której nie czytał, machinalnie tylko przebiegając oczyma od tytułu do tytułu, musnął wzrokiem własne nazwisko. Spojrze-

nie zatrzymał dopiero na tekście o dwie linijki niżej, gdzie była mowa o nocy, kuszetkach i pociągu.

Przeczytał zdanie, które mu nie mówiło nic poza tym, że coś się wydarzyło minionej nocy w jednym z przedziałów pociągu marsylskiego. Przeniósł wzrok wyżej i zrozumiał, że ktoś o nazwisku Cabourg zajmował kuszetkę właśnie w tym przedziale. Składając gazetę, aby na pierwszej stronie znaleźć początek notatki, Cabourg musiał rozłożyć ręce. Siedzący obok pasażer odsunął się nieco, pomrukując z niezadowoleniem.

Zanim jeszcze przeczytał tytuł, poczuł ucisk w sercu. Chociaż papier gazetowy był lichej, twarz kobiety na zdjęciu, bliska i realna, przejęła go lekkim smutkiem, jak obecność osób, które właśnie, dzięki Bogu, pożegnaliśmy na zawsze, i oto nagle spotykamy je znów za pierwszym rogiem ulicy. Przez czerń i szarzyznę druku dostrzegł kolor jej oczu, bogactwo puszystych włosów, zakwitający na wargach uśmiech; wczoraj, na początku podróży, uśmiech ten zdecydował o wszystkim:

o jego idiotycznej nadziei i haniebnej porażce kwadrans po północy. Przypomniawszy sobie zapach perfum, którego raczej nie lubił, zapach, który owionął go, kiedy kobieta, stojąc już przy nim, podniosła głos i odwróciła się, wzruszając ramionami ruchem tak gwałtownym jak cios niskiego boksera o złych oczach, walczącego na ringu hali sportowej Central w sobotnie wieczory.

Coś jakby kula podeszło mu do gardła, przyspieszając uderzenia serca; dotknął szyi trzema palcami lewej ręki — wielkim, wskazującym i średnim. A ponieważ odruchowo spojrzął w szybę, by zobaczyć, jak wygląda, zdał sobie sprawę, że autobus zjeżdża w dół bulwarem Strasbourg i że zaraz będzie na miejscu.

Przeczytał tytuł nad zdjęciem, kilka początkowych zdań, i złożył „France-Soir”.

W autobusie pozostało z dziesięć osób. Wsiadł ostatni, trzymając w prawej ręce byle jak złożony dziennik.

Idąc przez plac, koło Gare de l'Est, rozpoznawał zapachy znajome z podróży i swojskie odgłosy, bo przechodził tędy codziennie, ale dotychczas nie zwracał na nie uwagi. Za oświetlonymi budynkami zagwiżdżała jakaś lokomotywa, jakieś wagony ruszyły w drogę.

Uduśzoną kobietę znaleziono na jednej z kuszetek, kiedy pociąg był już na dworcu. Nazywała się Georgette Thomas. Dla niego wczoraj

wieczorem była po prostu złotą literą „G” na torebce, poważnym, nieco matowym głosem, kimś, kto tak uprzejmie poczęstował go papierosem Winston, gdy na korytarzu wagonu zamienili parę słów. Cabourg nie palił.

Przeciął plac, na przeciwległym chodniku nie wytrzymał i znów rozłożył „France-Soir”. Stał zbyt daleko od latarni i nie mógł dojrzeć tekstu. Z rozłożoną gazetą pchnął oszklone drzwi jakiejs piwiarni, omal nie cofnął się, gdy z wnętrza buchnęły na niego gwar i gorące powietrze, po czym wszedł, mrużąc oczy. Minał przepelnioną salę i znalazł wolne miejsce na kanapce obok rozmawiającej szeptem pary.

Usiadł w płaszczu, rozłożył gazetę na całą szerokość czerwonego, błyszczącego stolika, odsuwając dwie puste szklanki na wilgotnych kartonowych krążkach.

Tych dwoje popatrzyło na niego. Mieli chyba po czterdzieści lat, on może trochę więcej, i zmięte, smutne twarze istot, z których każda ma własne życie i które spotykają się na godzinkę po wyjściu z biura. René Cabourg uznał, że są brzydzy, może nawet odrażający, bo już nie młodzi, bo kobiecie rośnie podbródek, bo jakiś mąż lub bachory pewnie czekają w domu, bo... w ogóle.

Podszedł kelner, sprzątnął ze stolika. René Cabourg musiał unieść gazetę. Machnięcie wilgotną ścierką, której ślady wyparowały w mgnieniu oka. Cabourg zamówił piwo — jak tego ranka, gdy w drodze z dworca do domu, odwożąc walizkę, wstąpił do bistro na rogu swojej ulicy przy Porte d'Orléans.

Chciało mu się pić, ale nie zauważył, kiedy przyniesiono kufel. Pograżony w lekturze, nie odrywając oczu, wyciągnął rękę i sięgnął po piwo. Pił je i czytał, dwie krople spadły na artykuł.

Była przedstawicielką firmy kosmetycznej. To zresztą już wiedział od niej. I to, że od czterech dni przebywała w Marsylii. Przypomniał sobie naszyjnik, bo zameczek na karku widział z bliska, gdy pochylił się ku niej, zanim zrobił tamto...

Znaleziono ją leżącą na wznak, z otwartymi oczami, ubranie było w nieładzie. Czytając artykuł, przez cały czas miał właśnie ten obraz przed oczyma. Podawano jeszcze mnóstwo innych szczegółów: zadarta spódnica, czarne pantofle na wysokich obcasach, ślady po rozgniecionych na szyi perełkach.



Mieszkała niedaleko placu Pigalle, w małym, dwupokojowym mieszkaniu. Dozorczynię już przesłuchiowano. „Ocierała sobie oczy chustką”, bardzo ceniła tę lokatorkę: zawsze uśmiechniętą, choć przecież zbyt szczęśliwego życia nie miała. Rozwód w dwudziestym piątym roku życia. Uczciwie zarabiała na chleb. Ze świecą by takiej drugiej szukać w całej dzielnicy, a przecież tak łatwo się stoczyć. Oczywiście, bywali u niej mężczyźni, dozorczyńni jednak uważała, że są to sprawy prywatne, a poza tym Georgette Thomas była przecież, biedactwo, kobietą wolną. René Cabourg wyobraził sobie lampę z czerwonym abażurem w pokoju o opuszczonych storach. Tylko ta plama światła w obszarze cienia. Szepty. Mężczyzna, który powinien być postawny i piękny, z nieco zarozumiałym uśmiechem człowieka przyzwyczajonego do sukcesów. I ona. Między światłem a cieniem szelest zdejmowanej spódnicy, połysk nagiej skóry, krągłość bioder czy ramion. Jej prywatne życie.

Dopił piwo i znowu kilka kropli spadło na „France-Soir”. Czarne pantofle. Kobieta o spokojnym uśmiechu, która poczęstowała go papierosem w korytarzu wagonu. A potem to złośliwe spojrzenie małego boksera z hali sportowej. Ci wszyscy mężczyźni, którzy ją rozbierali, którzy leżeli z nią, podnieconą, w łóżku, ich twarde dłonie na jej biodrach czy ramionach. I on, i ta głupia sprawa w Marsylii wieczorem, i to nieznośne pożądanie, gdy pomagał jej zdjąć walizkę, i ten nierealny dzień do momentu, gdy wyszedł z Gare de Lyon, i ta gazeta. Wmawiał sobie, iż jest szczęśliwy, że została zabita, że znaleziono ją nieżywą. W chwili ukazania się gazety śledztwo chyba ledwie się zaczynało. Policja miała już listę pozostałych pasażerów przedziału i sądziła, że zechcą sami zgłosić się do Prefektury lub do najbliższego komisariatu w dzielnicy. Spodziewano się, że pasażerowie potrafią udzielić jakichś informacji pomocnych w schwytaniu mordercy. Wygląda na to, że zbrodnia została dokonana już po przybyciu pociągu na dworzec, podczas ogólnego zamętu i tłoku przy wysiadaniu. Ponieważ nie wydaje się, by powodem zbrodni był rabunek, komisarz Tarquin i jego współpracownicy z Policji Śledczej mają nadzieję, że przestępcę uda się szybko znaleźć. I to było wszystko.

René Cabourg dobrze wiedział, że żadnego tłoku ani zamętu przy wysiadaniu nie było. Podróżni już wcześniej ustawili się w korytarzu,

pilnując swoich bagaży, wysiadali kolejno, jeden po drugim, spokojnie. Walizki podawano sobie przez okna. Na peronie, w miarę jak zbliżano się do wyjścia, tłum gęstniał. Podróżni wspinali się na palce, wyciągając szyję, by ponad głowami innych dojrzeć, kto ich oczekuje na peronie.

Nikt nie przyszedł po René Cabourga. Wiedział o tym i chciał jak najprędzej opuścić przedział, pociąg, dworzec. Z przedziału wyszedł pierwszy, z wagonu jeden z pierwszych, z dworca — z pierwszą falą tych, na których nikt nie czekał.

Po raz czwarty czytał zamieszczoną w gazecie listę osób, starając się dopasować twarze do nazwisk i numerów kuszetek. Rivolani to pewnie facet w skórzanej kurtce, o rzadkich włosach, z małą tekturową walizeczką poprzecieraną na brudnych rogach. Darrès to młoda dziewczyna, która wsiadła w Awinionie i uśmiechnęła się w korytarzu, gdy on rozmawiał z kobietą trzymającą torebkę z literą „G”. Nie, to nie ona. Skoro ta Thomas, ofiara, była o dwa numery niżej, to znaczy, że miejsca nieparzyste znajdowały się po lewej, parzyste zaś po prawej stronie. Nie mógł się połapać. Sprawdził numer własnej kuszетки.

Zgadzało się. Na lewej dolnej — Darrès, blondynka, lat ze czterdzieści, bardzo umalowana, w palcie z lamparta lub imitacji lamparta. Lewą środkową kuszетkę zajmowała dziewczyna, która wsiadła w Awinionie. Ona też była blondynką, ale o połowę młodszą lub niewiele mniej, i miała jasnoniebieski płaszcz na króciutkiej letniej sukience z kokardą z przodu. Po prawej stronie na środkowym miejscu — Georgette Thomas; Cabourg znowu zobaczył jej kolano, jej podwiniętą spódnicę, gdy usiłowała sięgnąć po swoją walizkę. Na lewo, na górze — Garaudy. Tej twarzy René Cabourg zupełnie sobie nie przypominał. W ogóle nie zwrócił na to miejsce uwagi. Chociaż owszem, kiedy około wpół do pierwszej w nocy lokował się na swojej kuszетce — także górnej, tylko po prawej stronie — tamta była jeszcze wolna. Nieco później dobiegł go stamtąd czyjś głos.

Podniósł wzrok na kelnera stojącego przy stoliku. Kelner kończył służbę, zbierał należności.

René Cabourg sięgnął po pieniądze i natrafił w kieszeni na żeton telefoniczny. Przypomniało mu to pewien deszczowy wieczór, ciasną, pachnącą wilgotnymi trocinami kabinę, niedaleko stąd, w bistro na bulwarze Strasbourg: dwa tygodnie temu usiłował wydzwonić biuro-

wego kolegę, który wspomniał mu kiedyś, że lubi boks. Telefon nie odpowiadał.

Kelner, chowając pieniądze, powiedział coś na temat sobotnich wieczorów, zimy, pokiwał głową i odszedł, z serwetką przewieszoną przez rękę, krokiem człowieka, który cały dzień jest na nogach.

René Cabourg szybkim spojrzeniem ogarnął zdjęcie kobiety na pierwszej stronie, zwinął starannie gazetę i położył obok siebie na kanapie.

Tuż koło pustego kufła, na samym brzeżku tekturowego krążka położył żeton telefoniczny. Elektryczny zegar nad kontuarem wskazywał godzinę siódmą. Para, która siedziała obok, już wyszła.

René Cabourg odchylił głowę na oparcie kanapki, przymykając powieki przed blaskiem jarzeniówek.

Ten właśnie ruch wpłynął poniekąd na jego decyzję. Cabourg był zmęczony, czuł, że niedzielę spędzi w domu z grypą, łażąc między rozgrzebanym łóżkiem a gazową kuchenką — w której już od dawna należało zmienić palnik — z nie wymytą po kilku grogach, lepiącą się filiżanką w ręku. Wcale teraz nie miał ochoty wracać do siebie; o właśnie, to był powód, dla którego zapragnął pogadać z kimś, z kimś, kto by go słuchał, kto by przez kilka minut uważał, że warto go słuchać.

Wstał i z żetonem w prawej ręce szukał wzrokiem telefonu, rozglądając się po sali, nagle znowu gwarnej i hałaśliwej.

Zszedł po schodach do kabiny, gdzie zmieścić się mogło parę osób i gdzie ściany pokryte były rysunkami; tutaj dopiero zdał sobie sprawę, że nie wie, do kogo właściwie ma dzwonić. W gazecie napisano: Policja Śledcza lub komisariat dzielnicowy.

W książce telefonicznej, bez okładki, zaczął szukać Policji Śledczej. Trafił na Prefekturę. Myślał o kolanach Georgette, o tym, co podała „France-Soir”: czarne pantofle na wysokich obcasach, ślady po perełkach na szyi. Starał się nie zastanawiać nad tym, co robi. Czy będzie pierwszym spośród pasażerów przedziału, który się zgłosi?

Gdy mówił „halo”, głos mu zachrypł i musiał odchrząknąć. Powiedział, że jest jednym z pasażerów pociągu „Phocean”, jednym z pasażerów tego przedziału, o którym pisano we „France-Soir”, że nazywa się Cabourg. Ostatnie zdanie wypowiedział mimo woli tonem tak stanowczym, tak agresywnym, że po tamtej stronie odpowiedziano: „No to co?”

Nie wiedzieli, o co chodzi. Pójdą się dowiedzieć. Musi poczekać. A w ogóle, to nie pod ten numer trzeba dzwonić. Odparł, że nie wiedział o tym.

Czekał pochylony, z łokciami na pulpicie, podparłszy brodę rękoma; w słuchawce przy uchu coś szumiało. Cabourg zaczynał już żałować, że zadzwonił.

Usiłował teraz, rozpaczliwie, odnaleźć wątek, myśleć o tej podróży, zastanowić się nad tym, co im powie. Odnajdywał jedynie uśmiech tej małej, która wsiadła w Awinionie — jak ona się nazywała? Już nie pamiętał.

Do pociągu wsiadł na pół godziny przed odjazdem. Czy był już ktoś w przedziale? Nikogo. Owszem. Jakiś chłopak, jakiś może piętnastoletni chłopak. Blondyn, ze smutną twarzą w tweedowym, wymiętym ubraniu. Niezupełnie w samym przedziale, stał raczej przy drzwiach. Jechał w którymś z sąsiednich przedziałów.

René Cabourg natychmiast zdjął płaszcz, rozłożył go na swojej ku-szetce, prawej górnej. Właśnie z niej schodził, gdy weszła blondynka, za nią mężczyzna w skórzanej kurtce: zląkł się trochę, że mogą mieć do niego pretensję, bo nogę w bucie postawił na środkowej kuszetce.

Georgette Thomas przyszła znacznie później, dosłownie na minutę czy dwie przed odjazdem pociągu. Cabourg stał wtedy na korytarzu. Było tłoczno, ludzie przez okna żegnali się z odprowadzającymi i Georgette z trudem przecisnęła się koło niego. Poczł zapach jej perfum. Pomyślał, że to fatalnie: w przedziale są kobiety, nie będzie się mógł rozebrać. I pomyślał jeszcze coś, coś głupiego, sam wiedział, że to było głupie, i od razu o tym zapomniał.

— Nie zapomniałem o panu — odezwał się głos w słuchawce. — Jeszcze chwileczkę, przełączą pana. Proszę czekać.

Może inni nie przeczytali jeszcze gazety, może jeszcze nie dzwonili? Wydało mu się, że odnalazł tamten nastrój, coś, co mu się podobało: przedział kolejowy, kuszетки, na których każdy lokuje się jak może najwygodniej, wspólna podróż. Możliwe, że zgromadzą wszystkich, jako świadków, dla przeprowadzenia konfrontacji. Będą siedzieli w jakiejś brudnej poczekalni, na ławce, jedno obok drugiego. Wszyscy trochę niespokojni.

— Słucham — rozległ się głos w słuchawce.

René Cabourg powtórzył, że jest jednym z pasażerów pociągu „Phocean”, wymienionych we „France-Soir”.

Usłyszał krótki ostry trzask, aż zaświdrowało mu w uchu. Znowu inny głos: komisarz Tarquin jeszcze nie wrócił, połączą go z inspektorem Grazziano. René Cabourg przypomniał sobie, że za czasów Cerda-na pewien amerykański bokser wagi średniej nazywał się tak samo jak ten inspektor.

Nad pulpitem, o który opierał łokcie, zobaczył sprośny rysunek splecionej w uścisku pary, a niżej informację, pełną błędów ortograficznych, że J. R, lat dwadzieścia dwa, czeka codziennie po południu, od godziny szesnastej. Cabourg rozejrzał się i zobaczył, że na ścianach kabiny jest więcej tego rodzaju propozycji.

— Inspektor Grazziano?

Tak. Ten wiedział, o co chodzi. Zwracał się do niego „panie Cabourg”, jak to robiło tylu klientów, którzy telefonowali do biura przy placu d'Alésia. Głos był dźwięczny, głęboki, głos spikera radiowego. René Cabourg wyobraził sobie szerokie bary, rękawy zakasane aż po potężne bicepsy, twarz zmęczoną, bez wyrazu po całodziennym pracy.

Inspektor o nazwisku boksera powiedział: „Zaraz, tylko wezmę coś do pisania”, a potem znowu „Już słucham”, ale sam zaczął mówić, pytał o imię, nazwisko, wiek, adres, zawód.

— Cabourg, René Cabourg. Mam trzydzieści osiem lat. Jestem inspektorem handlowym firmy produkującej sprzęt gospodarstwa domowego, „Proginie”, „Postęp w...”. Tak, tak, „Proginie”. Nie, w tej chwili jestem w piwiarni koło Gare de l'Est. Mieszkam przy ulicy Cinord, niedaleko stąd. Jak tylko przeczytałem to we „France-Soir”... No, nic specjalnego, że tak powiem, ale pomyślałem sobie, że powinienem do was zadzwonić...

Bardzo dobrze zrobił. Więc rzeczywiście zajmował kuszetkę numer, zaraz, zaraz, sprawdzimy, numer 226, tak?

— Tak, to ta na górze, na prawo od wejścia, zgadza się.

— Pan wsiadł w Marsylii?

— Zgadza się. Wczoraj wieczorem.

— I nie zauważył pan nic specjalnego w czasie podróży? Cabourg miał na końcu języka, że nie zdarza mu się podróżować

zbyt często i że wszystko w pociągu wydawało mu się „specjalne”, w końcu jednak odpowiedział, że nie, nic.

— Kiedy wysiadł pan z pociągu?

— Jak tylko przyjechaliśmy. To znaczy, chciałem powiedzieć od razu.

Teraz to słowo śmieszyło go, stawało się wprost zabawne, brzmiało wręcz nieprzyzwoicie. Powiedział: nie, nic, ale może zapewnić, że aż do owej chwili ofiara była żywa.

— Czy pan ją znał?

— To znaczy, czy wiem, o którą kobietę chodzi? Widziałem przecież zdjęcie.

— Czy były jeszcze inne kobiety w przedziale?

Tego więc jeszcze nie wiedzieli. Czyli nikt się na razie nie zgłosił. To zrobiło na nim dziwne wrażenie: pierwszy wsiadł, pierwszy wysiadł był pierwszym świadkiem.

— Owszem, były jeszcze dwie. To znaczy te, które widziałem.

— Na liście mam tylko nazwiska — powiedział inspektor Grazziano — a pan jest pierwszym z pasażerów przedziału, który do nas dzwoni. Czy mógłby pan opisać pozostałych?

René Cabourg powiedział, że oczywiście. Gazetę zostawił w sali na kanapce. Był o to trochę zły na siebie, poza tym trochę rozczarowany. Nie przypuszczał, że przesłuchanie odbywać się będzie przez telefon, w kabinie, gdzie zaczynał się pociąg i wciąż miał przed oczami ten okropny rysunek, którego zresztą już nie dostrzegał.

— Panie inspektorze, czy nie byłoby lepiej, gdybym do pana przyjechał?

— Teraz?

Zaległa na chwilę cisza, potem głos spikera radiowego powiedział, że byłoby to bardzo uprzejme, ale jest już siódma wieczorem, a on, inspektor, ma jeszcze sporo pracy w związku z inną sprawą. Lepiej będzie, jeśli jeden z inspektorów wstąpi do niego jutro rano lub, o ile mu to nie sprawi kłopotu, jeśli pan Cabourg pofatyguje się do Prefektury około dziesiątej. Czy nie sprawi mu to trudności?

René Cabourg odparł, że oczywiście, bardzo chętnie, po czym zrobiło mu się wstyd i dodał, że będzie musiał wobec tego przełożyć pewne spotkanie.

— Dobrze. Przeczytam panu nazwiska pozostałych pasażerów i numery miejsc, które zajmowali. Niech się pan postara przypomnieć ich sobie. Rivolani, lewa dolna, tak? Mężczyzna czy kobieta?

— Mężczyzna. Był w skórzanej kurtce. Zielonej chyba. Miał tan-  
detną, starą walizkę. Taką z wytartymi rogami, wie pan. Mówił nie-  
wiele. Położył się od razu, nie rozbierając się wcale i, zdaje się, zasnął.

— Wiek?

— Czterdzieści pięć, pięćdziesiąt. Wyglądał na pracownika fizycz-  
nego, coś w rodzaju mechanika. Rano, gdy już dojeżdżaliśmy i posze-  
dłem umyć się do toalety, on jeszcze spał. Musiałem stać w ogonku,  
pan wie, jak to jest. A potem, przyznaję, nie zauważyłem go.

Inspektor uznał, że to zupełnie oczywiste. Darres, dolna prawa?

Kobieta, pod czterdziestkę, może więcej. Trudno określić, bo była  
bardzo wymalowana. Płaszcz z lamparta lub imitacji — nie znał się na  
futrach. Blondynka, silnie wyperfumowana, o przyjemnym głosie.  
Trochę, jak by to powiedzieć... (zawahał się niepewny, czy inspektor  
zrozumie) zgrywała się, o! W godzinę po wyruszeniu z Marsylii poszła  
do toalety, przebrać się na noc. Wróciła w różowym szlafroku, pod nim  
miała różową piżamę. Ssała jakieś pastylki na gardło i nawet raz  
częstowała nimi ofiarę.

Powiedział za dużo. Nigdy nie umiał trzymać się tego, co najważ-  
niejsze. Dodał, że to już wszystko. Ale jednocześnie przypomniało mu  
się, że ta blondynka mówiła coś o kinie i Lazurowym Wybrzeżu, o  
teatrze, a rano wstała chyba pierwsza, bo schodząc z góry, zobaczył ją  
już ubraną, gotową do wyjścia, ze spakowanymi walizkami. W końcu  
podał i te szczegóły.

Inspektor powiedział, że wieczorem odnaleziono już ślad aktorki  
Eliane Darres i że ta blondynka to mogła być właśnie ona.

Bombat, kuszетка środkowa, na lewo.

Jakaś młoda dziewczyna, niezbyt wysoka, ładniutka, koło dwu-  
dziesiątki. Zgadza się, wsiadła w Awinionie. Wyglądała na drobną  
urzędniczkę, która dostała posadę w Paryżu. Miała nieco śpiewny głos.  
Zresztą z lekkim południowym akcentem.

Garaudy, górna lewa.

Nie wiedział. Ta kuszетка była pusta.

Inspektor powiedział „coś takiego”, przecież wszystkie bilety były  
przedziurkowane i, według protokołu Urzędu Śledczego, który ma  
przed sobą, kuszетка była jednak zajęta.

René Cabourg wytłumaczył, że został źle zrozumiany: po prostu nie widział tam nikogo, bo gdy zajmował swoją, tamta była pusta.

— Która to była godzina?

Co za głupota! Skłamał, nawet się nie namyślając.

— Jedenasta, piętnaście po jedenastej, nie wiem. Potem słyszałem tam jakiś głos. Mam bardzo lekki sen i źle spałem.

— Słyszał pan głos z kuszетки naprzeciwko, głos Garaudy, prawda?

— Tak. W każdym razie sędzę, że to był jej głos. Rozmawiała z młodą dziewczyną z dolnej kuszетки. Myślę nawet, że pochyliła się nad nią i rozmawiały dość długo.

— Dlaczego mówi pan „ona”?

Chciał wyjaśnić, że „ona” znaczy „ta osoba”, ale to by i tak niczego nie zmieniło.

— Ponieważ wydaje mi się, że to była kobieta.

— A z czego pan tak sądzi?

— To nie był głos mężczyzny, był zbyt delikatny. A poza tym to trudno określić, ale mam bardzo lekki sen i czułem jej obecność, gdy się poruszała. To była kobieta.

— Chce pan powiedzieć, że wywnioskował pan to na podstawie ruchów, odgłosów, jakie pan słyszał?

— Właśnie.

Inspektor zaczął wypytywać go o ofiarę. René Cabourg znowu poczuł pragnienie. Chętnie otworzyłby drzwi kabiny, w której zrobiło się już nieznośnie duszno. Koszula lepiała mu się do pleców, krople potu spływały ze skroni na policzki.

Z Georgette Thomas zamienił parę słów na korytarzu. O sobie powiedziała mu tylko, że jest przedstawicielką pewnej firmy. Swego nazwiska nie wymieniła. Aha, powiedziała jeszcze, że spędziła cztery dni w Marsylii. W tym roku była tam po raz trzeci. Nie, robiła wrażenie bardzo spokojnej, swobodnej.

Gdy rano wychodził z przedziału, ona tam jeszcze była. Wszyscy tam jeszcze byli. Chociaż nie, owej Garaudy nie było, to prawda. Powiedział „wszyscy”, ponieważ jej w ogóle nie widział i w pewnym sensie nie zaliczał jej do pasażerów przedziału.

— To wszystko.



Podał numer domu na ulicy Cinord, numer telefonu biurowego, obiecał, że jutro o dziesiątej będzie na Quai des Orfèvres. Trzecie piętro, pokój 303.

Głos spikera radiowego wycichł na słowach podziękowania, rozległ się trzask odkładanej słuchawki, ale René Cabourgowi nie przyniosło to ulgi.

Otworzył drzwi kabiny i zatrzymał się przez chwilę, wdychając nieco świeższe powietrze i machinalnie odczytując gryzmoły na ścianie.

To właśnie on. Wtedy w pociągu kwadrans po północy — był kimś takim: typem nędznym, zdolnym do wypisywania różnych świństw na ścianach. Wprawdzie on ścian akurat nie brudził, ale to na jedno wychodzi.

Grazziano. W ciemnościach wieczoru, który już panował na placu przed Gare de l'Est, René Cabourg, w płaszczu z podniesionym kołnierzem, zadawał sobie pytanie, czy nazajutrz inspektor będzie już po rozmowie z innymi pasażerami przedziału i czy nie potraktuje go jak zboczeńca seksualnego. Palnął gafę, podając nieprawdziwą godzinę, o której położył się spać. Po co? Przecież ktoś inny mógł to zauważyć, ona mówiła bardzo głośno, prawie krzyczała. Na pewno zorientowali się, że na korytarzu jest jakaś kłótnia, każdy będzie ją tłumaczył po swojemu, natomiast godzinę przypomną sobie dokładnie, bo to było nie przed, lecz po kontroli biletów. I kontrolerzy potwierdzą.

Kłamstwo. Ponieważ skłamał raz, nie będą mu już ufać. Kłótnia musiała mieć znaczenie, skoro usiłował ją przemilczeć. Będą się w tym dopatrywać jakiejś chorobliwej urazy, może nawet motywu. Nietrudno będzie wykryć przyczynę kłótni. To także może być uznane za motyw: mógł przecież wysiąść z wagonu, a po chwili tam wrócić i zaatakować kobietę w czarnych szpilkach, gdyż już była sama w przedziale. Broniłaby się. Udusił ją, aby stłumić jej krzyki. Chociaż nie.

Przed lusterkiem nad umywalką, w swoim mansardowym pokoju na piątym piętrze, w którym wszystko świadczyło o tygodniowej nieobecności gospodarza — porozrzucane ubranie, nie podlane kwiaty, brudne naczynia — René Cabourg popijał dwie pastylki antygrypowe szklanką wody i mówił sobie, że nazajutrz wszystko potoczy się inaczej.

Po pierwsze — co do godziny, o której się położył — łatwo mógł się przecież pomylić. Najważniejsze, żeby sam opowiedział całe zdarzenie jako mało znaczący fakt, zanim uczyni to ktoś inny.

Doskonale wyobrażał sobie ruchy, swobodną postawę, jaką opowiadając to powinien przyjąć. Bardzo szybko prześlizgnął się po tym incydencie, z lekkim uśmieszkiem i ruchem głowy, mającym świadczyć: „Ach, te kobiety, no, cóż...!”

Powie: „Księżniczka, myślałby kto!” Powie: „Staliśmy na korytarzu, tylko we dwoje. Wyglądało, że ona, owszem, bardzo chętnie. Pan wie, jak to jest. To się wyczuwa. Trochę ją zacząłem podmacywać. No, wie pan, jak to jest. Nawiasem mówiąc, wielka szkoda, że sprzątnęli taką fajną babkę. Jednym słowem, zapłonęła świętym oburzeniem, więc poszedłem się położyć”. I szybko przejdzie na inny temat. To będzie tylko taki sobie męski kawał, nic więcej.

Przed lustrem, patrząc na siebie nie widzącym wzrokiem, jak patrzył na tamten nieprzyzwoity rysunek, wpadł nagle w jeszcze większe przygnębienie. Wiedział, że nie potrafi odegrać tej roli, wypowiedzieć tych słów. I to będzie jeszcze głupsze. Sam dobrowolnie wypaple całą prawdę, nędzna, mizerna kreatura... wszyscy poczują się zażenowani. Będzie bełkotał, będzie się czerwienił, może się nawet rozplacze. Pomogą mu włożyć płaszcz, wypuszczą go bez słowa, odetchną, gdy sobie pójdzie. Żałosny facet.

René Cabourg, który już zdjął płaszcz, teraz włożył go z powrotem, pozapinał. Nie wytrzyma w domu. Pójdzie na kolację, wszystko jedno gdzie. Zobaczył swoją walizkę leżącą na łóżku, nie zaścielanym od zeszłej soboty, pomyślał, że lepiej by było wziąć ciepły podkoszulek i inną parę rękawiczek. A potem rozmyślił się i wyszedł, gasząc tylko górną lampę, zaś ta nad umywalką paliła się dalej, odbijając się w pustym lustrze.

W drzwiach bistra „Chez Charles” zawahał się. Była prawie dziewiąta wieczorem. Widział przez szybę, jak restaurator oblicza kasę. Był jeszcze tylko jeden gość, młody blondyn, który podniósł głowę i spojrzał na Cabourga, wkładając do otwartych ust kawałek steku. René Cabourg oddalił się z rękoma w kieszeniach płaszcz, z podniesionym kołnierzem.

Idąc, rozmyślał znowu o kobiecie w ciemnym kostiumie, o jej długich nogach w nylonowych pończochach, o wrażeniu, jakie zrobił na

nim artykuł w „France-Soir”. Żałował, że zostawił gazetę na kanapce w piwiarni. Chciałby raz jeszcze przeczytać notatkę i obejrzyć zdjęcie.

Po co, na Boga, telefonował? W tym ponurym mieście — które nigdy, tak, naprawdę nigdy nie było jego miastem — mieszka pewnie z tuzin różnych Cabourgów i na niego mogliby nigdy nie trafić.

Grazziano przywiódł mu na myśl boksera, bokser — halę sportową Central. Central — sobotni wieczór. No i właśnie był znów sobotni wieczór. Wydało mu się, że Central to jedyna rozrywka, jaka nadarza mu się od dawna. Z początku chciał jechać metrem, ale, do diabła, był dopiero początek miesiąca, a na Boże Narodzenie powinien otrzymać podwyżkę. Zawrócił w kierunku Gare de l'Est niemal biegiem, żeby złapać taksówkę. W pobliżu dworca zaczął naprawdę biec. Ktoś, kto zapewne śpieszył się na pociąg, biegł tuż za nim. René Cabourg potrącił jakąś przechodzącą parę, przeprosił, otworzył drzwiczki taksówki i krzyknął do kierowcy:

— Central! Sala boksu!

Był zasapany. Dziewiąta. Mecz już się pewnie zaczął. Spóźni się na pierwszą walkę — jeden amator w trzech kolejnych rundach. Zasmakował w tego rodzaju spędzaniu sobotnich wieczorów... Rok 1957. Lutowy wieczór. Dwóch zawodników w wadze koguciej. Po pięćdziesiąt trzy kilogramy, drobni, z twarzami małych brutalni. Poszedł wtedy do Central, by zrobić przyjemność jednemu z dawnych kolegów szkolnych, który przyjechał do Paryża na tydzień, a potem wracał do Gironde, gdzie zresztą urodził się Cabourg. Ciosy, posępne spojrzenia tych dwóch niskich pięściarzy, gdy nabierali tchu. Ale nie o to chodziło. Kiedy jeden z nich — ten, który wszedł na ring z ręcznikami na ramionach — padł z rozkwaszoną gębą, z ramionami wplątanymi w liny, wyliczany, wyliczany, wyliczany — aż do ogłoszenia przegranej — wybuchła wrzawa, łomot składanych krzesełek, tłum zerwał się niby potężna fala. I wtedy to się stało. Właśnie w owej chwili: René Cabourg wstał razem z innymi, krzyczał razem z innymi, chciał zobaczyć drgawki pokonanego i taneczny krok zwycięzcy, a później, dużo później poczuł, że dłonie bolą go od klaskania, i już znowu był sobą, nikim, człowiekiem z tłumy.

Następnym razem poszedł do hali sportowej sam i wszystko powtórzyło się od nowa. Z czasem zaczął rozpoznawać stałych bywalców,

nauczył się przewidywać wyniki i zmieniać te przewidywania, w przerwach szedł do sąsiedniego bistro, gdzie podawano mu kieliszek; lubił te sobotnie wieczory i cieszył się na myśl, że po pustym tygodniu nadejdzie sobota.

Wysiadając z taksówki przed halą, René Cabourg pomyślał, że tym razem przyjdzie jako ostatni. Ale nie. Obok zatrzymała się jeszcze jedna taksówka. Wysiadła z niej samotna kobieta, która, ponieważ była brunetką, przypomniała mu tamtą z pociągu.

Odsunął się od okienka kasy, gdy nieznajoma do niej podeszła. Była młoda, ale miała już zmarszczki; ubrana w krótki czarny płaszcz, trzymała torebkę przed sobą, przy piersiach, jakby się bała ją zgubić. Widział jej ręce, czerwone, zniszczone od prania. Mogła być żoną któregoś z występujących bokserów, będzie czekać w szatni na koniec meczu, pełna szalonych nadziei związanych z karierą mężulka: wielkie honoraria, wspaniały apartament, sława, prawdziwe szczęście.

Obejrzał trzy walki amatorskie, nie doznając jednak przyjemności, po którą tu przyszedł. Myślał o wieczorach w Marsylii, w hotelu przy avenue de la République: nędzny pokój, bo musiał liczyć się z kosztami, łóżko pachnące lawendą i ta para, czterdzieści osiem godzin temu, w sąsiednim pokoju, ich kłótnia i to, co po niej nastąpiło. Właśnie wszedł do swego pokoju. Trzymał jeszcze w ręku aktówkę wypchaną urzędowymi papierami. Siedział na łóżku bez ruchu, w płaszczu, prawie nie śmiał oddychać. Z długich skarg kobiety po drugiej stronie ścianki cienkiej jak przepierzenie dobiegały go tylko pojedyncze słowa i nagle krótkie krzyki, dobywające się z ust ludzkich, ale przenikliwe jak pisk małego zwierzątka...

Siedział tak ze dwie, trzy godziny. Słyszał ich śmiechy, wiedział, że leżą nadzy w zmiętoszonej pościeli — po drugiej stronie działowej ścianki. O kobiecie wiedział to, co mógł o niej wiedzieć tylko jej kochanek. Na przykład, że nie zdjęła z szyi perełek. Kupiła je w Paryżu. Wiedział, że miała długie, spadające na plecy włosy. Śmieli się, przekomarzali, potem znowu następowała cisza, znowu ona śmiała się cichutko, po czym rozlegały się owe popiskiwanie, krótkie zwierzęce okrzyki, mamrotania i — obrazy, które to wszystko nasuwało.

Nigdy tej kobiety nie widział. Wyszedł, wałęsał się po pustych ulicach, potem wrócił. Już ich nie słyszał. Wyjechali.

Dokoła niego tłum wstawał powoli. Przerwa. Nie miał odwagi spojrzeć na twarze sąsiadów. Zszedł do toalety, obmył lśniąco potem czoło chłodną wodą. Zrobił głupstwo, wychodząc z domu. Ma gorączkę. Rozchoruje się. Jutro pójdzie do tego inspektora, pokój 303, trzecie piętro. Powie po prostu, co się stało, że jest samotny, brzydki, że zawsze był taki, że w Marsylii pewna kobieta, całkiem nieznana, uświadomiła mu poprzez ścianę, iż jest ofermą, zwyczajnie ofermą, bo sprawiało jej szaloną przyjemność robić rzeczy, o których myślał, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, że kobiety robią je tylko z obowiązku albo dla pieniędzy. Powie, że potem spacerował długie godziny i nawet płakał gdzieś na jakiejś ławce, późną marsylską nocą, płakał tak, że aż szlochał, jak niegdyś. Powie, że nigdy nic nie rozumiał z życia i tej gry, która tak bawi innych i której reguły oni, ci inni, posiadli, Bóg raczy wiedzieć w jaki sposób. I powie jeszcze, że wszedł do nocnego pociągu, że wszystko tam wydawało mu się „specjalne”, że pewna brunetka odłoniła kolana przy okazji zdejmowania walizki, skąd chciała wyjąć fiolkę z aspiryną, której zresztą wcale potem nie zażywała. Powie wreszcie, iż w końcu zrozumiał, że aspiryna była tylko pretekstem do nawiązania rozmowy, że kobieta była piękna, piękniejsza od wszystkich, przy których kiedykolwiek znalazł się tak blisko — była tak blisko niego, że czuł zapach jej perfum i mógłby dokładnie opisać zameczek jej naszyjnika. Ten naszyjnik przywiódł mu na myśl inny, którego zresztą nigdy nie widział. I że właśnie w chwili, gdy ona wychylała się przez okno wagonu i mówiła coś, śmiejąc się — nie wiadomo z czego, bo nie słyszał — właśnie wtedy okazało się, że on nie zna reguł gry, że jest po prostu ofermą.

René Cabourg nie usłyszał, jak za jego plecami otworzyły się drzwi toalety. Schylony nad brudną popękaną umywalką i ciekącym kranem, z mokrym czołem i mokrymi włosami, w rozpiętym płaszczu, spod którego widać było pochłapaną wodą marynarkę — dostał kulą rewolwerową w samą szyję, nieco poniżej karku. Nie słyszał detonacji, nie widział ognia, nie zauważył nawet, że ktoś wszedł do pustej toalety. Przerwa w walkach bokserskich skończyła się już prawie przed kwadransem. Najpierw pochylił się gwałtownie do przodu, w stronę lustra nad umywalką, nie rozumiejąc, dlaczego jego własna twarz zbliża się coraz bardziej, nie czując żadnego bólu i nie przestając myśleć o tym, co po-

wie jutro. Okręcił się dokoła własnej osi i runął na umywalkę, woda z kranu spływała mu po krawacie. Pomyślał, że im wszystkim powie: tak, właśnie tak postąpił... wcale jej nie obmacywał, gdy się pochyliła, nie zrobił ani jednego gestu, który by zrobić należało; całkowicie pochłonięty bezsensowną nadzieją, z głową pod wciąż ciekącą stróżką, klęcząc na posadzce toalety... tak, położył rękę na jej ramieniu, ponieważ była jedyną osobą zdolną go zrozumieć, i Bóg świadkiem, nie rozumiała. Odwróciła się nagle, wzruszając ramionami, ruchem tak gwałtownym jak cios niskiego boksera na ringu w hali sportowej — może po to, by sobie z niego zakpić, ale przypatrując mu się, z pewnością odgadła, że to coś poważniejszego; w jego oczach wyczytała coś, czego nie mogła znieść — rozzłościła się i krzyknęła.

Zsunął się powoli z umywalki, twarz ociekała mu wodą, oczy miał zamknięte, powtarzał sobie w duchu „tak, moja ręka na jej ramieniu, tak”, dziwiąc się, co też było w jego twarzy, czego ta kobieta nie mogła znieść, ale zanim zrozumiał, rozciągnął się jak długi na posadzce i już nie żył.

Georgette Thomas uśmiechała się do fotografa z wdziękiem i powagą. Owego dnia ubrana była w żakiet czy palto z białym futrzanym kołnierzem; włosy, okalające jej twarz, wydawały się jeszcze ładniejsze i ciemniejsze. Na pewno je lubiła, poświęcała im dużo czasu, szczotkując je i układając w różne fryzury. Zapewne też lubiła to wszystko, co podkreślało ich piękno, i właśnie dlatego w jej garderobie przeważał kolor biały.

Mężczyzna w podkoszulku i w spodniach od pizamy — Antoine Pierre Emil Grazziano, zwany Grazzi — pomyślał, że komisarz miał chyba rację: taka ładna kobieta mogła stać się ofiarą zbrodni jedynie na tle erotycznym i kto wie, czy morderca nie płacze już ze skruchy w którymś z komisariatów dzielnicowych.

Zdjęcie z dowodu osobistego włożył z powrotem do swego portfela z czerwonego safianu — prezent gwiazdkowy sprzed trzech lat — i oparłszy łokcie na stole, a brodę na dłoniach, siedział przez chwilę w kuchni naprzeciw okna. Odsunął zasłonki w kwiaty — za oknem była niedziela, podobna do każdego z dni powszednich, i niewyraźne szare niebo. Na kuchence gazowej — mógł tam sięgnąć ręką, nie wstając ze stołka — Grazzi postawił dzbanek z kawą.

Za oknem, na rzadkiej trawie tego, co nazywano „zielonymi terenami” wokół bloku, noc pozostawiła pierwszy w tym roku szron. Grazzi z mniejszą przykrością pomyślał teraz, że nie będzie mógł pojechać po południu z synem do ZOO w Vincennes, jak to planował. Postara się wrócić do domu na obiad, może nawet zatrzyma służbowy samochód i trochę pobędzie z Dinem, póki mały nie zaśnie po obiedzie. Właściwie na to samo wyjdzie.

Włoski ekspres do kawy zagwizdał na kuchence. Grazzi wyciągnął rękę i zgasił gaz. Nie podnosząc się, zdjął dzbanek i nalał sobie pachnącej kawy do jednej z dwóch stojących przed nim filiżanek.

Pił kawę bez cukru, myśląc o wczorajszym raporcie i o mieszkaniu przy ulicy Duperre; było maleńkie, ładnie urządzone, dobrze utrzymane i było w nim coś ckliwego, jak zwykle, w mieszkaniach samotnych kobiet; myślał także o radach szefa, komisarza Tarquin, naszpikowanych górnolotnymi frazesami. Primo, wejść w skórę tej cizi, poznać ją lepiej, niż znała sama siebie, stać się jej drugim „ja” itd. „Zrozumieć ją od wewnątrz, jeśli kapujesz, o co mi chodzi”.

Jasne. A inspektor Mallet nawet tak znakomicie wyobrażał sobie Grazziego w skórze i ciuchach Georgette Thomas, że dowcipkował na ten temat, póki się nie rozstali. Około wpół do dziewiątej rano, na korytarzu, powiedział mu „ciao, laluniu, życzę ci dobrej zabawy z chłopcami”.

Oczywiście miała ich wielu. W gabinecie szefa Grazzi mimo woli dał do zrozumienia, że Georgette zmieniała kochanków jak bieliznę.

Miała dużo bielizny, bardzo ładnej, znaczonych literą „G”, czerwoną literką, jaką znaczono są rzeczy w internatach; znajdowali ją teraz po lewej stronie wszystkich koszulek, majtek, staników, nawet na chustkach do nosa. Dwie pełne szuflady, które wywracano do góry dnem. Białe nylon i koronka, tak miłe w dotyku, że ten niezdara Grazzi czuł się zażenowany. I na wszystkim po lewej stronie mała, czerwona literka.

O siódmej wieczorem Grazzi źle się wyraził o tej kobiecie wobec komisarza i reszty kolegów. Czy raczej, starając się ująć w skrócie pewien drobny szczegół ze swego czerwonego notesika, wypowiedział opinię, która wcale nie była jego opinią. Tam, w mieszkaniu przy ulicy Duperre, podczas przeszukiwania półek i szuflad, Gabert, ten niski towarzyszący mu blondas, powiedział — jako że dziewczyna była ładna, a odczytywanie jej listów i dotykanie jej fatalaszków robiło na nim pewne wrażenie — „No, nudzić, to się ona nie nudziła”.

Było trzech mężczyzn w jej życiu (nie licząc męża, ale z nim nie widywała się już od miesięcy): sprzedawca samochodów, Harrault, który zgłosił się do Prefektury około godziny 18, z miną potulną i niewyraźną; jakiś Bob, terminator — Grazzi nie pamiętał już jego nazwiska — który miał przyjść rano, no i ten młody student z piątego



piętra domu przy ulicy Duperre, którego dozorczyni, jak się zdawało, uwielbiała.

Z tych trzech na razie tylko pierwszego można było uznać za kochanka Georgette Thomas. Wysoki, nieco przyciężki mężczyzna; naprawiał amerykańskie wozy w swoim garażu przy Porte Maillot. Wbrew podejrzeniom — jakie nasuwał widok jego twarzy — trudno było dopatrzeć się w nim dusiciela. Wążąc słowa, powiedział, że tak, owszem, byli razem, ale króciutko. Ściszał głos, nie wiadomo, czy dlatego że mówił o zmarłej, czy dlatego że obecnie był żonaty, a historia z Georgette należała już do przeszłości.

Grazzi przetrzymał go ze dwadzieścia minut. Gęba, aż ręka swędzi. Nie rejestrowany. Na pierwsze cztery dni października, włącznie z sobotą, dniem zabójstwa — alibi nie budzące wątpliwości. Żona, dla której tego dnia kupował małego fiata (nowego, żadna okazja, Grazzi już nie pamiętał, skąd wie o tym). Papiery w porządku. Ubranie dobrze skrojone. Buty wyglansowane. Eks-dyrektor handlowy fabryki perfumeryjnej. Tam właśnie poznał Georgette Thomas, wówczas Georgette Lange, przedstawicielkę firmy. Związek trwał pół roku przed jej rozwodem i dwa i pół po rozwodzie: „razem, króciutko”. Nie wie nic. Nie słyszał o żadnym z jej wrogów. Przyjaciół nie zna. Nie rozumie, jak to się mogło stać. Nic z tego wszystkiego nie pojmuje. Bardzo mu jej żal. Tylko ta gęba... aż ręka swędzi.

Grazzi nalał kawy do drugiej filiżanki, stojącej przed nim na stole, wsypał dwie łyżeczki cukru i wstał, pocierając czoło. Usłyszał, że żona porusza się już na łóżku.

Gdy szedł ciasnym korytarzykiem, który dzielił kuchnię od ich sypialni, wylał trochę kawy na spodeczek z przepelnionej po brzegi filiżanki. Nie zaklął jedynie z obawy, że mógłby obudzić synka.

Oczy miała otwarte, jak zwykle. Grazziemu, który sypiał twardo, a wiedział, że żona wstaje w nocy, by okryć małego lub go napoić, zdawało się, że ona w ogóle nigdy nie sypia.

— Która godzina?

— Siódma.

— Wychodzisz dzisiaj?

Powiedział, z niezupełnie czystym sumieniem, że powinien by wyjść. Co prawda, wcale nie musi. Cabourga, Boba i rodzinę Georgette Thomas mógłby wezwać na poniedziałek. Nikt go nie popędza, nikt

by mu nie robił wymówek. Jeśli morderca skorzysta z tego i zwieje, to nawet lepiej — było to w pewnym sensie przyznaniem się do winy. Poszuka się go i znajdzie.

Nie, nic Grazziego nie zmusza prócz niepewności i tej wiecznej potrzeby wyścigu z czasem, jaka stale poganiała go w pracy, niby mało zdolnego ucznia, który wkuwa do ostatniej chwili przed egzaminem.

Żona, Cécile, знаła go już dobrze, więc tylko wzruszyła ramionami, nie odważając się przypomnieć o wyprawie do ZOO, ale żeby jednak zademonstrować swoje niezadowolenie, zaczęła wybrzydzać na kawę, słabą i niedosłodzoną.

— Co ci teraz dali?

— Kobietę uduszoną w pociągu, na Gare de Lyon.

Oddała mu filiżankę; nie pytając, wiedziała, że wcale nie ma ochoty brać tej sprawy na swoją głowę, że teraz przez pewien czas będzie się jeszcze bardziej denerwował, czy nie wypadnie gorzej od innych.

— To Tarquin tym się nie zajmuje?

— On ma teraz sprawę automatów do gier. A poza tym nie chce się angażować w coś, czego nie jest pewny. Jeśli się wszystko potoczy gładko, to łaskawie obejmie protektorat. Póki się coś ślimaczy, zwała to na mnie. Liczy na awans w styczniu i boi się ryzykować.

Gołąc się przed lusterkiem, Grazzi przypomniał sobie mieszkanie Georgette Thomas: było zupełnie inne niż jego własne. Ale niby dlaczego mieszkanie samotnej kobiety w starej kamienicy w pobliżu Pigalle ma być podobne do dwóch pokoi z kuchnią i wygodami w nowoczesnym bloku w Bagneux, który to lokal służy ponadto trzyletniemu chłopcu za poligon doświadczalny? A jednak mieszkanie Georgette — atmosfera półcienia, rozrzedzone, jakby stłumione światło — skłoniło go wczoraj do powiedzenia czegoś, o czym nie myślał, czegoś, co w każdym razie nie miało podstaw. Kretonowe zasłony, kapa na łóżku, stoliki i pretensjonalne bibeloty przywodziły na myśl starzejącą się maszynistkę. W mikroskopijnej kuchence wszystko było na miejscu. W wytwornej łazience, wyłożonej różowymi i białymi kafelkami, której urządzenie pochłonęło zapewne w swoim czasie wszystkie oszczędności, pachniało szminką i luksusowym mydłem. Na wieszaku krótka nocna koszula, podobna do tej, którą znaleziono w walizce; ręczniki frotté wszelkich możliwych kolorów, znaczone, jak wszystko inne, literką „G”, puchate

niczym futra. Białe gumowy czepek na kranie od prysznic. Na półeczce pełny asortyment kremów. A przede wszystkim — lustra: wszędzie, nawet w kuchni; pokój był tak mały, tak skupiony wokół łóżka, że rozmieszczenie tych lusterek i kąt ich nachylenia zdawały się tu spełniać rolę dwuznaczną.

Z policzkami w mydle, ze szczęką wykrzywioną grymasem Grazi zauważył nagle swoje odbicie w lustrze. Żyłka z cichym zgrzytem wyskrobywała szeroką smugę na gładkiej skórze.

U Georgette, w małej szafce-apteczce, też była maszynka do golenia, co jednak nie świadczy o niczym, wszystkie kobiety to mają.

Były również listy, najwięcej od sprzedawcy używanych samochodów, fotografie mężczyzn przechowywane w starym pudełku po herbatnikach razem ze zdjęciami własnymi i rodziny.

Ale chodziło nie tylko o to. W tym mieszkaniu było coś, sam nie wiedział co, co w pewnym sensie wyrażała uwaga rzucona przez Ga-berta: „Na pewno się nie nudziła”. Ciasnota pokoiku, aż nazbyt kobiece, przesłodzone urządzenie tego wnętrza. Albo może luksusowa łazienka. Albo ta mała, czerwona, niedorzeczna jak z pensjonarskiej wyprawki literka, którą oznakowana była bielizna.

— Słuchaj no...

Żona weszła właśnie do łazienki, zdjęła wiszący na drzwiach szlafrok. Grazi, z żyłką w ręku na wysokości policzka, zastygł w tym geście i patrzył na odbicie Cécile w lustrze.

— ...po co kobieta znaczy swoim inicjałem całą bieliznę?

— Może oddawała ją do pralni?

— To pierwsza litera jej imienia. A poza tym nie daje się do pralni bielizny osobistej. Jak sądzisz?

Cécile nic nie sądziła. Podeszła do lustra, chwilę przyglądała się sobie, poprawiając uczesanie.

— Nie wiem. Niektóre kobiety haftują monogram na całej bieliźnie. To się zdarza.

Wyjaśnił, że to nie był haft, lecz malutki kwadracik materiału. Gdy był w internacie w Mans, matka znaczyła mu w ten sposób piżamy, ręczniki, każdą sztukę wyprawki. Ale nie literą, tylko cyfrą. Pamiętał ją: 18.

Cécile nie wiedziała, widocznie była jakaś inna przyczyna. Może to maniaczka? W każdym razie mały zaraz się obudzi. Źle teraz jada.

To nic zabawnego dla trzyletniego dziecka jadać stale bez ojca. Czy Grazzi przyjdzie na obiad?

Obiecał, że przyjdzie, myśląc jednocześnie o synku, który źle jada, i o Georgette Thomas, która siedzi przy lampie, naszywając małe kwadraciki z czerwoną literką „G” na bieliznę ozdobioną koronkami.

Wsiadł do autobusu, który nadjechał pusty z Hay-les-Roses, i został na pomoście, żeby wypalić pierwszego w tym dniu papierosa. Przy Porte d'Orléans o dziewiątej rano życie toczyło się w zwolnionym tempie. Niebo zaczęło się przejaśniać i ulice Paryża nabrały tu bardziej niedzielного wyglądu niż w Bagneux.

Gdy przesiadł się do autobusu 38, wszedł już do środka i zajął miejsce siedzące. Na przystanku przy placu d'Alésia, na widok filii „Progi-ne”, przypomniał sobie, że o dziesiątej ma się zobaczyć z osobnikiem, który telefonował wczoraj... jak to się on nazywa? Cabourg? Może Ga-bert odszukał tymczasem pozostałych. Aktorkę Darrès. I Rivolaniego. W książce telefonicznej figuruje tylko dwóch Rivolanich.

Grazzi wyobraził sobie małego Gaberta, który do północy telefonuje bez przerwy, płacze się w wyjaśnieniach i przeprasza, by wreszcie powiedzieć Grazziemu, gdy ten zjawi się za chwilę:

— Nic, wielki szefie. Siedemdziesiąt trzy telefony, dwunastu posłało mnie do diabła, dwóch zwymyślało od wariatów, a jeden sklął na czym świat stoi, bo już o czwartej rano otwiera swój kolonialny sklepik w Halach i jasne, że nie życzy sobie żadnych historii z glinami o jedenastej wieczorem...

Mam trzy sztuki, wielki szefie — powiedział Gabert.

Wyspany i ogolony, z twarzą nieco jeszcze zaróżowioną od chłodnego powietrza, czekał już prawie od godziny, siedząc na rogu stołu, zresztą nie swojego; stół ten zajmował Pardi, małomówny Korsykanin, który pracował zawsze w pojedynkę i właśnie wczoraj zakończył aferę ze skrobanką.

Grazzi zdjął palto i skinieniem ręki pozdrowił dwóch inspektorów z komisariatu, którzy stali, paląc i rozmawiając o piłce nożnej. Jakiś człowiek w marynarce, bez krawata, z kajdankami na rękach, siedział koło drzwi, wyprostowany, z nieobecnyim spojrzeniem.

Nie odrywając oczu od swej nieodstępnej układanki (mała metalowa płytką, na której wskazującym palcem przesuwiał cyfry, zapominając przy tym o bożym świecie), Gabert powiedział, że położył się spać po północy, że skarb państwa znowu stracił tysiące franków na połączenia telefoniczne i że głupota ludzka jest niezmierna.

— To znaczy, kogo dorwałeś?

— Przede wszystkim aktorkę. Nikt się u niej nie odzywał. Trzydzieści restauracji, zanim trafiłem. Złapałem ją wreszcie w „Chez André”. Można oszaleć. Te odgłosy... Jak człowiek telefonuje do restauracji, to nabiera apetytu... Można oszaleć.

— Kto jeszcze?

— Rivolani. Przewozi towary. Gadałem z jego żoną, nie z nim. Jechał do Marsylii i miał kraksę przed metą. Zostawił ciężarówkę w garażu w Berre i wrócił pociągiem. Miły głos ma ta jego żona.

— No, a trzeci?

— Trzecia, bo to kobieta, i kuszетка była na pewno zajęta.

— Garaudy?

Gabert, który nareszcie ustawił prawidłowo cyfry na metalowej płytce, zmieszał wszystko i zaczął układać od nowa. Jego jasne, starannie zaczesane włosy, falujące jak u pewnego amanta filmowego z czasów okupacji, były jeszcze nieco wilgotne na skroniach. Nie zdjął beżowej kurtki z kapturem, swej „budrysówki”, jak mawiał, ani szalika w kratę, „który naprawdę pochodził ze Szkocji”. Inni inspektorzy nabijali się ciągle z jego włosów, z jego dziwnego płaszcza, z pozowania na bogatego panicza, ale on gwizdał na to. Był drobny, szczupły, uśmiechał się jak ktoś, kto niczego nie traktuje serio, a już w żadnym razie — swojej pracy. Nie lubił jej, chociaż nie nienawidził. Nie obchodziła go. To ojciec mu ją wybrał.

— Pani Garaudy, tak. Jedna z pań Garaudy. W tej rodzinie jest ich dużo. Ta nasza jest żoną syna starszej pani Garaudy, inżyniera, którego pół roku temu przeniesiono służbowo do Marsylii. Lat dwadzieścia sześć, fachowiec od elektroniki. Zabawne, ta elektronika. Jeden mój kumpel w tym robi. Można tam znaleźć całą mitologię grecką, to taka jego własna teoryjka.

Grazzi usiadł tymczasem przy stole, wyjął czerwony notes i niecierpliwie potarł sobie kark.

— No więc?

— No więc pobrali się przed rokiem. Cała historia, ile to trudu zadała sobie teściowa, by urządzić ich w Marsylii.

— Nieważne.

— Ważne ze względu na dalszy ciąg. Zostawili w Paryżu furę rzeczy. A ponieważ Garaudy-mąż to prawdziwy przodownik pracy z powołania, nie wraca po trzy dni do domu, sypia z elektroniką, kapujesz? Więc pani Garaudy, ta, która cię interesuje, sama musiała zatroszczyć się o przetransportowanie garnków i pożegnać się z teściową.

— No i co?

— Wielki szefie, jesteś niewdzięcznikiem. Tak. Poważnie. Zmarnowałem dwie godziny, by się tego wszystkiego dowiedzieć. W końcu dotarłem do synowej. Była na kolacji w Neuilly, u jakichś innych Garaudy. Głosik zaczął jej drżeć, gdy powiedziałem, w czym rzecz. Historyjka w sam raz do opowiadania koleżankom: „Przecież to mnie mogli udusić!” Rozumiesz? Na imię ma Evelyne. Zresztą również ładny głosik. Kazałem jej mówić o sobie, tak, z czystej przyjemności. Musi być fajna babka. Przyjechała tu na parę dni, chyba do czwartku. Powiedziałem jej, że nie ma gadania, musi być do naszej dyspozycji.

Gabert zaśmiał się, nie podnosząc oczu; nieuchwytnymi ruchami palca nie przestawał układać cyferek.

— Przysięgała, że nie jest winna, że nikogo nie udusiła. Powiedziałem, że się zobaczy. Jeśli wielki szef się zgodzi, mogę zajrzeć do niej o jedenastej, ulica La Fontaine 130, prosić panią Lyne. Zgadzasz się? Grazzi odparł, że to lepsze niż patrzeć na Gaberta przez cały ranek. Ale samochód niech mu zostawi, Grazzi koniecznie musi wrócić na obiad do domu. O godzinie dziesiątej Cabourg nie zjawił się, wobec czego Grazzi postanowił pójść na kawę w pobliżu mostu Saint-Michel. Z płaszczem przerzuconym przez ramię wychodził właśnie z pokoju razem z Gabertem, gdy zbliżył się do nich jeden z policjantów, mówiąc, że jakiś mężczyzna i kobieta chcą widzieć się z Grazzim. Siostra i szwagier ofiary. Nazywali się Conte. Wracali z Instytutu Medycyny Sądowej.

Państwo Conte zasiedli przed biurkiem Grazziego, porozumiewając się z sobą oczyma przed wypowiedzeniem każdego zdania. W Prefekturze byli po raz pierwszy w życiu, a miny ich mówiły wyraźnie, że nie tak ją sobie wyobrażali. Kobieta, wysoka brunetka — podobnie jak

zamordowana, choć nie przypominała jej rysów twarzy — była zapłakana. Mężczyzna wyglądał na urzędnika bankowego, który popsuł sobie wzrok ślęcząc nad cyframi. Jego dziecięco niebieskie oczy spoza grubych szkieł okularów szukały niespokojnie, nieomal w przerażeniu, spojrzeń Grazziego, jak gdyby Grazzi był odrażającym zwierzęciem, które należało ujarzmić.

Nie był zresztą urzędnikiem w banku, lecz księgowym w jednej z filii Renault. Głos oddał żonie, zadowolając się potakiwaniem od czasu do czasu ruchem głowy, i patrzył przy tym na Grazziego, jak gdyby mówił „o właśnie, tak”.

Oboje poszli rozpoznać Georgette Thomas. Mieli nadzieję, że wydadzą im ciało jeszcze dziś wieczór, załatwili już wszystko co trzeba w sprawie pogrzebu. Byli w Paryżu jedyną rodziną zmarłej. Rodzice obu siostr mieszkali w departamencie Dordogne, we Fleurac, mieli tam fermę oraz sklep kolonialny z koncesją na wyszynk przy drodze do Perigueux.

Georgette była — Jak by to powiedzieć" — córką marnotrawną. Miała osiemnaście lat, gdy udało jej się zaczepić w Paryżu. Szkołę skończyła w Perigueux, akurat było wyzwolenie; bale, hołdy wojskowych — wszystko to przewróciło jej w głowie. Zaczęła uczęszczać na kursy, chciała zostać maszynistką, ale wkrótce wydało się, że znacznie pilniej uczęszcza do piwiarni przy rynku. W domu wybuchła awantura, Georgette płakała całymi dniami, pragnęła wyjechać. I w końcu wyjechała.

Jej siostra, Jeanne, dwa lata młodsza, siedząca teraz przed Grazzim z twarzą pobladłą i bolesną, odprowadziła ją wtedy na stację, wsadziła do wagonu, sądząc, że się już nigdy więcej nie zobaczą.

— Kiedy panie spotkały się znowu?

— Po kilku miesiącach, gdy wyszłam za mąż. Mego męża poznałam rok przedtem, spędzał letni urlop we Fleurac.

Conte skinął potakująco głową. Tak, właśnie tak było.

— Odtąd państwo mieszkają w Paryżu?

— Tak, niedaleko niej, koło placu Clichy. Ale nie widywaliśmy się często.

— Dlaczego?

— Sama nie wiem. Nasze życie różniło się. Wyszła za mąż w rok po mnie. Była wtedy przedstawicielką perfumeryjnej firmy „Gerly”.

Wyszła za kierownika działu sprzedaży, Jacques'a, bardzo porządnego człowieka. Wtedy przychodziła do nas częściej, w niedzielę na obiad, nieraz w ciągu tygodnia szliśmy razem do kina. A potem rozwiodła się! My mamy dzieci. Dwoje, syna i córkę. Georgette zaczęła przychodzić rzadziej. Może myślała, że mamy jej za złe ten rozwód czy tego mężczyznę, z którym żyła, nie wiem zresztą. W każdym razie przychodziła rzadziej.

— Kiedy widzieli ją państwo ostatnio?

— Chyba z miesiąc temu. Zaprosiła nas na kawę. Którejś niedzieli, po południu. Siedzieliśmy u niej z godzinę lub dwie, ale później musiała gdzieś wyjść. Zresztą i tak o niczym już nam nie mówiła.

Gabert, siedzący na rogu sąsiedniego biurka, nie odrywał oczu od swej układanki. Metalowe cyferki przesuwają się w tempie po trzy na sekundę, wydając cichy, suchy, denerwujący odgłos.

— Czy to ona chciała się rozwieść? — zapytał.

Jeanne Conte zawahała się chwilę, popatrzyła na Gaberta, na Grazziego, na męża. Nie wiedziała, czy ma odpowiadać, czy ten młody blondyn, wcale nie wyglądający na policjanta, ma prawo ją pytać.

— Nie, to Jacques. W firmie „Gerly” poznała dyrektora do spraw handlowych i po jakimś czasie Jacques się zorientował. Rozstali się. Georgette zmieniła posadę. Zaczęła pracować w „Barlin”.

— Czy nadal żyła z tym kochankiem?

Nowe wahanie. Pani Conte nie lubiła mówić o tym, zwłaszcza w obecności męża, który teraz spochmurniał i spuścił oczy.

— Raczej nie. Wynajęła mieszkanie na ulicy Duperre. Przypuszczam, że on się z nią widywał, ale nie mieszkali razem.

— Pani go знаła?

— Tylko raz go widzieliśmy.

— Przyprowadziła go do państwa?

— Nie. Spotkaliśmy ich kiedyś przypadkowo. Chyba ze trzy lata temu. On też nie pracował już w „Gerly”. Zajmował się samochodami. A po paru miesiącach był Bob.

— Co za Bob?

— Robert Vatsky. Rysował, zajmował się muzyką, bo ja wiem, czym jeszcze...

Grazzi popatrzył na zegarek, powiedział Gabertowi, że już czas, by udał się na ulicę La Fontaine. Gabert skinął głową i wyszedł, szurając



nogami, z układanką w jednej ręce, z szalikiem w drugiej. Jak zwykle, gdy widział go, oddalającego się zawsze tym samym leniwym i niedbałym krokiem, Grazzi złapał się na tym, że nazywa go w myśli jego wariackim imieniem: Jean-Loup<sup>1</sup>. I nagle przez chwilę poczuł się bardzo szczęśliwy, jak wtedy, gdy jego synek wymawiał jakieś nowe słowo, trochę je zniekształcając. To było śmieszne.

— Czy pani podejrzewa kogoś, kto mógłby popełnić tę zbrodnię? To znaczy, czy zna pani jakichś wrogów swojej siostry?

Oboje małżonkowie Conte pokręcili przecząco głowami. Ona powiedziała, że nic nie wiedzą, nie rozumieją.

Grazzi wyciągnął z jednej z szuflad protokół Urzędu Śledczego, odczytał wysokość konta bankowego, zarobków i kwoty znalezione w torebce. Mieli wrażenie, że wszystko się tu zgadza.

— Czy miała jeszcze jakieś dochody poza pensją? Oszczędności? Papiery wartościowe?

Nie przypuszczali.

— To nie leżało w jej charakterze — wyjaśniła Jeanne Conte, nerwowo skręcając chusteczkę. — Trudno to wytłumaczyć. Ale mieszkałyśmy przecież razem przez szesnaście lat, sypiałyśmy w jednym łóżku, nosiłam po niej ubrania, znałam ją dobrze.

Znów zaczęła płakać cicho, nie przestając patrzeć Grazziemu prosto w twarz.

— Była bardzo ambitna. To znaczy, jak by to powiedzieć, potrafiła ciężko pracować i znosić wiele wyrzeczeń, aby zdobyć to, co chciała. Ale pieniądze jako takie nie miały dla niej znaczenia. Nie wiem, jak to powiedzieć, ale interesowało ją tylko to, co do niej należało, co mogła sobie kupić. Mówiła często: „to moje”, „to dla mnie”, „moje własne palto” i temu podobne. Rozumie pan?

Grazzi powiedział, że nie.

— No cóż, powiem, że już wtedy gdy byłyśmy małe, uchodziła za skąpą. Żartowano sobie z niej w domu, bo nie chciała pożyczać mi pieniędzy ze swojej skarbonki. Chociaż nie wiem, czy „skąpa” to właściwe słowo. Nie ciułała pieniędzy, by je mieć. Wydawała. Ale na siebie. Nie zniosłaby myśli, że może je wydać na kogoś. Jedyne prezenty, jakie robiła, to dla mojego syna, którego bardzo kochała, ale już mojej córce

---

<sup>1</sup> Loup (fr.) — wilk.

nigdy nic nie dała, co stwarzało idiotyczną sytuację w domu. Kiedyś powiedzieliśmy jej o tym.

— Ile lat ma syn państwa?

— Pięć. Bo co?

Grazzi wyjął z teczki fotografie chłopca, znalezione wśród rzeczy Georgette Thomas.

— Tak, to Paul. Zdjęcia sprzed dwóch lat.

— Jeśli dobrze panią rozumiem, chce pani powiedzieć, że siostra nie miała zwyczaju oszczędzać, ale że była... powiedzmy: egoistką. Czy tak?

— I tak, i nie. Nie powiedziałam, że była egoistką. Bywała nawet szczodra, łatwowierna wobec każdego. Wszystkie głupstwa robiła przez naiwność: była strasznie naiwna. Robiliśmy jej z tego powodu wymówki. Nie wiem, jak panu to powiedzieć, ale teraz, gdy już nie żyje...

Łzy popłynęły znowu. Grazzi pomyślał, że lepiej przejść na inny temat, spytać na przykład o Boba, a później znowu wrócić... Ale nadal wbrew sobie rozdrapywał tę samą ranę.

— Robiła jej pani wymówki? Pokłóciły się panie?

Musiał odczekać, aż Jeanne Conte wytrze oczy tą zmiętą w kulkę chusteczką. Skinęła potakująco głową, wskutek szlochu żyły na jej szyi zarysowały się wyraźniej.

— Dwa lata temu, na Boże Narodzenie, o głupstwo.

— Jakie głupstwo?

— O samochód. Kupiła samochód, Dauphine. Kilka razy przychodziła do mego męża i on wreszcie załatwił jej pożyczkę, zajął się kupnem, jednym słowem wszystko... Dawno chciała mieć samochód. Już na kilka tygodni przed kupnem mówiła „mój samochód”. Gdy go wreszcie dostała, w wigilię Bożego Narodzenia, kazała w jednym z garaży wymalować malutki monogram na przednich drzwiczkach. Była zaproszona do nas na obiad. Spóźniła się. Wyjaśniła nam, dlaczego. Była szczęśliwa, aż trudno uwierzyć.

Grazzi nie mógł już znieść widoku tych łez, spływających dwiema strużkami po bladej twarzy.

— Żartowaliśmy z tego monogramu. A potem, sam pan wie, jak to bywa, człowiek powie niepotrzebnie za dużo, przecież ostatecznie to

były tylko jej sprawy... No i tak. Potem widywaliśmy się już rzadziej, może pięć czy sześć razy w ciągu ostatnich dwóch lat.

Grazzi powiedział, że rozumie. Wyobraził sobie Georgette Thomas przy stole w wigilię Bożego Narodzenia, dumną ze swej Dauphine z monogramem, potem złościwości, docinki, deser jedzony w milczeniu, wymuszone pocałunki na pożegnanie.

— Jeśli nie chodzi tu o rabunek, jak przypuszczamy, czy widzi pani kogoś wśród jej znajomych, kto mógłby to zrobić z innych powodów?

— Kto? Nie, nie ma nikogo takiego.

— Wspomniała pani o Bobie. Pani Conte wzruszyła ramionami.

— Bob jest leniwy, nie za bystry, typ, jakich wiele, ale trudno sobie wyobrazić, by mógł kogoś zabić, a już zwłaszcza Georgette.

— A jej mąż?

— Jacques? Dlaczego? Ożenił się drugi raz, ma synka, nigdy nie miał aż takiej pretensji do Georgette.

Małżonek znowu przytakiwał głową każdemu słowu. Nagle otworzył usta i powiedział bardzo szybko, wysokim, załamującym się głosem, że to morderstwo popełnił jakiś sadysta.

Człowiek, który siedział w głębi sali sztywno wyprostowany, roześmiał się, nie odrywając oczu od swych napiętków w kajdankach. Widocznie wszystko słyszał albo był nienormalny.

Grazzi wstał, powiedział państwu Conte, że ma ich adres i na pewno zgłosi się do nich jeszcze przed zakończeniem śledztwa. Gdy szli w stronę drzwi, lekkim skinieniem głowy żegnając dwóch inspektorów, którzy odprowadzali ich wzrokiem, Grazzi, na wspomnienie mieszkania przy ulicy Duperré, zadał im jeszcze jedno pytanie — na dźwięk tego pytania znieruchomieli w progu.

Pani Conte odpowiedziała, że nie, na pewno nie, Georgette ostatnio nie widywała się z nikim poza Bobem. Georgette nie była taka, jak pan inspektor zdaje się myśleć.

Mówił, że Georgette to był „ktoś”. Mówił, że trzeba było ją rozumieć. W każdym razie nigdy nie wyobrażał sobie, że jest jedyny w jej życiu, ale, dzięki Bogu, zazdrość nie leży w jego charakterze. Jeśli pan inspektor będzie nadal prowadził rozumowanie w tym kierunku, to on,

Bob, może mu powiedzieć od razu, że jest na fałszywym tropie i to go do niczego nie doprowadzi.

Bob to jego prawdziwe imię i figurowało w dowodzie osobistym. Robert natomiast — to pseudonim. Jego rodzice miewali dziwaczne pomysły, utonęli oboje w czasie rejsu żaglówką w Bretanii, gdy on miał lat dziesięć. Teraz, od dwóch miesięcy, ma lat dwadzieścia siedem.

Georgette umarła w wieku lat trzydziestu. Czy on, Bob, martwi się z tego powodu, czy nie, to już nie powinno interesować pana inspektora. Gliny, z przeproszeniem pana inspektora, napełniają go wstrętem lub śmiesznością. Co do pana inspektora, nie wie jeszcze, ale w grę wchodzi raczej to drugie uczucie. Przypuszczać, że Georgette miała forszę — to doprawdy śmieszne. Przypuszczać, że ten jej mąż byłby zdolny wsiąść do pociągu po to, by zabić, nie robiąc przy tym w portki zę strachu — to też lepszy ubaw. Przypuszczać, że on, Bob, mógłby znaleźć bodaj najmniejsze usprawiedliwienie dla tak zwanej zbrodni w afekcie, podczas gdy na dobrą sprawę jest to niemal jedyna rzecz zasługująca naprawdę na gilotynę — to także śmiechu warte. Ale przypuszczać — jeszcze lepiej! — że to on, Bob, zbłądziłby się, popełniając tego rodzaju zbrodnię, w dodatku w przedziale drugiej klasy — to już żalosne. Pan inspektor — przepraszam, jak godność? Grazziano, tak, jest bokser o tym nazwisku — pan inspektor Grazziano powinien się i płakać. Przyszedł, bo było mu przykro, że gliny tak długo grzebią w rzeczach Georgette. Wczoraj wieczorem przechodził akurat ulicą Duperre i nie podobał mu się, ale to absolutnie, sposób, w jaki przeszukiwano mieszkanie. Jak się potem nie umie uporządkować rzeczy, to nie trzeba ich ruszać.

Areszt, nie areszt, będzie mówił tak, jak mu się podoba. I chociaż z pana inspektora taki spryciarz, nie zaszkodzi, jak go wysłucha. Na drażliwość można sobie pozwalać, nim się zostanie gliną, ale w wieku pana inspektora to już niepoważne.

Przede wszystkim Georgette nie okradziono, bo nie było nic do ukradzenia. To jasne nawet dla gliny.

Poza tym była zbyt fajna, aby zadawać się z jakimś podejrzanym typem, który by mógł ją zabić. Ma nadzieję, że pan inspektor — mój Boże, przepraszam, jak godność? Aha, Grazziano, racja, dzięki — ma nadzieję, że pan Grazziano rozumie dobrze, co on, Bob, ma na myśli.

No i w końcu, jeśli można ufać idiotyzmowi jakiegoś zafajdanego dziennikarzyni, to Georgette konała około trzech minut. Otóż niech pan inspektor wbije sobie do głowy, że to jest właśnie najważniejsze, choćby nawet tylko dla niego, Boba, który na myśl o tych trzech minutach ma ochotę rozpieprzyć cały Paryż. Bo nawet nie uczęszczając na wieczorowe kursy Policji Śledczej, każdy rozumie, że te trzy minuty to dla fachowca zbyt wysoka cena i że ten skurwiel albo jeszcze gorzej... który to zrobił, był zwykłym amatorem. I to w dodatku amatorem-tę-pakiem, najohydniejsze, co może być.

Gdyby on, Bob, mógł się modlić, on, który jest niewierzący, prosiłby Boga o to, żeby ta informacja okazała się bzdurą dziennikarską i żeby morderstwa dokonał jednak jakiś zawodowiec, bo wtedy Georgette nie cierpiałaby przynajmniej.

I jeszcze coś: przed chwilą widział wychodzących stąd Szkaradę i Nędzotę, czy siostrę i szwagra Georgette. A więc, za przeproszeniem pana inspektora, najwyższy czas, żeby gliny przestały bawić się w naiwniaków, bo to nas wszystkich może drogo kosztować. To są straszne typy. Gorzej, są pełni dobrych chęci. I pleciugi. To, co mówią, to taka sama prawda, jak Apokalipsa. Nie mieli zielonego pojęcia o Georgette. Nie zna się tych, których się nie kocha. Cokolwiek mówili, to diabła warte.

No i tyle. Spodziewa się, że pan inspektor, który pewnie ma dość powtarzania swego nazwiska, już skapował. Co się tyczy reszty, naprawdę serce mu się kraje, i bardzo przeprasza, ale nigdy nie może zapamiętać, jak się kto nazywa.

Grazzi, ogłuszony tą gadaniną, spoglądał na Boba otępiąłym wzrokiem, niepewny, czy nie należało już dawno wezwać dyżurnego policjanta z korytarza, by zabrał tego wariata na przechowanie do aresztu.

Był ogromnego wzrostu, o głowę wyższy od Grazziego, przeraźliwie chudy; w oczach, niebieskich i bez przerwy rozbieganych było coś dziwnie przykuwającego.

Grazzi zupełnie inaczej wyobrażał sobie kochankę Georgette Thomas. Sam już teraz nie bardzo wiedział jak. A ten mężczyzna był tutaj — przystojniejszy od pośrednika samochodowego. Denerwował Grazziego swoim gadulstwem i przyprawiał o ból głowy.

Ale wczoraj, w momencie zbrodni, był u przyjaciół na wsi pięćdziesiąt kilometrów od Paryża w departamencie Seine-et-Oise i sześciuset

mieszkańców wsi mogło to powiedzieć: nigdy się nie zdarzyło, by przebywał gdzieś niezauważony.

Kwadrans po dwunastej zatelefonował Gabert. Wyszedł właśnie od Garaudych. Dzwonił z trafiki przy ulicy La Fontaine. Widział się z tą synową, trzeba powiedzieć, że jest diabelnie ładna.

— Ale ona nic nie wie, nic nie zauważyła, nic nie umie powiedzieć.

— A jej opisy zgadzają się z tym, co podał Cabourg?

— Niczego w ogóle nie opisywała. Mówi, że położyła się spać od razu, jak tylko wsiadła do pociągu, i natychmiast zasnęła. Z trudem przypomina sobie ofiarę. Wysiadła zaraz, gdy pociąg stanął, bo na peronie czekała na nią teściowa.

— Powinna była jednak zauważyć innych pasażerów... A poza tym to się nie zgadza. Cabourg utrzymuje, że kuszетка na górze była pusta aż do wpół do dwunastej czy dwunastej.

— Może się pomylił?

— Zobaczymy, jak przyjdzie. A jak ona wygląda?

— Ładna brunetka, długie włosy, duże niebieskie oczy, mały nosek, zadarty w sam raz ile trzeba, szczupła, wzrost około metr sześćdziesiąt, całkiem niczego sobie. Jest wyraźnie zakłopotana. Gada w taki sposób, by móc się w każdej chwili wycofać, rozumiesz? Chce mieć spokój, to wszystko. Jutro rano ma przyjść złożyć zeznania.

— Nie zauważyła nic specjalnego w czasie podróży?

— Nie. Powiada, że na nic się nam nie może przydać. Wsiadła do wagonu, położyła się, spała, wysiadła; teściowa na nią czekała. To wszystko. Nie pamięta nikogo, nic nie widziała.

— Głupkowata?

— Raczej nie. Jest po prostu zakłopotana. Widać, że za nic nie chce być wmieszana w tego typu historie.

— No, dobra. Pogadamy jeszcze o tym po południu.

— A co ja mam robić? Miałem zjeść obiad ze znajomą.

— Zjedz. Potem zajrzyj do Clichy, złap tam tego kierowcę ciężarówki, Rivolaniego. Ja tu jeszcze trochę poczekam na Cabourga. A po południu pojedziemy do aktorki.

O godzinie 15.00 komisarz Tarquin, w płaszczu, siedział przy biurku w swoim gabinecie. Minę miał zadowoloną.

Wlepił wzrok w Grązziego, a raczej w jego krawat, zaczynając od: „No jak tam zdrówko, panie Holmes?”

Wystukiwał raport na maszynie. Miał wprawę w ich redagowaniu. „Trzeba odpowiednio to spreparować... rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?”

Grazzi stał nieruchomo przed biurkiem i czekał, aż Tarquin dokończy zdania, waląc w klawisze palcami obu rąk, jak prawdziwa maszynistka. Grazzi natomiast czuł się tak niezaradny wobec maszyny do pisania, że swoje raporty pisał zawsze ręcznie.

Komisarz powiedział, że sprawa posuwa się naprzód. Odchylił się na oparcie krzesła i z kieszeni płaszcza wyjął pomiętego papierosa. Wyprostował go w palcach i rzucił: „Ognia, jeśliś łaskaw, zawsze ktoś bucha mi zapalki”. Zaciągając się dymem, wydał pomruk zadowolenia, po czym rzekł, że ci z kontrwywiadu wezmą to na tapetę; za trzy dni, w środę rano, zobaczy się z naczelnym. „Mój kochasiu, ja ich trochę podkręcę... Ajak leci u ciebie, Grazzi?”

Zastanawiał się dziś rano, podczas kąpieli, nad tą uduszoną. I zaraz sprezentuje Grazziemu ładny kwiatek. Niech dobrze nastawi uszu.

Wstał melodramatycznym ruchem, jak robił to zwykle, i orzekł, że cóż, że nie ma nad czym łamać sobie głowy. Primo, tę cież uduszono z powodu czegoś, co zdarzyło się przed jej wyjazdem do Marsylii. Secundo, z powodu czegoś, co wydarzyło się w trakcie jej pobytu w Marsylii. Tertio, z powodu czegoś, co wydarzyło się po jej wyjeździe stamtąd, może nawet w pociągu. Najważniejsze: znać motyw, sam się przekonasz, dokąd to doprowadzi.

Grazzi wymamrotał coś niewyraźnie na temat prostoty i uproszczeń, na co komisarz rzucił: „Te, te, te, jeśli widziałeś kiedy rozwiązanie zagadki zbrodni bez motywu, to proszę, pokaż i mnie, ja nie mam tyle doświadczenia”.

Powiedział, że Grazzi, który jest przecież inteligentny, na pewno już dawno zrozumiał, że na trzy hipotezy dwie są zawsze błędne. Primo i secundo: jeśli ten sukinsyn, który to zrobił, znał ofiarę, zanim jeszcze wsiadł do pociągu, to nie ma nawet jednej szansy na dziesięć tysięcy, że wybrałby właśnie to miejsce na zatkanie jej dzioba. Nawet jeśli był całkiem kopnięty, to właśnie fakt, że ją znał albo że zadał sobie fatygę śledzenia jej aż do Paryża, wskazuje, że wolałby raczej stuknąć

ją przed publicznością zebraną w Mutualité, wobec pięciu tysięcy ludzi, czy bodaj na placu Concorde... „rozumiesz, co chcę powiedzieć: mimo wszystko mniej by się to rzucało w oczy”.

Tarquin, który spacerował po pokoju z rękoma w kieszeniach płaszcza, wyciągnął wskazujący palec, położył od nikotyny, i przystanął, by dotknąć nim krawata Grazziego, spoglądając nań uważnie.

— Nie, panie Holmes, to wszystko rozegrało się w pociągu! I właśnie tę noc należy przewentylować. Piątek, dwudziesta druga trzydzieści — sobota, siódma pięćdziesiąt, ani wcześniej, ani później.

Trzykrotnie stuknął palcem w pierś Grazziego, skandując słowa:

— Jedność miejsca, jedność czasu, jedność czego tam chcesz: kłasyka! Jeśli ścisnęli jej gardziółko w pociągu, to dlatego, że jej nie znali, że nie umieli znaleźć na to innego miejsca, że się spieszyli i zdecydowali się na to w jednej chwili.

Skierował palec ku własnej twarzy i wymownie postukał się w czoło.  
— Zaufaj temu. Jeśli mam cokolwiek, to na pewno intuicję, czyli nosa.  
Jest coś nowego?

Grazzi powiedział, że nic ważnego, przesłuchiwał ludzi, którzy mają zbyt mocne alibi, by mogli być podejrzani. Sprawdzi się jeszcze, gdzie w chwili zabójstwa przebywał eks-mąż, Jacques Lange, i pewien młody lokator z ulicy Duperré, student, znajomy ofiary. Czeka na pierwszy raport z Marsylii.

— A reszta pasażerów przedziału?

— Cabourg nie przyszedł dziś rano. Ale chyba wszystko, co wiedział, podał mi już przez telefon. Odszukano jeszcze troje: aktorkę, kierowcę ciężarówki i żonę faceta, który robi w elektronice. Gabert ma się z nimi zobaczyć.

— Kogo brak?

— Kuszetki obok ofiary, numer 223. Jeśli Cabourg nie myli się, to jest to młoda dziewczyna, która wsiadła w Awinionie. Nazywa się Bombat. Nie figuruje w książce telefonicznej.

— A cizia?

Grazzi powiedział, że na razie nic, ale już zaczyna ją lepiej poznawać. Czuł jednocześnie niepokój, ponieważ wiedział, że to nieprawda, że nigdy nikogo nie znał, że wszystko przebiega jak zwykle, zeznania, twarze, hipotezy i w końcu nic — poza pewnością siebie tego wielkiego



mężczyzny o umykającym spojrzeniu, karierowicza pierwszej klasy, który znów rozsiadł się za swym biurkiem, z rękoma w kieszeni płaszcza.

**Czyżby** Tarquin miał jednak rację?

Grazzi znalazł na swym biurku notatkę małego Gaberta. Są wiadomości z Marsylii. Negatywne. Tamtejszy inspektor, Korsykanin, którego Grazzi znał, odtworzył przebieg pobytu ofiary w ciągu czterech dni, poprzedzających jej zamordowanie. Pierwszy telefoniczny raport nadejście koło godziny szesnastej.

Czekał, oparłszy czoło o szybę okna, pod którym stało jego biurko. Po Sekwanie płynęli wioślarze w czerwonych koszulkach, wydmuchując małe obłoczki pary.

Raport — sześć stron maszynopisu w trzech kopiach — przyniósł Gabert osobiście. Właśnie wrócił z Clichy. Widział Rivolaniego, jego żonę, synów. Bardzo mu się ta rodzina podobała. Poczęstowali go kawą, kieliszkiem armaniaku. Rozmawiali z nim o wszystkim, nawet o zmarłej.

— Przestań pytlować. Przeczytaj to także. Zaraz potem jedziemy do aktorki. Później do Cabourga, nie przyszedł. Czytali. Gabert żuł gumę.

**Georgette** Thomas wysiadła w Marsylii we wtorek, 1 października, o godzinie 8.37. **Koło** godziny 9 przyjechała do Hôtel des Messageries przy ulicy Félix-Pyat, w dzielnicy Saint-Mauront. Zatrzymywała się tam już podczas swych poprzednich pobytów. Jest to dzielnica tania, zamieszкана głównie przez Włochów lub rodziny pochodzenia włoskiego.

Od tej chwili aż do wyjazdu w piątek wieczorem, 4 października, całe dni zajęta była pokazami towarów swojej firmy w salonie fryzjerskim „Jacqueline d'Ars” w śródmieściu, przy ulicy de Rome. Wychodziła stamtąd koło godziny 19 i wieczory, włącznie z pierwszym, spędzała w towarzystwie niejakiego Pierre'a Becchi, stewarda na „Ville d'Orléans”, statku należącym do Towarzystwa Transportowego.

Rysopis Pierre'a Becchi: wysoki, brunet, elegancki, dosyć tęgi, lat trzydzieści pięć. Notowania policyjne: dwa wyroki sądu marynarki w Tulonie za pobicie i zadanie ran w okresie pełnienia służby wojsko-

wej, to wszystko. Z początkiem listopada ma odpłynąć na „Ville d'Orléans” w dziesięciodniowy rejs na Daleki Wschód. Georgette Thomas poznał kilka miesięcy temu, w lutym, w czasie jednego z jej pobytów w Marsylii. Zajmowali wówczas wspólny pokój w Hôtel des Messageries. Od tamtego czasu aż do teraz nie widzieli się i nie miał od niej żadnych wiadomości.

Po południu, we wtorek 1 października, Georgette Thomas zatelefonowała z „Jacqueline d'Ars” do baru przy ulicy Félix-Pyat, w którym bywa Pierre Becchi, gdy ma postój w porcie. Stewarda akurat nie było, więc poprosiła pana Lambrot, właściciela, aby mu przekazał, że ona będzie o godzinie 20. 1

Około 20 Georgette Thomas spotkała się z Pierre'em Becchi w barze przy ulicy Félix-Pyat, gdzie, czekając na nią, grał w karty ze stałymi bywalcami. Zjedli kolację w pobliskiej pizzerii przy bulwarze National i około 22 wrócili razem do Hôtel des Messageries.

W ciągu następnych dni, po godzinach pracy, Georgette Thomas spotykała się z kochankiem stale w tym samym barze, by zjeść kolację w tej samej pizzerii; z wyjątkiem czwartku, kiedy to po kinie jedli kolację w restauracji w dolinie des Auffes, nad brzegiem morza.

Rano ona pierwsza wychodziła z hotelu, wsiadała do autobusu na I rogu ulicy Félix-Pyat i bulwaru National i szła do pracy. Śniadania jadła z pracownikami „Jacqueline d'Ars” w barze samoobsługowym i przy ulicy de Rome. Pierre Becchi aż do wieczora przebywał w pokoju hotelowym. )

Pierre Becchi przesłuchiwany dziś rano, w niedzielę, nie potrafił w niczym uzupełnić śledztwa. W sumie znał Georgette Thomas niepełna dziesięć dni — pięć wtedy w lutym i cztery obecnie, w październiku — nie wie nic o jej życiu w Paryżu, nie ma pojęcia, jaka mogła być przyczyna morderstwa. W piątek wieczorem, po wspólnej, spożytej w pośpiechu kolacji w pizzerii, odprowadził Georgette Thomas na Gare Saint-Charles. Rozstali się przed wejściem na perony, dwie minuty przed odjazdem pociągu. Nazajutrz, gdy ją duszono w Paryżu, Pierre Becchi znajdował się w Marsylii. Wiarygodność jego zeznań sprawdzono.

Nadal miały być prowadzone przesłuchiwania tych, którzy kontaktowali się z Georgette Thomas. Jeśli tylko zajdzie się coś nowego, natychmiast powiadomią Paryż.

Przez te cztery dni w Marsylii panowała piękna pogoda. Inspektor, który telefonicznie przekazywał ten raport, mówił, że jeszcze jest ładnie.

Grazzi, zanim w towarzystwie Gaberta opuścił gmach Prefektury, wstąpił do gabinetu komisarza Tarquina, którego już tam nie zastał. Kładąc mu na biurku jeden egzemplarz raportu z Marsylii, spostrzegł notatkę rozpoczynającą się od jego nazwiska: „Grazzi. Jeśli to wydarzyło się w pociągu, to kradzież. Tak czy owak chodzi o wariata”.

Grazzi pomyślał najpierw, że z dwóch wariatów większym jest... itd., niemniej jednak zdecydowane stwierdzenia Tarquina zawsze robiły na nim wrażenie. Raz jeszcze przeczytał notatkę, wzruszył ramionami: nie widział nic, co by mogło być przedmiotem kradzieży.

Dogonił Gaberta na schodach. Z rękoma w kieszeniach kurtki z kapturem, żując gumę, Jean-Loup przysłuchiwał się narzekaniom trzech inspektorów z innego wydziału; przysłuchiwał się im z uwagą, która równie dobrze mogła świadczyć o chęci przypodobania się, jak o kpinie.

Stojąc kilka stopni wyżej od niego, wszyscy trzej oparli się plecami o poręcz i wyliczali, ile to już nocy nie spali. Cały tydzień tropili w Paryżu jakiegoś szczeniaka, którego szukano w dziesięciu departamentach, a który uciekł z domu albo został porwany, albo diabli wiedzą co. Teraz tym chłopakiem będzie musiał zająć się inny zespół, bo im trzem władowano morderstwo popełnione tej nocy: jakiś facet dał się sprzątać w toalecie hali sportowej Central — też sobie wybrał miejsce!

Gabert, podobnie jak Grazzi, jeszcze wczoraj rozpracowywał sprawę młodego uciekiniera, ponieważ chodziło o syna radcy miejskiego w Nicei i przy okazji zatrzymano wiele osób w Saint-Germain-des-Prés, w Dzielnicy Łacińskiej, na lotniskach i dworcach kolejowych. Gabert powiedział, że był to istotnie koszmar, ale... cóż robić? I wyszli obaj, Grazzi pierwszy, Gabert za nim, kiwając głową z miną zmartwioną i pełną zrozumienia.

W samochodzie — 4CV — który prowadził Grazzi, Jean-Loup wyjął z kieszeni układankę. Jechali przez bulwary na lewym brzegu, w kierunku placu d'Alma.

— Co myślisz o tym?

— O czym?

— O Marsylii.

Gabert, nie odrywając oczu od swojej układanki, powiedział, że trzeba by pojechać na miejsce, raport niewiele daje, to gadanina.

— Jednak można im ufać — rzekł Grazzi. — Jak mówią, że nic nie znaleźli, to znaczy, że nie znaleźli. Szef twierdzi, że wszystko stało się w pociągu.

Gabert krótko i dosadnie powiedział, co myśli o komisarzu i jak ocenia jego pomysły. Jechali teraz tunelem, naprzeciw Tuileries; zatrzymało ich czerwone światło. Grazzi zahamował i wyjął chustkę do nosa.

— Rozumiesz ty takiego faceta, który po sześciu miesiącach ma dziewczynę przez cztery noce — wytarł nos — a potem rozstają się jak dobrzy koledzy — znów wytarł nos — na następne pół roku?

Jean-Loup odparł, że rozumie, to wcale nie jest takie skomplikowane. Grazzi schował chustkę i przeciągnął pod nosem wierzchem dłoni. Powiedział, że jeszcze nigdy takiej kobiety nie spotkał.

— Ani takiej, ani żadnej innej, to prawda. Ożeniłem się, gdy miałem dwadzieścia lat.

Jean-Loup powiedział: „Daj spokój z życiorysem, mamy już zielone”. Ruszyli. Wzdłuż Sekwany, za Concorde, niebo wisiało nisko i lekka mgła unosiła się nad rzeką.

— Na kiedy ich umówiłeś, Rivolaniego i tamtą?

— Na jutro rano — odpowiedział Gabert. — Ale i tak nic to nie da. Dziewczyna nic nie wie, a on niewiele.

— Pamięta innych pasażerów z przedziału?

— Słabo. Mówi, że spał. Na nic nie zwracał uwagi. W każdym razie opisy się zgadzają, z wyjątkiem górnej kuszетки, Garaudy. On nie tylko jej nie widział, ale nawet nie wie, czy w ogóle już była na swojej kuszette, kiedy zasypiał, czy też przyszła dopiero później. To by się zresztą zgadzało z tym, co mówi ta mała, albo z tym, co mówi Cabourg, do wyboru.

— A jak ona wygląda?

— Nie na dusicielkę w każdym razie.

Grazzi powiedział, że Georgette Thomas też nie wyglądała na kobietę, która by raz na pół roku spotykała się z mężczyzną na kilka nocy, a w przerwie nie zaprzętała sobie nim głowy, a przecież tak właśnie było.

— Wcale nie wiadomo, czy o nim nie myślała — powiedział Jean-Loup. — Ziemia obróciła się parę razy od czasu, jak miałeś dwadzieścia lat, wielki szefie. Podreguluj swój zegarek.

Była godzina 17.00, gdy zatrzasnęli drzwiczki samochodu tuż przed znakiem zakazu parkowania, pod oknami kamienicy, w której mieszkała Eliane Darres. Na końcu uliczki, wąskiej i spokojnej, widać było kawałek pałacu Chaillot, jasnożółty, zawieszony pod niebem.

Dom był dostatni, schody ciche, winda działała.

— Znowu jakaś szansa — powiedział Grazzi.

Był znużony, tym znużeniem promieniującym od czubka głowy. Nie umiał wczuć się w psychikę młodej kobiety, nie rozumiał jej i nawet nie próbował rozumieć. Przesłuchiwać ludzi, robić notatki, być mrówką, która wieczorem wraca do swego mrowiska, to wszystko, co potrafił. Jeśli sprawa będzie się przewlekać, zabiorą się do niej inne mrówki. Na pewno wreszcie dokopią się czegoś, coś wydłubią.

Podczas gdy winda szybko, bez szmeru unosiła ich w górę, Grazzi patrzył na Gaberta, który wcale na niego nie patrzył, myślał zapewne o czymś innym, o swojej dziewczynie, wszystko jedno o czym i w gruncie rzeczy bimbał sobie na tę sprawę. Grazzi zazdrościł mu tego zamysłonego wyrazu twarzy, tej spokojnej miny. Jean-Loup nigdy nie stanie się jedną z mrówek, nie pragnie dogrzebywać się do niczego, nie zabiega ani o uznanie władz, ani o awanse. Do policji wstąpił trzy lub cztery lata temu, ponieważ, jak mówił, jego ojciec był maniakiem administracji, i to maniakiem upartym. Posłuszeństwo zapewniało przynajmniej synowi święty spokój. Ojciec musiał być kimś w jakimś ministerstwie, może Spraw Wewnętrznych, a jeśli tak, to na pewno popiera syna po cichu.

Wychodząc z windy na trzecim piętrze Gabert wyraził nadzieję, że to pójdzie szybko. O ósmej wieczorem ma randkę na Champs-Elysees, więc jeśli musi jeszcze pojechać do Cabourga, to się nie wyrobi.

Przed dwuskrzydłowymi drzwiami, do których zadzwonili, Gabert starannie pozapinał kurtkę i przyglądał dłonią włosy.

— Jaka ona jest? — spytał Grazzi.

— Kto?

— Ta twoja wieczorna randka.

Gabert powiedział „phi, taka sama wariatka jak inne”, i drzwi się otworzyły.

Eliane Darres była w różowym szlafroku i różowych pantofelkach domowych, obszytych białym futerkiem. Na jej widok Grazzi, który dotychczas sądził, że nie jest to aktorka zbyt znana, bo jej nazwisko nic mu nie mówiło, teraz od razu przypomniał ją sobie z licznych filmów, gdzie grywała drobne, zawsze podobne do siebie rólki, chyba nieme, bo jej głos go zaskoczył.

Był wysoki, przenikliwy, zmanierowany, nienaturalnie wesoły, głos kobiety, która nie bardzo wie, co robić z wolnym czasem, nie ma gosposi do otwierania drzwi, ale uważa za stosowne wspomnieć mimochodem, że w naszych czasach nie można sobie pozwolić na służącą i że za dziesięć minut ma bardzo ważne spotkanie.

Z przedpokoju, pomalowanego na różowo, wprowadziła ich do różowego pokoju, gdzie na niskich stolikach stały zapalone lampy. Długie, bezbarwne włosy miała upięte nad karkiem w ciężki kok, a gdy się odwróciła, by wskazać im fotele, jej wąska twarz o dużych ciemnych oczach okazała się twarzą czterdziestopięcioletniej starzejącej się kobiety, która pragnie wyglądać na młodszą i niszczy sobie skórę kosmetykami.

Eliane Darres omal nie zgubiła pantofla, wchodząc do salonu, i nie zdążyła w porę odsunąć na bok skrzypiącego fotela z obłuzowaną nóżką.

Inspektor, który przedstawił jej się Gracio czy Gracino, rozpiął płaszcz i ulokował się właśnie na tym fotelu. Jego kolega, młody blondynek, usiadł na kanapie z miną obojętną i spokojnie wyciągnął z kieszeni układankę.

Pierwsze skrzypnięcie fotela i cichutki, metaliczny dźwięk cyfr na płytce — Eliane usłyszała to jednocześnie. Blondynek nawet na nią nie spojrział.

Znała dobrze tego rodzaju typy — wszędzie wchodzą jak do siebie, zakładają nogę na nogę, wypijają podany im kieliszek, nie mówiąc nigdy „dziękuję”. Zazwyczaj są to tak zwani wieczni studenci, studiujący byle co, prawo, orientalistykę. Spokojni, przystojni, źle wychowani, mrukliwi, podobają się dziewczynom, choć nawet na nie nie patrzą, prześpi się taki z tobą raz, by zawrócić ci w głowie, potem wymawia się zmęczeniem, nauką, twierdzi, że nie tylko „te rzeczy” się liczą, od czasu do czasu całuje cię pośpiesznie, obojętnymi i wilgotnymi ustami, zupełnie jak dziecko, lub dotyka wskazującym palcem twego kolana, gdy właśnie wróciłaś od fryzjera, mówi coś miłego i — to wszystko. Doprowadza cię do szaleństwa.

Blondynek był inspektorem policji, ale na inspektora nie wyglądał, oczy miał wciąż utkwione w swojej zabawce, a szybkość, z jaką przesuwiał cyfry, była irytująca i przyciągała wzrok niby ekran telewizora, na który nie chcemy patrzeć.

— Nie zajmujemy pani wiele czasu — powiedział ten Gracio czy Gracino. — Przesłuchiwalismy już troje innych pasażerów z tego

przedziału. Niestety, chociaż to zrozumiałe, ich zeznania nie zawsze się z sobą zgadzają. Nocą w pociągu przeważnie się śpi i każdemu w pamięci pozostają inne szczegóły.

Powiedziała, że istotnie, i usiadła na dobrym fotelu, naprzeciwko niego, trzymając stopy jedną przy drugiej i starannie układając poły szlafroka na kolanach.

— Widzę, że nosi pani obrączkę — odezwał się wysoki inspektor o ostrych rysach twarzy. — Czy pani jest mężatką?

— Byłam. Mąż umarł wiele lat temu.

Wyjął mały czerwony notes z kieszeni płaszcza, otworzył na stronie założonej ołówkiem i, jak na filmie, zapisywał to, co mówiła. Spytał, czy pozwoli zadać sobie najpierw kilka osobistych pytań, aby mógł się o niej czegoś dowiedzieć.

Zapisał, że jest aktorką, wdową od ośmiu lat, że naprawdę nazywa się Dartetidès, że ma czterdzieści siedem lat, że wróciła z Aix-en-Provence, gdzie przez tydzień kręciła zdjęcia do filmu.

Przez krótki moment miała nadzieję, że nie zapyta, czy do Paryża wróciła od razu po skończeniu zdjęć, ale pomyślał i o tym. Wiedziała, że z łatwością sprawdzono by jej zeznania w wytwórni, i musiała wyznać, że zdjęcia zajęły jej tylko trzy popołudnia i że została w Marsylii jeszcze na kilka dni, spodziewając się, że zaangażują ją przy okazji do jakiegoś innego filmu. Dodała, że nawet najbardziej wzięci aktorzy próbują upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, skoro już wyjeżdżają w plener.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym wysoki, szczupły inspektor powiedział bez przekonania, że rozumie.

— Zarezerwowała pani kuszetkę 222, w piątek, 3 października, tak?

— To była kuszетка dolna, z prawej strony. Kiedy wsiadłam, w przedziale było już dwóch pasażerów.

Marsylia. Ulice Marsylii o godzinie dziesiątej wieczorem. U podnóża wielkich schodów Gare Saint-Charles mały bar na bulwarze d'Athènes, wypita tam szklankę herbaty i zjadła kruche ciastka. Światła, gwar na bulwarach. Niosła ciężką walizkę.

Kiedy weszła do przedziału, prawie jednocześnie z mężczyzną w skórzanej marynarce, ten drugi pasażer układał swój bagaż i wlaź



butami na dolną kuszetkę. Nie ośmieliła się zwrócić mu uwagi, zawsze była taka. Zresztą on zaraz pomógł jej położyć na górze walizkę.

Czuła się skrępowana obecnością mężczyzn w przedziale. Zastanawiała się nawet, ile by kosztowała dopłata do kuszetki w pierwszej klasie. Miała nadzieję, że będą jeszcze jakieś kobiety. Ale nikt nie nadchodził. Przypomniła sobie, że siedziała na swojej kuszetce, nieco pochylona do przodu, bo było nisko, i udając, że szuka czegoś w torebce, czekała, aż pociąg wreszcie ruszy, aż korytarze opustoszeją i skończą się te pożegnalne przedstawienia.

— Więc ofiara weszła do przedziału po pani?

— To znaczy ta kobieta, która, jak myślę, została zamordowana, weszła akurat, gdy pociąg ruszał. Jakaś druga, młoda dziewczyna, wsiadła w nocy, w Awinionie.

Wczoraj wieczorem w barze „Chez André”, po telefonie z policji, wróciła do stolika, przy którym znajomi jedli już deser. Nie wierzyli własnym uszom, ktoś pobiegł po „France-Soir”. Byli w siedmioro czy ośmioro, wśród nich — świeżo upieczona aktoreczka, „kobieta fatalna” o jasnych oczach, która po południu nagrywała komentarz do filmu krótkometrażowego o Madagaskarze; wszyscy pochylili się nad rozłożoną gazetą. Goście przy sąsiednich stolikach nadstawiali uszu.

— Ofiara była brunetką w ciemnym kostiumie — powiedział inspektor Gracio czy Gracino.

— Tak, to ta. Wczoraj wieczorem widziałam jej zdjęcie i przypomniałam ją sobie bardzo dobrze. Ta dokładność, z jaką ją zapamiętałam, jest wprost przerażająca. Całą noc nie mogłam przestać o niej myśleć. — Nazywała się Georgette Thomas. Czy widziała ją pani kiedykolwiek przedtem?

— Nie, nigdy.

— Jest pani pewna?

— Najzupełniej. Jej kuszetka była nad moją.

— Panie rozmawiały?

— Tak. Wie pan, rozmowy, jakie prowadzi się w pociągu. Powiedziała mi, że mieszka w Paryżu, że zajmuje się sprzedażą perfum. Rozpoznała zapach tych, które używam, i gawędziłyśmy parę minut.

— To było na samym początku podróży?

— Nie, później.

— Niech się pani postara opisać nam możliwie dokładnie całą podróż od momentu, gdy weszła pani do przedziału.

Skinęła głową, spojrzała na tego drugiego inspektora, blondyna, który nie podnosił oczu. Wahala się, czy nie poczęstować ich kawą, kieliszkiem porto; ale może nie wolno im przyjmować takich poczęstunków w czasie służby.

— Gdy weszła do przedziału, było tam dwóch mężczyzn. Jeden zajmował kuszetkę na samej górze, po prawej stronie od wejścia. Wyglądał na urzędnika, twarz miał poważną, trochę smutną. Zresztą nie wiem, po co to mówię. Zrobił na mnie wrażenie urzędnika. Może dlatego, że jego ubranie było mocno zniszczone... Nie wiem.

Zaplątała się jak zwykle. Nie mogła się powstrzymać, by nie spojrzeć na granatowy płaszcz inspektora, siedzącego naprzeciw, płaszcz za wąski w ramionach, z wytartymi mankietami. Inspektor także był w pewnym sensie urzędnikiem. Nie zapisywał teraz nic w małym notesie. Przysłuchiwał się jej beładnej paplaninie.

A przecież wiedziała, co mu należy powiedzieć. W nocy nie zmrużyła oka i przez cały niedzielny ranek rozmyślała w kuchni o tej podróży, dobierając słowa, którymi będzie musiała o niej mówić.

— Jest coś ważnego — odezwała się nagle. — On pokłócił się z ofiarą.

Metaliczny odgłos cyfr przesuwanych na układance ucichł. Znowu musiała spojrzeć na blondyna. Napotkała jego obojętny wzrok.

— Kto? Ten urzędnik? — zapytał.

— Nazywa się Cabourg — objaśnił inspektor o ostrych rysach twarzy — Co rozumie pani przez określenie „pokłócił się”? Czy znał ofiarę?

Powiedziała, że chyba nie, nie odniosła takiego wrażenia.

— Trudno mi teraz dokładnie podać, kiedy to było, czytałam właśnie ilustrowane pismo, a ona chciała zdjąć walizę, by coś z niej wyjąć. I właśnie ten, który wyglądał na urzędnika, ten Cabourg, pomógł jej. Później rozmawiali przez pewien czas na korytarzu, jak dwie osoby, które dopiero co się poznały. Nie przypuszczam, by znali się przedtem, bo słyszałam początek ich rozmowy. To trudno wytłumaczyć.

— Rozumiem — powiedział inspektor Gracio czy Gracino. — I potem pokłócili się? O co?

Przez kilka sekund wytrzymała jego wzrok. Oczy miał jasne, uważne, twarz bladą, zatroskaną. Powiedziała, że łatwo się tego domyślić. W pociągach często się to zdarza.

Czuła również na sobie spojrzenie blondyna, spojrzenie prawdopodobnie znudzone, ciężkie, może nieco ironiczne. Ten już na pewno odgadł i na pewno uważał, że sprawiła jej przyjemność sprzeczką tamtych dwojga, bo zazdrościła młodej brunetce, podrywanej na korytarzu wagonu, i temu podobne bzdury...

— W czasie rozmowy na korytarzu mężczyzna nabrał śmiałości, coś powiedział, zrobił jakiś ruch... Tak mi się zdaje... Już wcześniej, w przedziale, dziwnie na nią patrzył... Kobiety orientują się przecież w tych sprawach. Pokłócili się. Ona coś mówiła. Mówiła głośno. Drzwi przedziału były zamknięte, słów nie słyszałam, ale co do głosu i tonu nie można się było pomylić. Zaraz potem weszła sama i położyła się. On przyszedł znacznie później.

— Która mogła być mniej więcej godzina?

— Nie wiem. Gdy poszłam do toalety przebrać się na noc, popatrzyłam na zegarek: było wpół go dwunastej. Ta kłótnia odbyła się chyba w godzinę później.

— Nie przypomina pani sobie, czy to było przed, czy po sprawdzaniu biletów?

— Na pewno po. Wtedy była w przedziale jeszcze jedna kobieta. Ta z Awinionu. Młoda dziewczyna, blondynka, niebrzydka, w jasnej sukience i niebieskim palcie. Chyba czytała, bo jej lampka świeciła się, kiedy weszli kontrolerzy i zażądali biletów. Pan wie, nad każdą kuszetką są takie małe żaróweczki.

— Więc było już po północy?

— Na pewno.

— Co działo się dalej?

— Nic, położyła się. Później słyszałam, jak wszedł ten mężczyzna i położył się na swojej kuszetce. Drugi, z kuszetki dolnej lewej, też już dawno zgasił światło. Usnęłam.

— Nic więcej nie przypomina sobie pani na temat tej kłótni?

— Nie, wydaje mi się, że powiedziałam panu wszystko.

— Czy sądzi pani, że Cabourg obraził się na nią? Przypomniała sobie tego człowieka w podniszczonym ubraniu, rano, gdy pociąg przyjechał na miejsce, jego umykające oczy, wymiętą

twarz, potulny głos, gdy powiedział „przepraszam”, żeby przepuściła go przez drzwi przedziału. Metaliczny dźwięk układanki rozległ się znowu. Powiedziała, że nie, nie sądzi.

— Gdy przyjechaliśmy, od razy wysiadł, nawet na nią nie spojrzął ani się do niej nie odezwał. Czuło się, że mu wstyd, zwłaszcza wobec innych, i że chce jak najprędzej zejść nam z oczu.

— A ona?

— Zachowywała się zupełnie inaczej. Ani się nie śpieszyła, ani nie była zmieszana. Wcale o tym nie myślała albo może chciała, żeby tak wyglądało. Rozmawiała ze mną i z tą z Awinionu. Mężczyzna w skórzanej marynarce wysiadł po nim, powiedział „do widzenia”. Nie licząc „dobry wieczór” z poprzedniego dnia, gdy wchodził, były to chyba jedyne słowa, jakie wypowiedział w czasie drogi.

— Więc Cabourg wysiadł pierwszy. Potem ten drugi, który nazywa się Rivolani. Tak?

Eliane Darres pokręciła przecząco głową: to nie Cabourg wysiadł pierwszy, tylko młody chłopak z kuszетки na samej górze. Blondyn przestał się nagle bawić układanką, kościsty inspektor stuknął się trzy razy końcem długopisu w usta.

— Młody chłopak? — spytał Gracio czy Gracino. — Jaki chłopak? O której kuszette pani mówi?

— Tej najwyższej, po lewej stronie. No więc ten młody chłopak...

— Co za młody chłopak?

Nie zrozumiała, patrzyła to na jednego, to na drugiego. Wzrok małego blondyna pozbawiony był wyrazu, natomiast w spojrzeniu bladego inspektora malowało się niedowierzanie.

To ten młodszy wyjaśnił, że przecież chodzi tu o górną lewą kuszette, którą zajmowała kobieta nazwiskiem Garaudy. Mówiąc, patrzył na aktorkę niemal z ubolewaniem, prawie rozczarowany: uważał, że się pomyliła, a w takim razie mogła mylić się co do reszty i nie można ufać jej zeznaniom. Ot, aktorka bez zajęcia, starzejąca się, trochę megalomanka, trochę gaduła.

— Jak wyglądał ten młody człowiek? — zapytał.

— Dość wysoki, szczupły. Prawdę mówiąc, nie widziałam go dokładnie...

Niski inspektor w kurtce z kapturem westchnął krótko, niecierpliwie, jego towarzysz zmrużył oczy i zrobił zawiedzioną minę. Patrzyła

na tego Gracio czy Gracino, musiała unikać spojrzenia blondyna, by nie stracić równowagi.

— Inspektorze Gracino, pan, zdaje się, nie wierzy mi, ale ja wiem...

— Grazziano — poprawił ją.

— Przepraszam, Grazziano. Ale jeśli mówię, że go nie widziałam, to dlatego że wszedł do przedziału bardzo późno, jak już wszystko było pogaszone. I nie zapalił lampki, położył się po ciemku.

— Twierdziła pani jednak, że pani spała.

Odwróciła się do blondyna, który to powiedział. Nie patrzył na nią, znów zajęty swoją zabawką; nienawidziła go; miał ładne usta, nadaśa-ne jak u dziecka; chętnie by go zbiła, chciałyby go zbić, a potem ucałować te śliczne, obojętne usta, znała ich zbyt dobrze, tych smarkaczy, znała ich zbyt dobrze, wszyscy są tacy sami.

— Spałam — powiedziała, nie panując nad głosem. — Ale widocznie potknął się po ciemku, zwłaszcza że było dość ciasno, rzeczy stały pośrodku... i obudziłam się. Myślała: „Wiem, co mówię, wiem, co wiem, prawie przewrócił się na mnie, przechodząc, rozpoznam ich wśród tysięcy, rozpoznam ich po ciemku, mają ładne, wilgotne usta, obojętne, jak wargi dzieci, sami są jeszcze niemal dziećmi, są rozkoszni i złośliwi, rozpoznam ich, nie cierpię ich”.

— To była kobieta — powiedział Gracio („Nie, Grazziano, zaraz mi powie, że się pomyliłam, że jestem wariatką”). — Pani się po prostu pomyliła. Zaprzeczyła ruchem głowy, nie wiedząc, jak się bronić. Myślała: „Nie mylę się, nie widziałam go, ale wiem, był dokładnie taki sam jak oni wszyscy, jak pana młody kolega, który wcale nie wygląda na inspektora policji, jak ten student z kawiarni naprzeciw kina «Danton», rok temu, jak ci aktorzy, których ustawia się po raz pierwszy przed kamerą i którzy wygłupiają się i pozwalają sobie jeszcze na odwracanie się tyłem”. Spokojni, obojętni, mają to coś, co człowieka przyprawia o szaleństwo, mieć taką gładką skórę, być takim młodym, wejść do przedziału kolejowego, budząc wszystkich, potracając wszystkich, nie mówiąc nawet „przepraszam”. Nie przeprosił, powiedział: „Cholera, ale narozrabiałem”, niemal przewrócił się na nią, musiał być wysoki i szczupły, i niezgrabny, jak oni wszyscy, i wdrapał się na swoją kuszet-

kę, potrącając tę dziewczynę z Awinionu, i ona śmiała się też, tak sobie, po prostu, w ciemności, o pierwszej czy drugiej w nocy.

— Słyszałam jego głos — powiedziała. — Położył się i długo jeszcze rozmawiał z tą dziewczyną z dolnej kuszетки. Zapewniam pana, że był to chłopak, bardzo młody chłopak. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale wiem...

Wysoki inspektor wstał, włożył długopis w spiralę zamkniętego kołonotesu.

Po co w ogóle wyjmował notes? Prawie nic nie zapisał. Gdy tak stał przed nią, wydawał się jeszcze wyższy, jeszcze bardziej kościsty — olbrzymi szkielet w płaszczu z powycieranymi mankietami, z mizerną i smutną twarzą Pierrota.

— Inny świadek, ściślej mówiąc Cabourg, również słyszał, jak ta młoda kobieta rozmawiała z dziewczyną. Mogła się pani pomylić co do głosu.

Mówił tonem jednostajnym i znużonym, nie żeby ją przekonać, lecz żeby skończyć z tym szczegółem i przejść do innych.

— Tak czy owak, już ją odszukaliśmy.

Znowu pokręciła przecząco głową, patrząc na drobnego blondyna, który na nią nie patrzył, i powiedziała: „Nie wiem, tak mi się przynajmniej zdawało”. Jednocześnie pomyślała: „Nie pomyliłam się, nie mogę się mylić, kobieta nie mówi «cholera», gdy potrąca i budzi kogoś, powinnam im to wyjaśnić”.

Trzeba by jednak wyjaśnić tyle rzeczy, że poprzestała na upartym kręceniu głową, patrząc w górę na inspektora o wystających kościach policzkowych. Przed oczami stanął jej znów korytarz, zatłoczony w chwili odjazdu, jakiś chłopiec, z wyglądu piętnastoletni, jasnowłosy, smutny, który stał koło drzwi przedziału i usunął się, żeby ją przepuścić. To na pewno nie był ten sam, ale dla niej ten blondyn o bardzo czarnych oczach, w typowym garniturze z szarego tweedu, wiązał się z nocnymi wydarzeniami, z szeptem rozlegającym się z górnej kuszетки; opowiadał dziewczynie z Awinionu coś, z czego tylko ona się śmiała chichotem stłumionym, irytującym jak ta układanka inspektora w kurtce z kapturem.

— Gdy obudziła się pani rano, w przedziale nie było już tej pasażerki z górnej kuszетки?

Powiedziała „nie” i wciąż jeszcze kręciła przecząco głową, myśląc: „Nie, ja się nie mylę, nie rozumiem, mogłabym panu wytłumaczyć, ale trzeba by opowiedzieć o pewnym chłopcu, który dotknął wskazującym palcem mojego kolana, gdy wróciłam od fryzjera, który zaczął mnie całować od razu, od pierwszego spotkania w kawiarni naprzeciw kina «Danton», opowiedzieć panu o sprawach, które są dla mnie przykre, a które pan uznałby za gorszące. Nie, nie mogę”.

— Nie, nie widziałam. Poszłam ubrać się do toalety, koło szóstej czy siódmej... nie pamiętam. W każdym razie gdy wróciłam, już jej nie było w przedziale. Ta kobieta, którą uduszono, jeszcze leżała na swojej kuszetce; uśmiechnęła się do mnie, kiedy się nachyliłam, żeby schować szlafrok i piżamę do walizki. Młoda dziewczyna z Awinionu wkładała właśnie sukienkę, widocznie zdjęła ją w nocy, po ciemku. Pamiętam to, bośmy sobie żartowały. Trudno jej było się ubrać, leżała na wznak, pod kocem. Wreszcie trochę się podniosła, mówiąc „co tam”, zresztą wszyscy mężczyźni jeszcze spali.

Mężczyzna w skórzanej marynarce nawet chrapał, i to mocno, z cierpiącym wyrazem twarzy, pooranej zmęczeniem. Po rękach poznała, że był dokerem, mechanikiem czy kimś w tym rodzaju. Jego walizka, postawiona na sztorc w nogach kuszetki, była z tektury, wyblakłego niebieskiego koloru, powycierana na rogach. Cabourg nie ruszał się, pomyślała wtedy: „Pewnie patrzy na tę małą, na jej nagie ramiona, a ona ubiera się i może nawet wie, że on patrzy, ta dziwka”. Ohydne sprawy, dwuznaczne jak wszystko, co niezgodne z naturą. Biedny facet, myślał pewnie całkiem o czym innym; uświadomiła to sobie, kiedy zląził z góry: miał twarz wymizerowaną, i tę obrzydliwą, przepraszającą pokorę w oczach. — Czy ktoś na panią czekał na dworcu? — Nie. Bo co?

— Po prostu pytam.

Był potężny, schował do kieszeni płaszcz swój czerwony kołonotes. Dorzuciła głupio, wciąż na niego patrząc:

— Jeśli wolno mi wyrazić swoje zdanie, to nikt z tych, których widziałam w przedziale, nie był zdolny do tak strasznego czynu. Intuicja mi to mówi.

Wysoki inspektor pokiwał głową, prawdopodobnie nieco zażenowany, powiedział „dziękuję”, i spojrzał na drobnego blondyna; blondyn

wstał, jakby całkiem nieobecny myślami, i poprawił swój szalik w szkocką kratę.

Odprowadziła ich do przedpokoju, idąc z tyłu.

— Czy mogłaby pani przyjść do nas jutro, na Quai des Orfèvres?

— zapytał ten, którego nazwisko kończyło się jakoś na o... znowu by przekreśliła.

Wyznaczył godzinę dziesiątą; pokój 303, trzecie piętro. Powiedział, że może do jutra przypomni sobie jeszcze jakieś szczegóły, że on też się zastanowi nad tym, co im mówiła, że będzie musiała złożyć zeznanie

— i wyszli. Zamknęła za nimi drzwi, oparła się o nie plecami, urażona, wściekła na samą siebie.

W trzy minuty później znowu rozległ się dzwonek. Była już w saloniku, nie mając odwagi usiąść w tym samym fotelu, co zbyt żywo przypominałoby jej uczucie doznanego zawodu, położyła się na kanapie, zasłaniając oczy ramieniem. Wstała, domyślając się od razu, że to ten młody inspektor, sama nie wiedziała dlaczego, ale domyśliła się natychmiast, gdy tylko natrafiła ręką na zabawkę, którą zostawił na kanapie. Płaskie, metalowe pudełeczko, a w nim trzydzieści czerwonych metalowych kwadracików z czarnymi cyferkami, które należało przesuwac tak długo, póki nie ułożą się według kolejności. Zabawka.

Gdy wchodziła do przedpokoju, znów omal jej nie spadł z nogi pantofel; zanim otworzyła, spojrzała w wiszące koło drzwi lustro o wypukłej tafli. Z bliska twarz jej przypominała twarz wychowawczyni z pensji, do której chodziła dwadzieścia pięć lat temu, dziwną, o dużych czarnych oczach, wysokim czole, nieskończenie długim nosie. „Trochę — pomyślała — podobna jestem do tego Cabourga”.

Inspektor, blondyn w kurtce z kapturem, w starannie skrzyżowanym szaliku, miał piękny, impertynencki uśmiech, jak oni wszyscy, gdy czegoś od człowieka potrzebują. Powiedział, że o czymś zapomniał, i wszedł bezceremonialnie.

Zamknęła drzwi i ruszyła za nim do salonu. Podszedł wprost do kanapy i pochylony szukał swojej układanki.

— Ja ją mam.

Nie otwierając dłoni, pokazała mu metalową tabliczkę. Zbliżył się, a ponieważ nie oddawała mu zabawki, skrzyżował ręce na piersiach — patrzył na nią spokojnie, z tą ich fałszywą niewinnością, i powiedział:



„Bardzo panią przepraszam, zapomniałem”. Wyciągnął rękę, ona zaś pomyślała: „Powinnaś mu to oddać, przecież to inspektor policji, wariatko”. Wyciągnęła ramię, z głupim uśmiechem, o którym wiedziała, że jest głupi, i szybko zwróciła mu zabawkę. Poczuła dotyk jego ciepłej dłoni, ale patrzył na nią w dalszym ciągu tym swoim obojętnym wzrokiem, bez uśmiechu.

— Zapomnieliśmy jeszcze panią o coś zapytać.

Musiała cofnąć się nieco, bo stał bardzo blisko, chowając metalową tabliczkę do kieszeni, był niemal tego samego wzrostu co ona.

— Gdy pani opuszczała przedział, ofiara też chyba szykowała się do wyjścia?

— Nie wiem. Przypuszczam, że tak. Powiedziałam „do widzenia” im obu, jej i tej dziewczynie z Awinionu. Myślę, że zamierzały zaraz wysiąść z pociągu.

— Czy dużo ludzi było na korytarzu?

Głos miał ostry, znacznie mniej przyjemny niż ten drugi inspektor, który na pewno czekał na dole, w samochodzie.

— Ludzi było dużo, ale nie wysiadałam pierwsza, nie cierpię tłoku.

— Czy wysiadając, nie zauważyła pani niczego, co można by powiązać z morderstwem?

— Nie, nie sędzę.

Powiedziała, że się nad tym zastanowi, że nie zwracała specjalnej uwagi. Czy mogła przewidzieć, że w przedziale, który opuszcza, zostanie uduszona kobieta i że młody pan inspektor przyjdzie wypytywać ją o szczegóły?

Uśmiechnął się, dodał „oczywiście”, wyminął ją, żeby wejść do przedpokoju, zatrzymał się przed zniekształcającym lustrem, wiszącym koło drzwi, popatrzył w nie i powiedział: „Śmiesznie się wygląda, ale ludzie mają pomysły”.

Sprawdził dłonią, czy ma zabawkę w kieszeni. Powiedział, że zawsze wszystkiego wszędzie zapomina. Spytał, czy ona także.

— Zdaje mi się, że nie.

Pokiwał głową, powiedział: „No, to chyba do jutra, jeśli będę w biurze, jak pani tam przyjdzie”.

— Myślę, że dzisiaj nie na wiele się panom przydałam. Powiedział „ależ tak, tak”. Sam sobie otworzył drzwi.

— Cała ta historia z Cabourgiem to jednak coś nowego. Teraz właśnie mamy udać się do niego, zobaczymy, czy będzie skory powiedzieć nam całą prawdę.

— Czy podejrzewa go pan?

— Kto? — zdziwił się. — Ja? Nie podejrzewam nikogo. Szczerze mówiąc, jestem bardzo kiepskim policjantem, nienawidzę podejrzewać ludzi. Wolę oskarżać wszystkich od razu. Nie ma niewinnych. Czy pani, na przykład, wierzy w niewinność?

Roześmiała się, zdając sobie sprawę, że zachowuje się głupio wobec tego chłopca, który wygaduje niestworzone rzeczy, wcale nie wygląda na inspektora i stroi sobie z niej żarty.

— Czy uważa pani, że to niewinne — dodał — pomóc komuś zdjąć walizkę, aby zaraz potem podszczypywać tego kogoś w korytarzu?

Pokręcił zaraz głową, z nadąsaną miną, którą znała już tak dobrze, i zapytał, dlaczego właściwie tamta kobieta zdejmowała walizkę.

— Co chciała z niej wyjąć?

Próbowała sobie przypomnieć, znów zobaczyła tę brunetkę w zardartej wysoko spódnicy, gdy stawiała nogę na kuszetce — i spojrzenie owego Cabourga.

— Chyba aspirynę albo pastylki przeciw mdłościom. Ale zdaje mi się, że to jednak była aspiryna.

Powiedział, że to nie ma wielkiego znaczenia, tak czy inaczej nikt nie jest niewinny, albo trzeba być bardzo młodym, później wszystko robi się wstrętne.

Stała w progu z opuszczonymi ramionami, jak idiotka. Szybkim ruchem uniósł dłoń na „do widzenia”, a ona, zamiast cofnąć się i zamknąć drzwi, patrzyła za nim, wzrokiem Kopciuszka na balu, idiotka.

**Obiad** zjadła w kuchni; książkę opartą o butelkę wody mineralnej podtrzymawała jedną ręką, czytając po dziesięć razy tę samą stronę, a drukowane słowa nie mogły przesłonić obrazu kobiety uduszonej w pociągu. Bardzo czarne włosy, bardzo niebieskie oczy, szczupła i wysoka, w dobrze skrojonym kostiumie. Uśmiech, którym nagle błysnęła, zdumiewający, natarczywy, uważny. Georgette Thomas uśmiechała się często, także w czasie podróży. Weszła, zakłopotana z powodu wielkości swojej walizy, uśmiechnęła się: „Przepraszam państwa”. Nie chcia-

ła wziąć od niej pastylki, uśmiechnęła się: „To bardzo miło z pani strony”. Sama poczęstowała Cabourga papierosem, uśmiechnęła się: „Proszę bardzo”. A raniem niewyspana, zziębnięta Eliane Darres — czterdziestosiedmioletnia kobieta, która nie mogła znieść myśli, że znów zaczną się samotne posiłki przy kuchennym stole, z książką opartą o butelkę wody mineralnej — znowu otrzymała od tamtej uśmiech, prosty, nieoczekiwany, na „dzień dobry”: „Nareszcie dojeżdżamy”.

Biedactwo, nie wiedziała, że czeka ją śmierć, nawet jej przez myśl nie przemknęło, że kończy się jej ostatnia podróż. „Powinnam była to powiedzieć przed chwilą, tym inspektorom”.

W gazecie, nad którą pochylali się wszyscy razem wczoraj wieczorem, napisano, że nie chodzi o jakieś porachunki ani o morderstwo rabunkowe. Co ona mogła myśleć wtedy, gdy ją duszono? Co myśli człowiek zabijany?

Eliane Darres zmyła naczynia, jeden talerz, jedną łyżkę, jedną szklanekę, patelnię po jajecznicy. Długo stała w przedpokoju, między sypialnią a drzwiami wejściowymi, między snem a nie wiadomo czym, co w każdym razie było lepsze od samotności.

Pomyślała: „Zdążę jeszcze do kina, tu, niedaleko”. Do kina chodziła prawie co wieczór i tłumaczyła wszystkim, że robi to ze względów zawodowych, choć w gruncie rzeczy nie cierpi kina i musi dokonywać istnych cudów, by wykroić te dwie godziny. Czasem oglądała dwa razy ten sam film, ponieważ nie pamiętała tytułów, a fotosy przy wejściu nie zawsze pozwalają się zorientować. Nieważne zresztą, wszystko jedno, co się ogląda. W przerwie kupowała sobie miętowe cukierki albo jakieś inne słodkie. Nieważne.

**Nazajutrz**, czesząc się przed lustrem, uznała, że ładnie wygląda i jest wypoczęta. Nad Trocadero świeciło piękne słońce. Ubierając się, widziała przez okna swej sypialni spokojne niebo i powzięła spokojne decyzje.

Zamordowano jakąś kobietę, której nie znała, no cóż, to smutne. Trzeba przyjąć ten fakt do wiadomości. Powie, co ma do powiedzenia, nie będzie się przejmować tym, co o niej pomyśla.

Przede wszystkim nie myliła się, nie mogła się mylić co do młodego chłopca z najwyższej kuszетки. Jakże może mieć znaczenie, to już ich sprawa, ale głos, który słyszała, obecność, którą wyczuwała w ciemno-

ściach, na pewno świadczyły o tym, że był to chłopiec, a nie dziewczyna. Jeśli nie zechcą uwierzyć, trudno.

Wytłumaczy im jeszcze, że Georgette Thomas nie miała absolutnie powodu do niepokoju, że wcale nie spodziewała się śmierci. Gdyby ofiarą padła ta mała z Awinionu, byłoby to równie niespodziewane, równie niewiarygodne. Spróbuje opisać im uśmiech Georgette, to ważne.

Może również spróbuje opisać im spojrzenie Cabourga, gdy brunetka postawiła nogę na dolnej kuszetce, by dosięgnąć swej walizki, i gdy przy tym ruchu zadarła się jej spódnica.

Jeśli inspektor-blondyn będzie na Quai des Orfèvres, znów pewnie westchnie krótko, bezczelnie, i przybierze minę mówiącą: „Już wiem, do jakiego typu babsztyli panią zaliczyć”. Będzie przekonany, że ona widzi wszędzie tylko „te rzeczy”, ponieważ sama myśli o tym bez przerwy.

Co to on za bzdurę powiedział? Aha, że wszyscy są winni.

Błąd Eliane polegał na wiecznej obawie, że ktoś może jej coś zarzucić. Dobrze wiedziała co, ale zarzut byłby niesłuszny. Kobieta, która kurczowo trzyma się przemijającej młodości, niezłe się zabawiając. Te żałosne przygody nazywane są grzechem. Wamp w wieku przedemerytalnym. Ekshumowany kociak. Przez dwadzieścia lat ani razu nie zdradziła męża, który bez przerwy był chory, który teraz, w ramce na komodzie w sypialni, jest prawie tak samo obecny w jej życiu jak kiedyś. Otwierając komodę, by wyjąć z niej rękawiczki i torebkę, popatrzyła na tę fotografię. Chorował w wyniku zatrucia gazami na froncie w 1914 roku. Łagodny, sympatyczny, był jedyną istotą, przed którą nie miała ochoty się ukrywać, a pod koniec cierpiał tak, że jego śmierć powitała z ulgą.

Grzech. Miała dwóch kochanków, jednego przed małżeństwem, jako osiemnastoletnia dziewczyna, podczas wakacji, kiedy przygotowywała się do egzaminu maturalnego, który zresztą oblała. Drugiego — w roku ubiegłym i wciąż się jeszcze dziwiła, jak to było możliwe zarówno w pierwszym, jak i w drugim wypadku.

Po tym pierwszym nie zostało już ani jedno wspomnienie, nie pamiętała, jak się nazywał, czy był przystojny, czy brzydki, jaki w ogóle był; przypomina sobie, że bała się, aby ktoś nie nadszedł, a on chyba też się tego obawiał, bo nie rozebrał jej, zadarł tylko spódnice.

Gdy mówiono przy niej o młodych dziewczętach, teraz jeszcze było jej nieswojo nie dlatego, by czuła się winna, ale właśnie dlatego że nie miała o tym żadnych pięknych wspomnień. Było to coś męczącego, coś na chybcika i niezupełnie czystego. A ta idiotka, która pozwoliła robić „to” z sobą, leżąc z głową w dół, z szumem w skroniach, przegięta na krawędzi łóżka — to był ktoś inny.

W przedpokoju, już wychodząc, zobaczyła się w zniekształcającym lustrze i pomyślała o wychowawczyni na pensji, o pewnej małej idiotce w zadartej spódnicy i o kobiecie, która dwadzieścia lat później pozwoliła się pocałować w jakimś bistro, pachnącym frytkami i czerwonym winem, naprzeciw kina „Danton”.

Dziwne to, gdy się o tym pomyśli: po dwudziestu latach przerwy miała oto drugiego kochanka w tym samym wieku, jakby to był ten sam, jakby ten pierwszy po prostu się nie zestarzał. Tamten pewnie również przygotowywał się do egzaminów, których końca nie było widać, chodził do bistro i grywał tam w bilard, jak ten obecny w gry automatyczne. Winda utknęła między piętrami, Eliane musiała naciskać mnóstwo guziczków, jechać w górę, w dół, nim wreszcie ruszyła na dobre. Gdy już zjeżdżała na dół, winda znowu stanęła. Pomyślała: „Jakiś idiota urządza głupie żarty, otwiera kratę drzwi na samej górze, skończy się tym, że w ogóle wszystko się zepsuje, powinnam zawołać dozorcę”. Nie lubiła dozorczy, nie mówił jej nigdy dzień dobry ani dobry wieczór i zawsze chodził w pobrudzonym ubraniu.

Nacisnęła guzik najwyższego, piątego piętra, pojechała na górę; winda, nie wiadomo dlaczego, zatrzymała się na czwartym, Eliane znowu próbowała naciskać różne guziczki.

Dziwne, że zanim to się stało, myślała akurat o Eriku. Pewnego wieczoru, kiedy oczekiwał jej na dole, zrobił właśnie to samo: gdy ona wjeżdżała na górę, otworzył okratowane żelazem drzwi na piętrze. Naciskała wszelkie możliwe guziczki, a on zmuszał ją dojazdy tam i z powrotem, aż zaczęła krzyczeć. Tak sobie, dla kawału, ponieważ miał dwadzieścia lat czy może nawet dopiero dziewiętnaście, ładną, nadąsaną buzię, jak oni wszyscy, ponieważ rozbierał ją, nie śpiesząc się, w wielkim łożu, w którym sypiała samotnie, ponieważ tacy przyprawiają kobietę o szaleństwo i dobrze o tym wiedzą. Płakała, wychodząc z windy, a on powiedział: „Ja też byłem wściekły, czekając na ciebie ty-

le czasu". I rzeczywiście, czekał na nią, potem dała mu klucz i w niektóre wieczory zastawała go śpiącego na dywanie, niby kot, z rękoma pod głową, ale teraz to się już zepsuło na dobre, jego długie nogi na dywanie, jego ładna twarzyczka i czarne włosy, „muszę wezwać dozorcę”, grzeczny teraz i słodki, jak śpiące dziecko.

Erie przychodził przez pięć, sześć tygodni, może przez dwa miesiące, a potem często nie mogła się powstrzymać, by nie wejść do kawiarni na placu Dantona. Był jej winien pieniądze i to był dobry pretekst, by znów go zobaczyć, odszukać, mieć nadzieję na nie wiadomo co, coś lepszego od kina i miętowych cukierków w przerwie... o czym człowiek myśli, gdy go zabijają?

Nacisnęła znowu guziczki, gdy nagle, zanim jeszcze podniosła głowę, zanim przypomniało się jej coś sprzed roku, co kazało jej podnieść głowę, ogarnęła ją pewność, że oto właśnie ją zabijają, pomyślała: „Był przecież nade mną, winda nie ma sufitu, widział mnie przez cały ten czas, kpił sobie ze mnie, co myśli człowiek, gdy jest kochany?”

Podniosła głowę, następne piętro, ponad nią, było tuż, w tej samej chwili rozległ się strzał, rzucił ją niby kukłą o drewnianą ścianę windy, pomyślała „to niemożliwe, to nieprawda”, karkiem i ramieniem opierając się o ściankę, „ktoś jest nade mną, jak wtedy Erie, widzę ich w ciemności, jakby wszyscy podawali mi swe ładne, wilgotne usta, szepty i śmiechy niby dwóch uczniów, gdy wychowawczynie się oddała, jak ten chłopak i ta dziewczyna z Awinionu w nocy, koń z rozprutym brzuchem na fotografii z wojny 1914 roku, mam rozszarpaną pierś, palec na moim kolanie, gdy wróciłam od fryzjera, ta sama mała idiotka przewrócona w windzie, ja, ta dziewczyna, w ciemności”.

## *KUSZETKA NR 221*

Ernest-Georges-Jacques Rivolani, kierowca, urodzony 17 października 1915 w Meaux (Seine-et-Marne), zamieszkały w zaułku Villoux 3 w Clichy (Seine), został zabity kulą w kark z rewolweru Smith & Wesson, kaliber 45, z bliska, około godziny 23, dokładnie na jedenaste dni przed swoimi urodzinami, na które żona kupiła mu już w prezencie parę butów na futrze.

Leżał w swym odświętym garniturze twarzą do ziemi, z lewą ręką pod brzuchem, prawą zarzuconą na głowę, pod uniesionymi jeszcze, żelaznymi drzwiami garażu, gdzie parkował swój samochód, citroena 11CV, którego nie zdążył nawet wprowadzić i stał teraz z wyłączonym silnikiem pośrodku podwórza. Rivolani pozostawił wdowie zgaszenie reflektorów oraz wychowanie trojga dzieci; najstarsze zaledwie ukończyło szkołę.

— Paskudna sprawa — powiedział Mallet.

Nie spał całą noc, ponieważ to właśnie jego wezwano o godzinie pierwszej; co chwila wysuwał swój nie ogolony podbródek, wpatrując się w jeden punkt, trochę nieprzytomny ze zmęczenia, w nieprzemakalnym, rozpiętym płaszczu. Wczoraj wieczorem, to jest w niedzielę, podczas gdy Grazzi i Gabert jeździli od Rivolaniego do aktorki, a od niej do Cabourga — on, Mallet, biegał po Paryżu, sam, z notesem adresowym Georgette Thomas w kieszeni.

Grazzi, który w domu nie miał telefonu — założenie kosztowało 35 tysięcy starych franków, ciągle potrzebnych na coś innego — spał snem sprawiedliwego od godziny jedenastej wieczorem do ósmej piętnaście rano. Był ogolony, zatroskany, ale wypoczęty i rześki, w czystej koszuli. Tarquin nie przyszedł w ogóle, bo prawdopodobnie zirytował się i chciał najpierw udać się na Quai des Orfèvres, by pogadać z kimś, kto

by mu się przydał „w razie czego”. „Dobry ze mnie policjant, zgoda, lepiej jednak być krytym, jeśli kapujesz, o co mi chodzi”.

— Paskudna sprawa — powtórzył Mallet, kiwając głową; brodę pokrywał mu czarny, twardy zarost. — Ale to jeszcze nic, najgorsze z jego żoną. Z początku strasznie krzyczała, a teraz, gdy dzieci są w domu, nie mówi nic, tylko patrzy na ciebie, jakbyś jej mógł oddać męża. Gdy otwiera usta, to w kółko mówi o tych butach na futrze, nie mogę już o nich słuchać. Kupiła mu je na urodziny. O niczym innym nie myśli: marży mu nogi w tej ciężarówce. Słowo ci daję.

Grazzi, kiwając potakująco głową, patrzył na leżące ciało, myślał: „Trzeba być takim osłem jak ja, żeby dać się wpakować w tę kabałę. W ciągu dwudziestu lat powinienem się być nauczyć, że się nie skacze wyżej własnego nosa. I ten Tarquín nie przychodzi”.

Rivolani upadł bezwładnie jak manekin. Siła strzału była tak potężna, że pchnęła go jeszcze o metr dalej, kula rozszarpała mu połowę głowy, krew trysnęła aż w głąb garażu.

Jeden z policjantów robił pomiary. Grazzi odwrócił się, znowu podszedł do citroena. Mallet szedł tuż za nim jak namagnesowany, Grazzi czuł zapach jego włosów. Włosy miał równie twarde jak brodę i dwa razy dziennie maścił je tanią brylantyną, żeby nie sterczały.

Dziesięć murowanych garaży z żaluzjowymi drzwiami, które zamykano na kłódkę, stało w odległości trzech metrów naprzeciw siebie po obu stronach podwórka wyłożonego betonem. Dom, w którym mieszkała rodzina Rivolani, tworzył róg ulicy i zaułka, gdzie w miejscu chodnika rosły chwasty.

Wczoraj, jak w każdy niedzielny wieczór, gdy nie był akurat w drodze, kierowca ciężarówki wybrał się do kina z żoną i najmłodszym, trzynastoletnim synem — chłopak nie poszedł dziś do szkoły i w oczach kolegów urósł do rangi „osobistości”.

— O której wrócili?

— O jedenastej, może o jedenastej piętnaście. Byli w kinie przy Saint-Lazare. Rivolani chciał im pokazać coś wesołego po tej historii w pociągu. Odprowadził ich aż do drzwi mieszkania, po czym wrócił tutaj, żeby wstawić wóz do garażu. Żona mówi, że citroena używali tylko w święta, jeździli czasem do kina lub za miasto. Zaniepokoiła się po godzinie, gdy nie wracał. Chłopak już spał. Poszła sama zobaczyć, myśla-



ła, że może zmienia koło albo coś reperuje. Zaczęła krzyczeć, wzywać sąsiadów. Zawiadomili komisariat w Clichy.

Grazzi patrzył na czyste siedzenia w samochodzie, na tablicę rozdzielczą. Gdy Rivolani miał czas, przychodził zapewne z synem do garażu i pucując swego citroena, rozmawiali o mechanice, ojciec ufny w swoją wiedzę, mały wierzący w ojca, dokładnie tak jak on, Grazzi, będzie rozmawiał z Dinem, później, kiedy malec trochę podrośnie i będą już mieli samochód.

— Nikt nic nie słyszał?

— Nic — odparł Mallet. — Dopiero jak żona zaczęła krzyczeć... Najgorsze, że pogasiła reflektory i że to pamięta. Rozumiesz?

„Zaraz — pomyślał Grazzi — zacznie się wściekać, a w dodatku zaraz też zjawi się Tarquin, żeby sobie na mnie poużywać”.

Mallet, przyzwyczajony do niewyspania, wciąż kiwał głową, z oczami wpatrzonymi w jeden punkt, ale komisarz właśnie nadjechał, sam, hamując pośrodku podwórza; jego czarny peugeot 403 miał z tyłu wielki stalowy hak: na wakacje komisarz zabierał z sobą małą łódź na przyczepie.

Tarquin z daleka skinął na powitanie ręką Grazziemu i Malletowi, wszedł do garażu, tocząc przed sobą wielki brzuch, i pochylił się nad trupem. Miejscowi policjanci i ludzie komisarza z Clichy patrzyli na Tarquina, który w trzydzieści sekund później wyprostował się i stojąc już w słońcu, nieoczekiwanym w ten październikowy poniedziałek, wydał z siebie coś niby westchnienie ulgi i wypowiedział jedyne sensowne słowa, jakie usłyszano tego ranka:

— Ta pukawka musi pochodzić z nielegalnego handlu, moje dzieci. Właściciele czterdziestki piątki można policzyć na palcach. W dodatku ten skurwysyn, który wyrabia takie kule i jest dobrym fachowcem, palnął jednak kapitalne głupstwo, no bo jeśli w swojej praktyce trafiłście na wielu opryszków, znaczących swoje wyczyny krzyżykiem, to macie większą praktykę ode mnie!

Kula była nie tylko starannie nacięta na krzyż, ale nacięcia były żłobkowane i cztery głębokie rowki tworzyły u szczytu ostre kanty. Rotrou, od trzydziestu lat oglądający w laboratorium ołowiane czubki, napomknął o nabojach używanych przez Anglików podczas ostatniej wojny w Azji — rozrywają się one głęboko w ciele. Wspomniał również o pro-

cesie, jaki wytoczono zawodowym myśliwym w Fort-Lamy, którzy zabijali nieraz zwierzęta w taki właśnie sposób.

Przy stole komisarza stało ich pięciu — Grazzi, Jouy, Bezard który przyniósł walizkę Georgette Thomas, Alloyau i Pardi, milczący Korsykanin, który oparł się o drzwi i palił papierosa. Mallet poszedł się wyspać. Gabert szukał dziewczyny z Awinionu, biegając po biurach pośrednictwa pracy i komisariatach.

Tarquin, z twarzą błyszczącą od potu, ze zgaszonym, mokrym od ślmy papierosem w ustach, przypominał teraz Malleta: kiwał głową oczy utkwiał w jeden punkt, miał minę człowieka, któremu wysuwają stołek spod siedzenia.

Padło bez ogródek: „Cholera, całkiem już zramolałem” — zawsze i wszędzie coś nawala. Co, u licha, ten cały Grazzi robił od soboty rano?!

— Sobota była przedwczoraj, pośrodku wypadła niedziela — odpowiedział Grazzi. — A czy ty mogłeś przewidzieć, że wyeliminują tego faceta?

— Wyeliminują?

— Tak tylko powiedziałem.

Pardi, który stał przy drzwiach, oświadczył powolnym głosem z tym swoim akcentem á la Tino Rossi, że słowo jest trafnie dobrane! bo tego kierowcę na pewno wyeliminowano jako niewygodnego świadka.

Zapadła cisza, wszyscy myśleli to samo.

— Czy on był przesłuchiwany? — zapytał komisarz wyraźnie spokojniejszym tonem.

— Tak, wczoraj wieczorem. Posłałem do niego Gaberta. Miał przyjść tu dzisiaj, opowiedzieć wszystko dokładnie.

Grazzi wyjął swój czerwony notes, odszukał stronę, gdzie miał zapisać, co Jean-Loup przekazał mu z tej rozmowy. Po powrocie od Cabourga, którego nie zastali i w którego mieszkaniu zrobili rewizję, nie mając zresztą nakazu i wbrew protestom dozorczyńni — po prostu rzut oka, bez dotykania czegokolwiek — zasiedli w pustym pokoju inspektorów po dwóch stronach stołu, na którym paliła się lampa. Cabourg i przyczyny jego nieobecności trapiły ich wówczas bardziej niż osoba kierowcy ciężarówki. Na domiar złego Jean-Loup śpieszył się widocznie z tym przesłuchaniem. Na kartce w notesie Grazziego było zale-

dwie parę nie dokończonych zdań i z trudem dałoby się z nich sklecić trzy linijki raportu.

— Co tydzień jeździł z ładunkiem towaru na Południe. Z powrotem zabierał nowalijki. W zeszłym tygodniu nawaliła mu ciężarówka niedaleko Berre i zostawił ją w najbliższym warsztacie. Ponieważ naprawa miała potrwać parę dni, zdecydował się wrócić do domu pociągiem. Pod koniec tygodnia miał się zgłosić po wóz.

Tarquin, ciągle w kapeluszu na głowie, zauważył: „Dobra, nie pytam cię o jego życiorys”.

— Do pociągu wszedł w piątek wieczorem. To, co powiedział o innych pasażerach, pokrywa się z zeznaniami Cabourga i aktorki. U niej byliśmy po południu. W tej chwili powinna siedzieć w poczekalni.

Grazzi popatrzył na zegarek: 11.30. Eliane Darres może ma już dosyć... Tarquin, który go obserwował, powiedział, żeby Jouy zajrzał do poczekalni i odprawił tę starą jak najprędzej. Jeżeli będzie potrzeba, to się ją sprowadzi.

— Przy tego rodzaju pracy — podjął Grazzi, kiedy Jouy wyszedł — facet zasypia, gdy tylko przysiądzie gdziekolwiek. W przedziale zasnął pierwszy i obudził się ostatni. Nic nie widział, nic nie słyszał.

Za plecami Grazziego rozległ się głos Tina Rossi; jednak coś tam musiało być — usłyszeli — zadano sobie trud czekania, aż kierowca wróci z kina, więc nie mogła to być tylko kara za to, że spał w pociągu.

— W każdym razie on sobie nic nie przypominał. Możliwe, że morderca miał lepszą pamięć od niego.

Zaterkotał wewnętrzny telefon. Tarquin podniósł słuchawkę, kiwnął głową, kilka razy powtórzył: „Tak, dziękuję, stary” — i odłożył słuchawkę, oznajmiając, że Grazzi ma jednak szczęście, bo mimo wszystko jakieś zaczepienie mają: rewolwer.

— Rotrou twierdzi kategorycznie, że to Smith & Wesson, nowy typ, kupiony przez kogoś, kto zna się na broni. Poza tym miał tłumik. Tak, moje dzieci, tłumik. Rotrou mówi, że to gruszka, nie cylinder, mówi, że może narysować na papierze, jak to wygląda.

Grazzi, który nie znosił takich wyrazów jak „kategorycznie” w ustach Tarquina i stawał się wtedy niemal niesprawiedliwy, skwitował, że nie pierwszy raz Rotrou odgaduje kolor czyichś oczu na podstawie kawałka ołowiu, a potem okazuje się coś wręcz przeciwnego. „Więc dajcie mi spokój z tym jego śmiechu wartym rysunkiem”.

Nie miał teraz ochoty do śmiechu. Wlepił spojrzenie swoich niebieskich oczu w komisarza, który spoglądał tylko na jego krawat, i nagle Tarquin wstał, zerwał się, jakby chciał połknąć niedopałek papierosa i Grazzię na dokładkę. Ale nie powiedział nic. Wierzchem dłoni zsunął kapelusz na tył głowy i odwrócił się do okna.

Nie przestając patrzeć na plecy komisarza, nieco poniżej ramion, Grazzi czystym i mocnym głosem wyrecytował jednym tchem, że według niego nie należałoby jednak zwlekać, bo nie znaleziono jeszcze Cabourga, który w pośpiechu opuścił swoje mieszkanie, zostawiając zapalone światło nad umywalką i, jeśli będą za długo się namyślać, Cabourg może im nadal przysparzać nieboszczyków. I po chwili dorzucił: „Ten kierowca miał żonę i troje dzieci”.

Tarquin odparł, że taki już jest świat. Stał nieruchomo przed oknem i budził niemal współczucie w swoim szerokim płaszczu; jeden ze szwów był już od wielu dni nadpruty. Myślał zapewne: to nie Cabourg, to jakiś specjalista, i wszystko odbyło się w pociągu... „Gdybym mógł napuścić dziesięciu tajniaków na handlarzy bronią i zasięgnąć języka u tych od nielegalnego handlu, w czterdzieści osiem godzin wiedziałbym, co to za ptaszek. Capnęłoby się go, dostarczyło Frégardowi, i niech się ta oferma zgrywa na Sherlocka Holmesa, jeśli go to bawi. Co on sobie w ogóle wyobraża?”

Zadzwoił telefon z miasta. Tarquin odwrócił się z wolna, znużonym ruchem podniósł słuchawkę, pochylił głowę, potem rzekł: „Cholera jasna, co takiego? Gdzie? W windzie?” — przykrył pulchną dłonią słuchawkę, mówiąc, że Grazziemu i całej reszcie ruch dobrze zrobi. „Nie ma co szukać tej aktorki w poczekalni, bo właśnie załatwili ją dwie godziny temu, w ładną kabałę wpakowaliśmy się teraz wszyscy”. Zdjął rękę ze słuchawki, rzucił: „No, oczywiście, oczywiście, jedziemy. Do kogo ta mowa?!”

Przeniesiono ją na łóżko w sypialni. Żeby nie ruszać windy z miejsca, trzeba było z piętra znieść zastrzeloną kobietę na rękach; jeden z pantofli na wysokim obcasie spadł jej z nogi i został w przedpokoju na podłodze.

Na twarzy Eliane Darres zastygł wyraz zdumienia. Kula zmiażdżyła jej pierś, niby uderzenie ciężkim młotem, ale krew widać było tylko na sukni i futrze z prawdziwych lampartów.

Tarquin i Grazzi stali przy łóżku, Jean-Loup, który nadbiegł zdyszany, potrącając jednego z policjantów i zastępcę, ledwie zdążył powiedzieć „dzień dobry, szefie” i spuścić oczy i natychmiast musiał się odwrócić z twarzą wykrzywioną, jakby zaraz miał zwymiotować. Grazzi odciągnął go na schody.

Był teraz przestraszony nie na żarty.

Oto przebieg wydarzeń: w sobotę rano zostaje uduszona w pociągu Georgette Thomas. W sobotę wieczorem pisze o tym „France-Soir”, inne dzienniki w poniedziałek. „France-Soir” podaje tylko nazwiska pasażerów. W poniedziałkowych gazetach ukazują się już wzmianki o Ca-bourgu, Garaudy, Darres, Rivolanim. Coś zapewne pokrzyżowało plany mordercy, i to coś jest bardzo ważne, skoro ofiarą padają dwie następne osoby z przedziału.

Grazzi myślał o Cabourgu, który zniknął w sobotę wieczorem, zostawiając w swoim pokoju nie zgaszone światło. Morderca czy zamordowany?

Grazzi myślał o młodej dziewczynie z Awinionu, której Gabert nie mógł odszukać. Czy sprytniejszy lub lepiej poinformowany morderca jest już na jej tropie?

— Zabili Rivolaniego? — spytał Gabert.

— Zupełnie tak samo, jak tę tutaj. Z odległości niespełna dwóch kroków, ten sam kaliber i rodzaj kuli. Dlaczego mówisz „zabili”?

— Nie wiem — odparł Gabert.

Był blady, ale trzymał się prosto. Dwadzieścia trzy lata. Tego ranka chyba szczerze nienawidził swojego zawodu. Grazzi też nienawidził swojego zawodu; przytrzymując ręką otwarte drzwi windy, myślał: „oni” wytropili Rivolaniego w niedzielę wieczorem, kiedy dane o Rivolanim nie ukazały się jeszcze w prasie, może również dopadli Cabourga. A ta mała Bombat?

— Dowiedziałeś się czegoś o tej dziewczynie z Awinionu?

— W hotelach nie ma śladu. Obleciałem prawie wszystkie komisariaty. Muszę jeszcze dziś po południu sprawdzić biura pośrednictwa pracy. Ale wiesz, na to trzeba trochę czasu, nie mam nikogo do pomocy. Tamten facet jest szybszy ode mnie.

Gabert mówił to głosem niskim, zduszonym, strasznym, wskazując na klatkę windy. Grazzi myślał: „No i cóż, stało się. Nigdy nie wątpiłem, że pewnego dnia to się stanie. Tarquin na dwa, trzy lata pójdzie

w odstawkę, może sobie na to pozwolić, a tymczasem ministrowie się pozmieniają, ale ja, szkoda gadać... zostanę gryziopiórkiem w jakimś prowincjonalnym komisariacie albo w najlepszym razie wezmę na odwagę i przeniosę się do ubezpieczeń lub do jakiegoś dużego magazynu, obojętne gdzie. I to wszystko dlatego, że jakiś wariat działa szybciej od nas".

— Chytry sposób z tą windą — przyznał głośno zmęczonym głosem.

Ujął Gaberta pod ramię i zaciągnął na piąte piętro, nad pustą kabinę windy.

— Wsiadła do windy. Pozwolił jej zjechać na dół, po czym otworzył zewnętrzne drzwi. Nie mam pojęcia, skąd wiedział, że w windzie jest właśnie ona. Prawdopodobnie czatował na nią trochę niżej, na schodach. A łatwo było ją poznać po tym lamparcim futrze. Zamykał i otwierał drzwi, podczas gdy ona naciskała w windzie różne guziczki. Jeśli wjeżdżała na górę, zamykał drzwi. Jeśli zjeżdżała na dół — otwierał i winda stawała. Rozumiesz, chciał ją sprowadzić na czwarte piętro, kierował windą spokojnie, zatrzymywał, gdzie chciał.

Grazzi zamknął okratowane drzwi, zrobił gest dwoma palcami, jakby celował, i powtórzył: „Chytry sposób, to bardzo sprytny wariat”.

— Dlaczego nie wzywała pomocy?

— Właśnie na tym cały dowcip polega. Ludzie krzyczą, kiedy winda staje! Ale winda chodziła! Tyle że nie zjeżdżała w dół, a wjeżdżała do góry. Możliwe, że ta Darres zamierzała wysiąść na jakimś innym piętrze.

Usłyszeli Tarquina, który mówił bardzo głośno na podeście schodów piętro niżej, otoczony przez policjantów i lokatorów domu. Zeszli tam obaj.

Komisarz spojrział na Grazziego, a raczej na brzuch Grazziego — ręce w kieszeniach płaszcza, kapelusz zsunięty na kark.

— Nasz Holmesie — zapytał — czy ten skurwysyn miał czy nie miał rewolweru z tłumikiem?

— Miał — przyznał Grazzi. — Ale co nam daje to stwierdzenie? Zanim dotrzemy do handlarzy bronią, zanim przeprowadzimy u nich rewizje i puścimy w ruch tajniaków, tamten zdąży znowu skorzystać ze swego tłumika! A zresztą mógł sam sobie zмайstrować podobną gruszkę, skoro z niego taki spryciarz.

— Musiałby mieć do tego kupę narzędzi, cały warsztat.

— Co tydzień znoszą nam tuziny różnej broni, która nigdzie nie jest rejestrowana.

— Ale nie z tłumikami.

— A może to jakaś polityczna afera?

— Miałbym szczęście — przyznał Tarquin. — Zaraz sporządziłbym raport i przekazał do tych z kontrwywiadu. Odpowiedzą nam takim samym raportem i zanim się ta pisanina skończy, będę już spokoj-niutko żył na emeryturze.

— Może to jakiś cudzoziemiec?

— Właśnie — powiedział Tarquin. — Na przykład Czech, oni mają kupę broni... Daj spokój, to nie celnikom z Orly zmyją głowy, ale nam i nas posłają na zieloną trawkę!

Telefon był w sypialni, koło łóżka, na którym położono Eliane Darrès. Podczas gdy Grazzi nakręcał numer, Gabert zbliżył się i, nie patrząc na zwłoki, zaczął grzebać w torebce Eliane.

Mallet, do którego Grazzi telefonował, powiedział, że zaspał, i rzucił jakieś nieprzyzwoite słówko, ponieważ jednak spał dobrą godzinę, humor mu się nieco poprawił: ogolił się już i ubrał. Na Quai des Orfèvres będzie co godzina łączyć się z Marsylią, cieszy się, że trochę pogoni tych ważniaków.

Jouy przesłuchiwał panią Garaudy przed południem. Zastał ją w poczekalni, kiedy wyszedł zobaczyć, czy nie ma tu Eliane Darrès. Stwierdził, że jest ładniutka, dobrze ubrana, wystraszona i nie całkiem szczerą. Nie przypominała sobie nic, nie wiedziała nic, pragnęła jak najprędzej podpisać zeznanie i zniknąć.

— Dawno wyszła?

— Z pół godziny temu.

— Wiedziała o Rivolanim i aktorce?

— Nie.

— Odszukaj ją i miej na oku.

— Po co?

— Jeśli nie rozumiesz, to szkoda czasu ci tłumaczyć. Pilnuj jej i nie zostawiaj samej ani na chwilę. Nie mam ochoty znaleźć jej z dziurą w głowie.

— A gdyby tak obstawić jej dom?

— Wyśmienity pomysł! — zawołał Grazzi. — Akurat potrzebny nam ten szum! Ja chcę ptaszka złapać, a nie przepłoszyć!

— Aha, co do szumu... Siedzi tu w korytarzu gromada pismaków, co im powiemy?

— Jest godzina dwunasta dwanaście — powiedział Grazzi, patrząc na zegarek. — Jeśli po dwunastej dwadzieścia ukaże się cokolwiek w gazetach, to ty będziesz miał dziurę w głowie. Przysięgam ci na mego syna.

Odłożył słuchawkę.

Pardi jadł obiad w domu. Korzystał z telefonu sąsiada, który od dawna już żałował swej uprzejmości. Pardi mówił teraz do aparatu z pełnymi ustami.

— Potrzebny mi Cabourg — powiedział Grazzi.

— Rozkazy przyjmuję tylko od szefa — odparł Tino Rossi.

— A więc to rozkaz.

— Coś się dzieje?

— A jak ci się zdaje?

— Dobra, dobra — rzekł Tino Rossi i odłożył słuchawkę. Grazzi był pewny, że odnajdzie mu Cabourga. Zadania wykonywał

tak, jakby ustawiał w szeregu kręgle, powoli, poważnie, nie denerwując się, w nadziei, że pewnego pięknego dnia zostanie odznaczony za zasługi lub — dlaczegoż by nie? — mianowany szefem policji. Odnajdywał zawsze to, czego szukał, ponieważ był Korsykaninem i miał wszędzie przyjaciół, poza tym wśród ludzi Tarquina on jeden potrafił tak się urządzać, żeby zawsze zdążyć na obiad do domu.

Alloyau natomiast okazał się nieuchwytny. Prawdopodobnie przeżuwa teraz stek w taniej restauracyjce przy ulicy Dauphine; buteleczki z lekami rozstawił przed sobą na ceratowym obrusie i rozmawia z kelnerką o swych żołądkowych dolegliwościach. Gdy na zegarze Palais de Justice wybije druga, Alloyau zjawi się znowu w Prefekturze — prosty jak duża litera I, w stylu bardzo angielskim i bardzo blady — paląc papierosa; był to jego jedyny w ciągu dnia papieros, jedyny, lecz nie znaczyło to, że mało ważny.

— Niech Alloyau sprowadzi po południu panią Rivolani, krewnych Cabourga, krewnych Darres, niech jeszcze raz wezwie tego handlarza samochodami i siostrę Georgette Thomas i niech ich przepytają. Niech



mi złapie na dziś wieczór męża Georgette Thomas i Boba. Zadzwoń jeszcze o drugiej.

Grazzi znowu odłożył słuchawkę.

— A co ja mam robić? — zapytał Gabert stojący tuż przy nim. Kurtkę z kapturem zamienił na swój nieprzemakalny ciemnogrnatowy płaszcz z połyskującego ortalionu; krawat miał pomarańczowy.

— Pojedziesz ze mną do Clichy, trzeba coś zjeść. Potem weźmiesz samochód, a ja pójdę do tego studenta, na ulicę Duperre. Musisz mi znaleźć małą Bombat.

Jean-Loup kiwnął potakująco głową; wyglądał na znacznie mniej pewnego siebie niż zwykle.

W restauracji o dużych oszklonych wnękach jedli bigos, spoglądając na plac przecięty cieniem i słońcem, jak wówczas, gdy dwa miesiące temu, kiedy to przez cały tydzień, podczas wściekłych upałów, prowadzili śledztwo w sprawie oszustwa, którego sprawców odkrył Tarquin.

Grazzi myślał o kierowcy ciężarówki, o jego butach na futrze, o tych ostatnich krokach, które Rivolani zrobił po wyjściu z samochodu na wybetonowanym podwórku, by dojść do garażu, otworzyć kłódkę, podnieść drzwi z blachy i — koniec. Nie słyszał zabójcy, zbliżającego się za jego plecami, dostał kulę i zrobił jeszcze metrowy skok, a potem przyszła żona i musiała zgasić reflektory.

— Czy nie domyślasz się, co może do tego stopnia niepokoić mordercę? Co mógł wiedzieć Rivolani, że tamten tak się go bał?

Gabert z pełnymi ustami odpowiedział:

— Nie wiem, ale w końcu gdyby Rivolani coś zauważył, toby powiedział. Przecież sam go wypytywałem.

— Nie rozumiesz — rzekł Grazzi. — Może widział coś, na co nie zwrócił specjalnej uwagi, mogła to być według niego rzecz bez znaczenia, ale dla nas ma ona znaczenie! Jak myślisz, dlaczego sprzątają nam w ciągu dwóch dni dwie osoby, które akurat były w tym przedziale?

Gabert nie odpowiedział nic, kiwnął tylko głową, dopił swój kufel piwa, nalał sobie połowę tego, co miał jeszcze Grazzi, i wypił.

Jest na górze — powiedziała dozorczyńni. — Ale mam nadzieję, że nie będzie pan dla niego zbyt surowy. I tak ledwo się trzyma.

Otworzył mu brunet, lat dwadzieścia, wysoki, przystojny, o matowej cerze, z kosmykiem włosów opadającym na czoło. Nazywał się Erie Grandin, ale przeglądając jego dokumenty, Grazzi zauważył, że naprawdę miał na imię Charles. W długich nerwowych palcach trzymał papierosa; palił gitany, jednego za drugim, przypalając od poprzedniego. Był szczupły, w za luźnym granatowym swetrze, wyciętym w serek i noszonym na gołe ciało.

Pokoik był mały, zapchany książkami. Na stoliku, wśród zeszytów i powielonych notatek z wykładów, stała maszynka gazowa.

— Robię właśnie neskę, pozwoli pan?

Podał Grazziemu kawę w filiżance, sobie nalał do szklanki z resztką wina na dnie. Złoty zegarek nosił tarczą po wewnętrznej stronie przegubu, tak samo jak Jean-Loup.

— To prezent od Georgette — powiedział. — Wiem, będzie mnie pan o to pytał, wobec tego powiem od razu: byłem jej kochankiem, kochałem ją bardzo, ona kochała mnie bardzo, a w sobotę rano, o godzinie, w której to zrobiono, byłem tutaj, wybierałem się właśnie na wydział. Poświadczyć to może dozorczyńni, która przyniosła mi rzeczy.

Już poświadczyła. Rzeczy — to było mleko, chleb, dwie odprasowane koszule; -stałe je dla niego prasowała, pewnie za darmo.

— Nic nie wiem, nie rozumiem, dowiedziałem się zresztą dopiero wieczorem, czytając gazetę u znajomej na Massy-Palaiseau. Miałem jeszcze samochód Georgette, mam go nadal. Nic nie rozumiem.

Twarz miał ściągniętą, w oczach prawdziwe łzy, odwrócił się, by wziąć nowego papierosa swymi długimi, młodzieńczymi palcami.

Grazzi wypił kawę na stojąco, rozglądając się wokoło. Na ścianach poprzyklejane napisy — bezsensowne zdania ułożone ze słów wyciętych z czasopism. Zdjęcia najróżniejszych zwierząt z wielkimi łagodnymi oczyma.

— Jestem na weterynarii — objaśnił. — Trzeci rok.

Interesowały go badania naukowe. Kiedyś założył w Normandii dużą fermę, coś w rodzaju kliniki-laboratorium, gdzie będzie hodował krzyżówki, wspaniałe okazy zwierząt o łagodnych oczach, jak te na zdjęciach. Albo wyjedzie do Australii, do Południowej Afryki, gdzieś gdzie znajdzie rozległe, spokojne przestrzenie i, oczywiście, zwierzęta. Ludzie go nie interesują. Są podli, wstrętnei.

— Od jak dawna pan ją znał?

— Dwa lata. Wynająłem ten pokój dwa lata temu.

— I od razu został pan jej kochankiem?

— Nie, dużo później, przed pół rokiem. Ale schodziłem do niej często, wspólnie jadaliśmy kolacje, gawędzili.

— Czy zna pan Boba Vatsky?

— To on znalazł mi ten pokój. Poznaliśmy się w pewnej knajpie w Dzielnicy Łacińskiej. Gra na saksofonie. Jeśli pan podejrzewa, że to on zrobił, to jest pan w błędzie.

— Czy on już wtedy był jej kochankiem?

— Tak.

— Pan wiedział o tym?

— Wiedziałem.

— Czyli obaj byliście jej kochankami w tym samym czasie? Obrzucił go niewinnym, zdziwionym spojrzeniem i roześmiał się krótko. Powiedział, że przecież on też miał jeszcze inne dziewczyny.

— Czy zdarzyło się, że spotkaliście się obaj u niej wieczorem?

— I co z tego?

— Żaden z was nie był zazdrosny?

Erie Grandin roześmiał się znowu tym swoim niewesołym śmiechem, wzruszając przy tym ramionami, ponieważ wiedział, o co Grazziemu chodzi, i wydawało mu się to idiotyczne.

— Jeśli przypuszcza pan, że ktoś ją zabił z zazdrości, to niech pan lepiej nie traci tutaj czasu i szuka gdzie indziej. — Podniósł nieoczekiwanie głos i dodał: — Mój Boże, przecież Georgette mogła sobie kochać, kogo chciała.

Oni nie tylko nie byli zazdrośni, ale zdarzało się, że jedli kolację we troje, jeśli akurat zastawał u niej Boba, i nawet mógłby niejedną zabawną historyjkę opowiedzieć inspektorowi, ale to by z pewnością niczego nie wyjaśniło, zresztą czy to jest zabronione przez prawo?

Grazzi nie mógł się połapać, czy złość Grandina miała ukryć jego zdenerwowanie, czy też wypływa ona z uczucia, którego istotnie on, Grazzi, nie rozumie.

— Czy zna pan Pierre'a Becchi?

— Kogo?

— Stewarda, Pierre'a Becchi... Nieważne. Czy słyszał pan, żeby Georgette Thomas mówiła kiedyś o aktorce nazwiskiem Eliane Darres?

— Nie, me, nigdy — powiedział Grandin, przypalając od niedopałka nowego gitana. Odwrócił się, by wyrzucić ten niedopałek do kartonowego pudełka, które służyło za wiadro na śmieci.

— Albo o kierowcy ciężarówki, Rivolanim? Niech pan postara się przypomnieć sobie: Rivolani. To ważne, jeśli chce pan nam pomóc.

Pokręcił głową, przymykając oczy i odgarniając ręką dym sprzed twarzy. Nie przypomina sobie, nic nie wie.

— Powiedział pan, że w sobotę wieczorem był pan u jakiejś dziewczyny na Massy-Palaiseau...

— Nie u dziewczyny, ale u kobiety. Jest mężatką, ma troje dzieci i to wcale nie jest to, co pan myśli.

— Więc tego dnia nie miał się pan widzieć z Georgette Thomas?

— Nie wiedziałem nawet, że miała tego dnia wrócić. Rozumie pan, me mówiła mi wszystkiego. Zdarzało się, że nie widziałem jej cały tydzień, bo wracałem późno albo ona zajęta była tymi swoimi pokazami. Jeśli był jej potrzebny samochód, wtykała mi kartkę w drzwi. Zostawiałem jej klucze i dowód rejestracyjny u dozorczyńi.

Patrzył Grazziemu prosto w twarz, oparty biodrem o stół, z założonymi rękoma, z papierosem między palcem wskazującym i środkowym, z kosmykiem włosów na czole. Nieszczęśliwy i bezczelny.

„Tracę tylko czas” — pomyślał Grazzi i wyszedł.

Schodząc, myślał o pięćdziesięcioletniej wdowie, która niemal nieświadomie pogasiła reflektory, i o młodej, z powagą uśmiechającej się kobiecie, która po wspólnej kolacji siadała na kolanach to jednemu, to drugiemu ze swych kochanków — Grazzi poczuł się starszy i bardziej zmęczony niż kiedykolwiek.

Minął jakiegoś chłopca w ortalionie, który szedł właśnie na górę, gdzie były jednoosobowe pokoje; jasny blondyn, jeszcze młodszy od tamtego bruneta, z poważną myślącą twarzą, która wydała się Grazziemu znajoma. Prawdopodobnie już przedwczoraj wieczorem widział go w tym domu.

— Czy pan jest kolegą Grandina?

Chłopak zatrzymał się, poczerwieniał, powiedział:

— Nie, proszę pana, nie — nie rozumiejąc, o co chodzi.

Grazzi, idąc na dół, myślał o sobie, gdy miał lat siedemnaście, dwadzieścia, i popełniał też różne głupstwa.

Z kawiarni przy placu Blanche zadzwonił do Prefektury. Alloyau wezwał panią Rivolani, właśnie na nią czeka, męża Georgette Thomas, Boba Vatsky, siostrę Cabourga. Obiecali stawić się po południu.

Siostra Cabourga, mieszkająca w Créteil, musi przyjść razem z dziećmi, bo nie ma ich z kim zostawić, jak wrócą ze szkoły. Nawet nie wiedziała, że jej brat wyjeżdżał do Marsylii.

— Gdzie jest Mallet?

— Na innej Unii, ściślej mówiąc, rozmawia z Marsylią. Z pół godziny temu podali stamtąd ciekawą wiadomość, zeznanie pokojówki z Hôtel des Messageries; Mallet koniecznie chce z nią porozmawiać, twierdzi, że to ważne.

— Co ona mówi?

— Musiałby ci sam powtórzyć, nie wiem dokładnie.

— Dobra. W każdym razie zaraz wracam. Nie znalazłeś nikogo od aktorki?

— Mam adresy, które u niej znaleziono. Reżyserzy filmowi, aktorzy. Ci, u których już byłem, znali ją bardzo słabo. Nie mówią wyraźnie, ale zdaje się, że ich zanudzała.

**Do** Prefektury Grazzi przyjechał o godzinie 15.15; od kierowcy taksówki zapomniał wziąć rachunek za przejazd.

Przesłuchiwano właśnie panią Rivolani, którą zobaczył od razu, gdy otworzył drzwi do pokoju inspektorów. Miała na sobie czerwone palto, jutro da je przefarbować na czarno, siedziała na krześle wyprostowana, przygryzała róg chusteczki. Alloyau pisał na maszynie, nie ośmielając się spojrzeć kobiecie w twarz.

Mallet siedział przy swoim stole pochylony nad notatkami, które zawsze robił ręcznie. Podniósł na Grazziego oczy zaczerwienione od zmęczenia.

— W piątek wieczorem, kiedy Georgette Thomas i steward wrócili do hotelu, punktualnie o godzinie dwudziestej trzeciej, pokojówka usłyszała na schodach urywek rozmowy. Nazywa się Sandra Lei. Rozmawiałem z nią przez telefon, żeby mi szczegółowo powtórzyła, co słyszała. Mówi, że to było mniej więcej tak...

Wziął ze stołu zapisaną kartkę.

— Georgette Thomas powiedziała: „Ależ nie, nic mi nie jest. Nie zwracaj uwagi. A zresztą nie jestem pewna”. Szli na górę do pokoju

i mijając na schodach Sandrę Lei, umilkli. To wszystko. Pokojówce ta scena wydała się dziwna, bo Georgette Thomas nie powiedziała jej „dobry wieczór”, jakby w ogóle jej nie zauważyła. Twierdzi, że ta cizia zawsze była dla niej bardzo uprzejma.

— Co sobie pomyślała?

— Najlepiej zapamiętała: „Nie jestem pewna”. Twierdzi, że to były te właśnie słowa. Pomyślała, że babka jest chyba w ciąży i wcale się z tego nie cieszy.

— Bzdura. Lekarz sądowy wykryłby to przy sekcji.

— Ale ona miała prawo tak myśleć. Nie wiadomo. W każdym razie natychmiast wysłano kogoś do tego stewarda. Zadzwoń za chwilę.

Tarquín również uważał, że to nonsens, ale Georgette Thomas mogła się mylić i sądzić, że jest w ciąży.

Siedział przy swoim stole w marynarce, w kapeluszu na głowie, a Grazzi widział leżące przed nim akta z Zakładu Kryminalistyki i Głównego Biura Śledczego — wykazy kradzieży rewolwerów. Komisarz pochwycił spojrzenie Grazziego i zaznaczył: „Nie przejmuj się, taki frajer to już nie jestem. Zażądałem tego dziś rano, chcę tylko rzucić okiem”. Dodał, że nawet sobie nie wyobrażał, jaka ilość tych pukawek przechodzi z rąk do rąk.

— Co za świat, nawet u nas kradną. W lutym przymknięto włóczęgę, który żwędził rewolwer posterunkowemu z komisariatu w Saint-Sulpice, w chwili gdy tamten wracał do domu. Na jego szczęście broń nie była nabita, bo miałby łeb nafaszerowany własnymi kulami, a tak dostał tylko po głowie lufą.

Poklepał dłonią stos otwartych przed nim teczek. „Niesamowite wprost, ile się można dowiedzieć...” A skąd on teraz wraca?

Grazzi usiadł w fotelu naprzeciwko i, rozpinając płaszcz, zaczął opowiadać o Eriku Grandin.

— Od nich też się można niejednego nauczyć — orzekł Tarquin. — Dobrze by było, gdybyś któregoś soboty przyszedł do nas i zobaczył mojego gagatka. Niedługo będzie miał dwadzieścia dwa lata, ale chyba nie ma więcej rozumu niż wtedy, gdy odbierałem go ze szpitala położniczego. Życzę ci powodzenia z tym twoim.

— My byliśmy tacy sami — rzekł Grazzi.

— Serio? Stać cię było na palenie gitanów jednego po drugim? Pociągała cię Akademia Sztuk Pięknych czy ferma w Australii? Zdarzało ci się dzielić po kolacji dziewczynką z kumplem? Byliśmy tacy sami, kochany, z tą maleńką różnicą, że oni są z innej planety.

O godzinie 15.50 Mallet znowu miał telefon z Marsylii. Pierre Becchi nie przypominał sobie sceny na schodach z piątkowego wieczoru; oświadczył, że Georgette Thomas, jak wszyscy ludzie, miewała różne humory i że nie zwracał na nie uwagi.

To zresztą nie było ważne, bo telefonujący z Marsylii inspektor--Korsykanin — rodem z Ajaccio, sądząc po akcencie, ten sam, który złożył pierwszy meldunek — miał teraz do przekazania inną wiadomość i zakomunikował ją speszonym głosem, gdyż nie był pewny, czy w Paryżu będą mu za nią wdzięczni, czy też uznają go za skończonego osła.

Mallet sam już nie wiedział, czy to ze zmęczenia po trzech bezsen-nych nocach — czy też w przeczuciu, że udało mu się odkryć coś ważnego — doznał zawrotu głowy. Wykrztusił: „Dziękuję, stary” — chwytając się ciężką dłonią krawędzi stołu i dłuższą chwilę wpatrywał się w przestrzeń, pocierając palcem nasadę nosa. Siedem tysięcy franków! Tani samochód można by za to kupić! Czy zabija się kogoś dla siedmiu patyków?

Wstał, ruszył w stronę drzwi, odwrócił się do Alloyau, który siedział samotnie ze słuchawką przy uchu, i rzucił: „Georges, Georges, nie denerwuj się, zostaw to, zdaje mi się, że go już mamy”.

W gabinecie komisarza zastał Tarquina i Grazziego.

— Przepraszam — odezwał się — możliwe, że powiem jakieś głupstwo, ale ta cizia, ta aktorka i ten kierowca kosztują około dwa i pół patyka każde. W tym naszym barze w Marsylii sprzedano w zeszłym tygodniu los, na który padło siedem patyków. Główna wygrana to nie jest, ale co o tym myślicie?

Komisarz uśmiechnął się przerażająco zadowolonym uśmiechem. Grazzi, który miał refleks wolniejszy, patrzył przez dwie sekundy na Malleta, nie rozumiejąc. Nagle zerwał się gwałtownie i wyciągnął rękę w stronę telefonu.

Ale Tarquin już podnosił słuchawkę. Zamówił rozmowę błyskawiczną z biurem Loterii Państwowej, wszystko jedno z kim, i dwa po-

łączenia z Marsylią: z Prefekturą i barem na ulicy jakiejś tam (Felix-Pyat — powiedział Grazzi)... „Na ulicy Felix-Pyat, nie wiem, jak to się pisze, numeru też nie mam, pośpieszcie się”.

**Los** nosił numer 51708 (seria 2). Został przekazany w ostatni czwartek września do sprzedaży w barze przy ulicy Felix-Pyat wraz z dwudziestoma trzema innymi losami.

Właściciel lokalu uważał, że robi się zbyt wiele hałasu z powodu takiej drobnostki. W 1935 roku padła tu główna wygrana. Sprzedawał rocznie ponad pół setki biletów loteryjnych, na które padało poniżej miliona. To mu nie dawało żadnej reklamy. „Los, który zabija” — taki tytuł może podziałać na wyobraźnię, ale ci panowie z Paryża są przecie>ż dostatecznie dojrzały, by zrozumieć, że chętnie się takiego rozgłosu wyrzeknie.

Nie ma pojęcia, kto był nabywcą. Nie wiedział zresztą, które z nich trojga sprzedało ten bilet: on, żona czy kelner, Roger Trameni, porządny człowiek, chory na astmę.

W środę wieczorem, o godzinie 18, gdy przyszedł dostawca po odbiór nie sprzedanych biletów, szesnaście było sprzedanych, wśród nich ten szczęśliwy.

Georgette Thomas zjawiała się tu we wtorek wieczorem, by spotkać się ze stewardem Becchi. Grał w karty z gośćmi. Czekala, aż skończą partię, popijając aperitif i rozmawiając z właścicielką.

Możliwe, że właśnie wtedy kupiła bilet na loterię, ale w takim razie nie sprzedał go jej ani pan Lambrot, ani jego żona, bo akurat wyszła podgrzać sobie obiad, a on nie odchodził na krok od baru przez cały wieczór.

Przydałoby się zeznanie kelnera Tramoniego, lecz nieborak jest właśnie na urlopie w Alpach Nadmorskich i na pewno nic sobie nie przypomni. Pojechali do niego, żeby go przepytac, ale to trochę potrwa. W każdym razie ci panowie z Paryża nie przypuszczają chyba, że można kogoś zabić dla 7 tysięcy franków. Ma nie udzielać pouczeń? Niech będzie. Ale jednak.

**Zabija** się i dla znacznie mniejszych sum — powiedział Tarquin. — To na pewno ona kupiła ten los, wszystko mi tu pasuje. W czwartek wieczorem, czekając, aż jej steward skończy belotkę, zamawia kieliszek



przy barze, ucina sobie pogawędkę z szefową, potem zbliża się do lady z wyrobami tytoniowymi, gdzie kelner właśnie sprzedaje znaczki pocztowe, prosi o paczkę papierosów, wszystko jedno o co, i mówi: „A wie pan, niech no mi pan pokaże bilety loteryjne, może akurat trafi się mój numer”.

Taraquin wyjął papierosa z górnej kieszeni marynarki, szukał zapalek, powiedział: „Daj no mi ognia... Kto by pomyślał!” I Grazzi zobaczył całą tę scenę w barze jak na ekranie filmowym.

— W środę wieczorem, mój kochany, idzie ze swoim gachem przegryźć coś w pizzerii na tej ulicy, której nazwa ciągle wylatuje mi z głowy.

— Félix-Pyat — podpowiedział Grazzi.

— O, właśnie. Widzę to, jakbym tam był. Przyćmione światło, angielski walc i cała reszta.

— W pizzerii na Saint-Mauront nie ma orkiestry. Znam tę knajpę, byłem tam.

Taraquin wstał, wyciągnął wskazujący palec w kierunku Grazziego, obszedł dokoła stół i wtedy padło: „Biedaku, tu cię właśnie złapałem, ja myślę, a nie tylko zwiedzam ładne lokale. Może to nie była orkiestra, ale na pewno radio albo telewizja”.

— Nie rozumiem.

— Nigdy nic nie rozumiesz. Zdarza ci się słuchać radia w środę wieczorem? Jak myślisz, czego słucha połowa ludzi w środę wieczorem? Wyników ciągnięcia loterii, ofermo.

Na co usłyszał od Grazziego: „Dobrze już, dobrze, nie praw mi komplementów, a co dalej?”

— Nie podskoczyła z radości do góry — ciągnął Taraquin — nie połknęła swego talerza, w ogóle nie puściła pary z ust. Była tylko nieco roztargniona. W tak niewielkim stopniu, że ten jej facet ledwie to dostrzegł i zapytał zdawkowo: „Co ci jest? Zmęczona jesteś?” A ona odpowiedziała: „Ależ nie, skarbie, nic mi nie jest. A zresztą, nie jestem pewna”. *Ponieważ naprawdę nie była pewna.* Musiała poczekać, aż wejdą do pokoju, i podczas gdy tamten spokojnie kładł się do łóżka, ona sprawdziła swój numer. Mówię ci, widzę to, jakbym tam był.

Zgasił papierosa, popatrzył na zegarek, zdjął słuchawkę, bo telefon właśnie zadzwonił, i powiedział jeszcze do Grazziego:

— Ta cizia to był ktoś.

I uderzył się w pierś, mówiąc „halo”. Grazzi ogryzał paznokieć kciuka, myśląc o bieliźnie znaczonej literą „G”, o brunetce, która kupiła gazetę w czwartek rano, wychodząc z hotelu, by upewnić się, czy naprawdę wygrała i czy może sobie kupić drugą Dauphine z monogramem, o trzydziestoletniej kobiecie z wiecznym uśmiechem, która wszystko zatrzymała dla siebie — zdziwienie, radość, bezsenność, tylko nie te 7 tysięcy franków.

Godzina 16.20.

Los numer 51708 został okazany w sobotę 5 października, około godziny 11.30, przez jakiegoś mężczyznę w centrali Loterii Państwowej przy ulicy Croix-des-Petits-Champs w Paryżu.

Kasjerzy przypominają sobie człowieka, który zdradzał pewną nerwowość, chowając 7 tysięcy franków, w nowych banknotach, do starego safianowego portfela. Niewątpliwie potrafiliby go rozpoznać. Dobra pamięć wzrokowa jest jedną z cech obowiązujących w ich zawodzie.

Rysopis: wiek około trzydziestu pięciu, czterdziestu lat, twarz pościąta, nos długi, szatyn, włosy zaczesane do góry, jakby chciał się wydawać wyższy, wzrost około 170 cm, bardzo szczupły, cera blada, palto szare, bez kapelusza.

Godzina 16.30.

Jouy zatelefonował z baru niedaleko domu państwa Garaudy. Od obiadu obserwował młodą kobietę, którą polecono mu śledzić. Robiła zakupy w Galeries Lafayette, w sklepiku przy Avenue de l'Opéra i w magazynach Luwru; śpieszyła się i zawsze wiedziała od razu, co chce kupić: jerseyową bluzkę, pantofle, które Jouy określił jako ładne, dwie pary nylonowych majtek, jedno lilaróż, drugie białe.

— No, jeśli to wszystko tak dokładnie obejrzałeś, to ona mogła cię zauważyć — rzekł Grazzi.

— Owszem, w magazynach Luwru. Pogadaliśmy sobie. Napędziłem jej stracha, jak powiedziałem, że się nią opiekuję.

— Powiedziałeś jej o Rivolanim i Darrès?

— Jasne.

— I co ona na to?

— Że to okropne, że zaraz wraca do domu. I wróciła. Siedzę właśnie naprzeciwko.

— To siedź tam dalej.

Godzina 16.35.

Teoria komisarza Tarquina: Georgette Thomas wygrała na loterii 7 tysięcy franków, o czym dowiedziała się, nie będąc całkiem pewna, czy dobrze usłyszała numer z radia w marsylskiej pizzerii. Nazajutrz sprawdziła to w porannej gazecie, nic nikomu nie mówiąc.

Zastrzeżenie sędziego śledczego Frégarda: dlaczego nic nikomu nie powiedziała?

Odpowiedź inspektora Grazziano: monogramy na bieliźnie, monogram na drzwiczkach samochodu Dauphine, niebywały egoizm. A zresztą po co miałyby mówić?

Teoria Tarquina: ktoś, kto w czwartek lub piątek dowiedział się w jakiś sposób, że Georgette Thomas posiada los wart 7 tysięcy franków, wykupił kuszetkę w pociągu „Phoceen” na piątek wieczorem, aby ją śledzić. Tak się złożyło, że inni pasażerowie wysiedli, a ona została jeszcze w przedziale, ten ktoś był tam też, albo wszedł potem, udusił ją, zabrał bilet loteryjny i poszedł odebrać forszę na ulicy Croix-des-Petits-Champs.

Zastrzeżenie Frégarda: po co miałyby dusić ją w pociągu, narażając się na tak duże ryzyko?

Odpowiedź Grazziano: był to jedyny moment i jedyne możliwe miejsce. Ten ktoś wiedział, że ona może wejść po pieniądze bezpośrednio z dworca. Nie miał się co namyślać.

Teoria Tarquina: ktoś ją dusi, pobiera pieniądze, chowa nowiutkie banknoty, jeśli nie wie, że numery są zanotowane, albo próbuje je wymienić, co powinien zrobić jak najszybciej.

Zastrzeżenie Frégarda: po co w takim razie zabił następne dwie osoby z tego samego przedziału?

Odpowiedź Grazziego: zabójca popełnił jakiś błąd, który mógłby go zdradzić, więc usunął dwóch świadków.

Frégard, nie przekonany, kiwał łysą głową: znał przestępców, zdolnych zabijać za nic, ot, żeby zdobyć parę groszy na paczkę papierosów. Sztuczka z windą — w przypadku Eliane Darrès — nie świadczy o tej kategorii mentalności.

**Godzina 16.48.**

Prefektura w Marsylii: właścicielka Hôtel des Messageries przy ulicy Félix-Pyat znalazła na nocnej szafce w pokoju Georgette Thomas, w piątek, po jej wyjeździe, dwanaście pastylek aspiryny w popielniczce.

Na krótko przed godziną 17 zatelefonował Gabert. Bez rezultatu biegał po biurach pośrednictwa pracy. Ma pewien pomysł, jak odnaleźć tę małą z Awinionu; zaraz wróci.

Grazzi powiedział mu, że jak przyjdzie, to się dowie ładnych rzeczy, Jean-Loup okazał przez telefon grzeczne zainteresowanie i wysłuchał, nowin. Powiedział: „Dobra jest, szefuniu, wygląda na to, że fajnie idzie, mam nadzieję, że zdążę dojechać, zanim skończycie”.

— Weź taksówkę.

— Nie martw się, wielki szefie, przyjadę pięknym otwartym wozem. Ty już w ogóle nie patrzysz przez okno...?!

Przez okno, poza plecami Tarquina, Grazzi zobaczył, że nastaje wieczór, że niebo jest pochmurne i że pada deszcz.

**Przesłuchanie** eks-męża, Jacques'a Lange.

Był wysoki, starszy, niż Grazzi przypuszczał, przystojny, dobrze ubrany. Nie okazywał przesadnego smutku, siedział na krześle sztywne, palił cravena i też nic nie wiedział.

Mówił, że Georgette była dużym dzieckiem; różnica wieku między nimi wynosiła dwadzieścia lat, nigdy nie umiał się na nią gniewać. Niemniej jednak cierpiał, gdy dowiedział się, że go zdradza. Nie lubił dyrektora działu handlowego, który potem został sprzedawcą samochodów. Mówił o nim: larwa. Grazzi podzielał tę opinię i kiwał tylko głową. Więcej o tym nie mówiono.

— Czy w okresie waszego małżeństwa kupowała losy na loterię?

— Od czasu do czasu, jak wszyscy?

— Całe?

— To zależało od aktualnego stanu naszych finansów.

— Pan znał Boba Vatsky?

— Nie. Opowiadała mi o nim, gdy nieraz ją widywałem. Ja zostałem w „Gerly”, ona pracowała w „Barlin”. W sprawach zawodowych musieliśmy się czasem spotykać.

— A Erie?

— O nim też mi opowiadała. Ta sprawa wydaje mi się nieco poważniejsza.

— Dlaczego?

— Gdyby pan słyszał, jak ona o nim mówi, sam by pan zrozumiał. Jest młody, to prawie chłopiec, ma umysłowość dziecka. Trudno to wytłumaczyć komuś, kto jej nie znał. Mały Erie... kochała go jak samą siebie, on jest taki jak ona.

— Nie rozumiem.

— Wiem. Mówiłem, że pan nie rozumie.

— Sądzi pan, że on ma coś wspólnego z zamordowaniem Georgette?

— Tego nie powiedziałem. Ale to zabójstwo nie ma żadnego sensu. A to, co nie ma żadnego sensu, doskonale pasuje do Georgette i do małego Erika.

— Pan go przecież nigdy nie widział.

— Niech mi pan wierzy, opisała mi go znakomicie. Ma różne teorie na temat ludzi i zwierząt, marzy o czymś w rodzaju doświadczalnej fermy na głuchej wsi, mówi głośno i z pewnością siebie o sprawach, na których się nie zna: świat, nędza, ludzkość i tak dalej... Jakieś pół roku temu Georgette przyszła do mnie, do „Gerly”, w związku ze sprawą tej fermy w Południowej Afryce, czy coś w tym rodzaju. Nie miała ani krzty poczucia rzeczywistości. Chciała mnie zainteresować tą sprawą. Mówiła, że jestem jej to winien.

— Co to za sprawa?

— Nie mam pojęcia, oni zawsze miewali takie pomysły! Jakaś ferma w Południowej Afryce. „Wyjeżdżamy do Południowej Afryki, tam jest prawdziwe życie”. Tacy właśnie byli oboje. Na drugi dzień w ogóle już o tym nie myśleli.

— Wiele przez jej śmierć stracił — powiedział Grazzi. — Teraz naprawdę stać by ją było na dwa bilety lotnicze do Afryki.

Z kolei Lange nie zrozumiał, o co chodzi.

— Zaraz to panu wytłumaczymy — rzekł Grazzi.

Sam nie wiedząc dlaczego, nieco znużony, rozdrażniony, przekazał pana Lange koledze Alloyau, który zajął jego miejsce.

O 17.50, kiedy zrobiło się już całkiem ciemno, Pardi trafił na ślad Cabourga. Ale wydarzenia tego poniedziałku zdawały się następować po sobie tak szybko, każdy uważał, że sprawa tak błyskawicznie posuwa się naprzód, że fakt nienaturalnej śmierci kierownika działu sprzedaży firmy „Proginie” nie wzbudził w nikim zdziwienia, na jakie zasługiwał.

W pokoju inspektorów Mallet mógł już obliczać, jaki zysk daje zabójcy każdy kolejny trup. Ustalił nawet coś w rodzaju „cennika nieboszczyków”; tę różową kartkę przypiął pinezkami do framugi okna za biurkiem Grazziego; wszyscy przychodzili ją oglądać. Gdy dowiedziano się o śmierci Cabourga, kurs się obniżył — spadł z 2333,33 franków za trupa do 1750. Inspektorzy uważali, że za tę cenę sprawa niewarta jest już zachodu, nawet gdyby chodziło o te pół tuzina osób, które oni sami chętnie by wytruli.

Grazzi z niesmakiem patrzył na różową kartkę, gdy zadzwonił telefon i Gabert zakomunikował tę nowinę.

— Kogo?

— Cabourga. Trzymaj się mocno, bo to jest coś. Pardi przeszukał szpitale i komisariaty, ale musiał w końcu skomunikować się z tymi od Boileau. Okazało się, że Cabourg to facet, którego stuknięto w toalecie hali sportowej. Nie znaleziono przy nim żadnych papierów. Nawet nie wiedzieli, kto to jest. Chłopaki od Boileau znaleźli jego odciski palców w komisariacie Gare de l'Est. Wyrabiał tam sobie dowód osobisty parę miesięcy temu.

Biuro Boileau znajdowało się na tym samym piętrze co gabinet Tarquina, nieomal sąsiednie drzwi.

— Kiedy go zabito?

— W sobotę, koło jedenastej wieczorem.

— Naciętą kulą?

— Tak. W kark.

— A śledztwo?

— Nic nie wykazało. Brak śladów. Myśleli, że to jakieś porachunki. Co teraz zrobisz?

— A gdzie ty jesteś?

— W komisariacie. Mam pewne informacje o dziewczynie z Awi-nionu.

— Od kogo?

— Od taksówkarzy.

Grazzi potarł dłonią policzek, poczuł kłujący zarost; nie wiedział, w jaki sposób — nie urażając Gaberta — przekazać dziewczynę z Awinionu Pardiemu, który działał sprawniej.

— Słuchaj, jesteś mi koniecznie potrzebny.

— To nieładnie, wielki szefie. Zobaczysz, że ją złapię, przysięgam. Grazzi kiwnął głową — do telefonu — myśląc: „Będę tego żałował, zabiją ją wcześniej”.

— Muszę ją mieć, rozumiesz? — rzekł błagalnie. — Musisz mi ją odszukać! To jakiś wariat, nie przestanie zabijać.

— Złapię ją — powiedział Jean-Loup. — Spokojna głowa, wielki szefie.

W tym samym czasie komisariaty departamentu Sekwany otrzymały — dla przekazania posterunkowym — możliwie dokładny rysopis młodej dziewczyny: około dwudziestu lat, blondynka, ładna, gdy widziano ją po raz ostatni, miała na sobie niebieski płaszcz.

Była godzina 18.05.

## *KUSZETKA NR 223*

**Benjamine** Bombat — zwana Bambi — ze smakiem pocałunku na wargach, z poziomkowym cukierkiem w ustach, z pustym pudełkiem zapalek w ręku, które zaraz wyrzuciła na brzeg chodnika, stała wyprostowana przed wejściem na Gare de Lyon, otulona swym niebieskim płaszczykiem, wsłuchana w gwizdy pociągów, powtarzając sobie: „Mam tego dosyć, mam tego dosyć, mam tego dosyć; za co, na Boga, mnie to spotyka?”

Wychodząc z dworca, zauważyła, że zegary wskazują kilkanaście minut po godzinie osiemnastej. Nie płakała, to już było dobrze. Zawsze zdąży jeszcze popłakać sobie jutro, gdy znajdzie się w gabinecie pana Picarda, który jej powie: „Jest pani bardzo ładniutka, pisze pani biegle i bez błędów ortograficznych, wierzę w słuszność i prawdziwość pani argumentów, niestety jednak zmuszony jestem zwolnić panią. Proszę sobie poszukać pracy gdzie indziej”.

Oczywiście pan Picard nie będzie przemawiał do niej tym tonem, ale zostanie odprawiona w drugim dniu pracy, jak idiotka, jak głupia gęś, jak osoba szurnięta, którą zresztą była.

To Daniel używał tego słowa. Mówił: szurnięty facet, szurnięty kierowca... „Przed chwilą widziałem kompletnie szurniętą dziewczynę”. Co miało znaczyć: głupi, wariat, ktoś, kto ma mgłę w głowie i mgłę przed oczami.

Nie płakała, ale przed oczami miała jakby mgłę, która zniekształcała dworzec, parking, autobusy odjeżdżające w stronę placu Bastylli. Całe to miasto, o którym śniła od miesięcy jak głupia, prowincjonalna gęś, jak szurnięta.

Jutro straci pracę. Może każą jej opuścić pokój. Wszystko się skończy, nim się jeszcze zaczęło. Trzy dni temu, ledwie trzy dni temu, wyo-



brażała sobie, jak wysiądzie w Paryżu — jak go „schrupie” ładnymi ząbkami, które myła rano i wieczorem pastą prawdziwie leczniczą — w swym nowym jasnoniebieskim płaszczyku, kupionym przed miesiącem; ona — właścicielka pięknych włosów i zgrabnych nóg, błękitnych oczu, które jej samej łamały serce, gdy przeglądała się w lustrze; ona — z bezbłędną ortografią i wprawą w pisaniu na maszynie, z dyplomem szkoły Pigier, z trzema sukienkami i trzema spódniczkami w walizce oraz z sumą 500 franków w torebce.

I oto nagle wszystko popsuł ten idiota, ten smarkacz, który dopiero niedawno zaczął się golić, ten zepsuty dzieciak, który uważał się za ósmy cud świata, który twierdził, że wszyscy inni są szurnięci, a nie potrafił kroku zrobić, by się nie potknąć i nie podrzeć jej pończoch, jej najdroższy, jej ukochany Daniel, chłopak jak z reklamy mydła dla dzieci „Bébé-Cadum” i dlatego nazywała go w myślach „Bebe”.

Spostrzegła, że siedzi w autobusie jadącym w stronę placu Bastylli i że żądają od niej biletu. Był ważny tylko do Bastylli, to nic, dalej pójdzie pieszo, wszystko jedno dokąd, ze smakiem pocałunku na wargach, z poziomkowym cukierkiem w ustach, popłacze sobie, przynajmniej nikt nie będzie widział; podarł już jej trzy pary pończoch, ale przysięga na własną głowę, że umrze, jeśli go już nigdy nie spotka.

Wysiadając na placu Bastylli z pustymi rękami, torebkę bowiem zostawiła w biurze, opuszczanym o szesnastej, po raz pierwszy pomyślała sobie: „Szłam już tędy razem z nim, to było straszne i wspaniałe, gdyby mama wiedziała, zemdlałaby, ale co to mnie obchodzi, już trudno, płaczę”. Przechodząc przez plac, płakała jak głupia gęś. „Mam to w nosie, kto nie chce widzieć, niech nie patrzy, kpię sobie z tego”. A plac był olbrzymi, czarny, lśniący, otoczony dalekimi światłami. „Czy chociaż dałam mu trochę pieniędzy, żeby zjadł coś w pociągu?”

Przechodziła już tędy razem z nim. Wszędzie, gdziekolwiek się znalazła w tym wilgotnym mieście, trafiała na ulice, którymi chodzili i jeździli oboje przez te dwa dni. Kiedy to było? W sobotę. W taksówce.

„Nie chcę wracać zaraz — pomyślała. — Przejdę się aż do Palais-Royal, wstąpię do jakiejś źle oświetlonej kawiarenki, dadzą mi dwa sadzone jajka, zjem, przeczytam gazetę i pójdę znowu pieszo na ulicę du Bac. Wejdę do siebie na górę i sprzątnę pokój, jakby nic się nie stało. Albo lepiej pójdę do jakiegoś innego baru i będę się wygłupiała. Po-

rozmawiam z kelnerami, potańczę, wypiję coś mocnego, od czego kręci się w głowie, co pomaga zapomnieć, ale czy istnieje coś takiego, co pozwoli zapomnieć o Danielu?"

Przed trzema dniami uściskała matkę i braciszka na dworcu w Awinionie. Wsiadła do wagonu i uśmiechnęła się tak radośnie, że matka zapytała ją: „Nie żal ci, że odjeżdżasz od nas?” Odparła: „Przebież niedługo przyjadę. Na Gwiazdkę”.

Za trzy miesiące. To bardzo niedługo. A trzy dni czy to długo?

**Stał** wyprostowany jak świeca, z ortalionem na rękę, w wymiętym tweedowym garniturku, jasnowłosa, z oczami zbitego psiaka, głuptas, że aż trudno uwierzyć, w połowie drogi między toaletą a łączącą wagonny harmonijką, gotów w każdej chwili przejść do innego wagonu, gdy tylko zobaczy kontrolerów.

Pociąg ruszył. Pochylił się, żeby pomóc jej podnieść walizkę, stracił równowagę, podarł jej pierwszą parę pończoch.

Powiedziała ze złością: „Proszę zostawić, doskonale poradzę sobie sama”. Czuła jeszcze ból w kostce. Oczka w pończosze leciały bez nadziei. Nie opłacało się wyciągać lakieru do paznokci, i tak już nic nie pomoże.

Nawet jej nie przeprosił, nie wiedział, jak to zrobić. Stał jak idiota, mówiąc „ale ciężkie”, patrzył na nią ze smutkiem, gdy uniosła sukienkę, żeby obejrzeć pończochy, i dodał, co już było szczytem: „Poleciało, mam buty podkute gwoździami, to mama kazała mi je nabić, wszystkim zawsze drę pończochy”.

Pociąg jedzie, sukienka uniesiona z jednego boku, pośliniony palec przytknięty do lecącego oczka — podniosła wzrok, przyjrzała mu się dokładnie. Był zgrabny, miał z piętnaście lub szesnaście lat, wyraz twarzy zbitego psiaka; powiedziała: „Nie szkodzi, drobiazg”. Sama połaszczyła swoją walizkę w stronę przedziału.

W połowie korytarza, przy otwartym oknie stała kobieta, Georgette Thomas, i mężczyzna z długim nosem, Cabourg. Kobieta, żeby zrobić jej przejście, nieznacznie się cofnęła, spoglądając na nią wzrokiem, którego nie zapomni, sama nie wie dlaczego (może dlatego, że tamta już nie żyła), wzrokiem, który zdawał się ją poznawać, który zdawał się mówić: „Oto jesteś”.

Przedział był duszny, przegrzany. Prawą dolną kuszetkę zajmowała kobieta, lewą mężczyzna.

Bambi wyciągnęła się na swojej, myśląc o mamie, o trzech sukienkach, które chętnie by wyjęła i powiesiła, żeby nie gniotły się w walizce, o lecących oczkach w pończosze. Zdjęła je pod kocem, potem sukienkę, kołyszając się na wszystkie strony, jak w ogóle można spać w ubraniu, nie rozumie, jak oni to potrafią...

**Jasnowłosa** kobieta, pani Darrès, o której Daniel powiedział później, że to aktorka, była w różowej piżamie i różowym szlafroku. Czytała ilustrowane pismo, od czasu do czasu spoglądając na Bambi. Powiedziała:

— Tam nad głową ma pani lampkę.

Bambi zapaliła lampkę, mówiąc: „Dziękuję, wygodnie się teraz jeździ”. Ale tak naprawdę, to pierwszy raz w życiu podróżowała w wagonie z kuszetkami. Położyła sukienkę wzdłuż, przy ścianie, torbę postawiła w nogach, pończochy wsunęła pod jasiek, zaczęła czytać książkę, ssąc owocowy cukierek o wiśniowym smaku.

Kontrolerzy weszli nieco później, otwierając dość gwałtownie drzwi.

**Hop!** I gotowe! — powiedział kelner. — Dwa sadzone i pół szklaneczki piwka na rozgrzewkę!

Bambi siedziała sama przy stoliku w kawiarni przy Palais-Royal.

Czytała po raz drugi wzmiankę w „France-Soir”, ale nic nowego tam nie było. Wałkowano jedynie wiadomości podane rano. Pisano, że Policja Śledcza nie ujawnia szczegółów dla dobra sprawy, że ujęcie zabójcy to kwestia najbliższych godzin. Na próżno szukała nazwiska inspektora Grazziano, tego, o którym Bébé powiedział: „Do niego mam zaufanie”.

Oczy musiała mieć zaczerwienione, bo kelner, który przyniósł jajka, rzucił jej współczujące spojrzenie, a odchodząc, obejrzał się dwa razy. Chciała się przypudrować, przypomniała sobie jednak, że torebkę zostawiła w biurze, przy ulicy Réaumura. Portmonetkę miała w kieszeni palta, miała tam również cukierki, których Bébé nie chciał wziąć, i kompletnie mokrą chusteczkę z napisem „poniedziałek”.

To pomysł mamy. Wyhaftowała jej na chusteczkach wszystkie nazwy dni tygodnia. W pociągu, gdy po raz drugi natknęła się na Danie-

la, wynikała cała historia z chusteczką „piątek”, czerwoną, w drobną zieloną kratkę.

Oślaniając się kocem, by nie zobaczyli stanika, musiała unieść się, sięgając po swój niebieski płaszczyk. Podała bilet kontrolerowi, który stał bliżej. Drugi sprawdzał bilet pani o utlenionych włosach, tej aktorki. Potem musieli obudzić mężczyznę, śpiącego pod kuszetką Bambi, który prychnął i złościł się.

Skorzystała z tego, że nie zwracano na nią uwagi, włożyła niebieskie palto i zeszła ze swej kuszetki. Wsunęła na nogi pantofle, wyszła na korytarz. Georgette Thomas i Cabourg gawędzili nadal, stojąc obok siebie przy otwartym oknie. Młoda ciemnowłosa kobieta paliła, wydmuchując wielkie kłęby dymu, a pęd powietrza wtlaczał je z powrotem do korytarza wagonu. Czarne drzewa przesuwały się na czarnym tle nieba.

Toalety były zajęte. Przeszła przez harmonijkę, by spróbować w drugim wagonie, ale tam też ktoś był w ubikacji, więc wróciła. W harmonijce, która ruszała się pod jej nogami, musiała przytrzymać się obu rękoma poręczy, aby nie upaść, i pobrudziła sobie palce.

Czekała cierpliwie. Słyszała kontrolerów, którzy tymczasem wchodzili już do innych przedziałów, mówiąc: „Przepraszamy państwa”. Wreszcie zaczęła ruszać energicznie klamką, zupełnie jak to bywało w szkole, gdy człowiekowi było pilno, a któraś z koleżanek nie wychodziła.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i Bambi od razy wszystko zrozumiała, widząc jego przerażone oczy i wystraszoną twarz. To naprawdę było tak jak w szkole przed maturą, czas cofnął się o trzy, cztery lata: obóz profesorów i obóz uczniów, sekrety, donosy, strach przed wychowawcami.

— Czego pani tu chce?

Nastroszył się jak młody kogucik, widząc, że to nie kontrolerzy (wychowawcy). Powiedziała:

— Zrobić siusiu, po prostu!

To był ten sam chłopak, który rozdarł jej pończochę, miał jasne włosy i zalęknioną minę; szepnął, wykrzywiając wargi w podkówkę:

— Niech pani tu nie stoi. Niech pani stąd idzie. Ja nie mam biletu.

— Nie ma pan biletu?

— Nie.

— I tu się pan schował? Myśli pan, że się panu uda?

— Niech pani nie mówi tak głośno.

— Wcale nie mówię głośno.

— Owszem, mówi pani bardzo głośno.

Wtedy właśnie usłyszeli kroki kontrolerów, głosy wychowawców, którzy weszli do ostatniego przedziału w tym wagonie, zaledwie kilka kroków od nich... „Przepraszamy państwa”.

Bébé ujął ją za ramię, to był pierwszy stanowczy ruch, jaki u niego zauważyła. Pociągnął ją tak gwałtownie, że omal nie krzyknęła. I najzwyczajniej znaleźli się oboje w toalecie. Zamknął drzwi.

— Proszę mnie w tej chwili wypuścić!

Zatkał jej usta dłonią, jak Robert Taylor Deborze Kerr na niemieckim statku... to taki amerykański film, który widziała w Awinionie przed dwoma miesiącami, tylko że Robert Taylor miał wąsiki, był brunetem i był męski, podczas gdy Bébé błagał ją, patrząc oczami zaleknionego dziecka:

— Niech pani nic nie mówi, proszę, niech pani będzie cicho! Stali jedno przy drugim, za zamkniętymi drzwiami. Widziała się

w dużym lustrze nad umywalką, myślała: „Tylko mnie mogło się przytrafić coś takiego, gdyby mama to widziała, zemdłałaby”.

Szepnął, nieśmiałym głosem ucznia jezuitów, że miał zamiar schować się na schodkach wagonu, ale w tamtym korytarzu był jakiś facet, a poza tym bał się, że potem nie da rady otworzyć drzwi, no i nie wiedział, gdzie podziać walizkę.

Teraz walizka stała na umywalce, pękata, ze świńskiej skóry. Rozpaskudzony dzieciak, synalek bogatych rodziców, całkiem klasyczny typek: ojciec adwokat, radca miejski w Nicei, powiedział jej to nazajutrz, i to także, że był u Jezusków”, w internacie w Tuluzie, że powtarzał drugą klasę z powodu matematyki, że ma wszystkiego powyżej uszu, że wszystko rzucił w diabły, aby żyć po swojemu.

Zastukali do drzwi. Dopytywali się, czy jest ktoś w środku. Odepchnęła chłopaka, przykładając palec do ust, jak w szkole. Zrozumiał w lot i wskoczył na klapę sedesu, z miną idioty, robiąc przy tym o wiele za dużo hałasu. Uchyliła drzwi, ale przedtem, żeby wyglądało naturalniej, rozpięła płaszcz: „Gdyby mama mnie widziała, zemdłałaby”.

— Kto tam?

— Och, przepraszam...

Przytrzymała uchylone drzwi prawą ręką, lewą zgarniała poły palta. Kontrolerzy zmierzili ją wzrokiem od stóp do głów, młodszy cofnął się o krok, drugi, niepewnie, odruchowo dotknął dłonią czapki. Była chyba zielona na twarzy. Gdyby odwróciła teraz głowę i przyjrzała się w lustrze, blada, z blond włosami, z gołymi nogami wystającymi spod rozpiętego płaszcza, byłaby chyba zemdląca. W gardle czuła bicie serca.

— Panowie już sprawdzali mój bilet...

Starszy powiedział: „Tak, tak”. Powtórzył: „Przepraszam, proszę wybaczyć” i wycofali się obaj; zamknęła drzwi, zobaczyła się w lustrze — jasne włosy, oczy wystraszone jak u Bébé, jedno kolano sterczące spod palta. Nie była blada, tylko czerwona jak burak.

Zostali tam jakiś czas, on na klapie sedesu, z głową pochyloną, bo sięgał sufitu, ona oparta o drzwi, przytrzymując poły płaszcza; czuła coś, o czym wiedziała już, że się stanie, to głupie, ale tak właśnie było... „Wystarczy spojrzeć na niego”. Też był czerwony, czarne oczy mówiły „dziękuję”. „Boże, co za głuptas, mój najdroższy, mój Daniel, mój Daniel”.

— Pobrudziła sobie pani czymś czarnym policzek.

Nic innego nie miał do powiedzenia w dwie czy trzy minuty później, gdy się już upewnili, że kontrolerzy na pewno sobie poszli.

Pewnie dotknęła twarzy umazanym palcem. Albo może to on, gdy zamknął jej dłonią usta, kretyn. Wytarła chusteczką, przeglądając się w lustrze. Zszedł z sedesu, zachwiał się i omal nie rozbił sobie głowy, stając na walizce, oparł się o Bambi, nie przeprosił, bo nie wiedział, że tak wypada. Uśmiechnął się w lustrze. Jedyne, co potrafił, to uśmiechać się tą swoją ładną buzią rozpaskudzonego dzieciaka.

— Pan też jest umazany. O, tu...

Podąła mu swoją chusteczkę, pokazała strużki potu spływające z czoła na policzki bez zarostu. Teraz on się wytarł, stojąc tuż przy niej. Potem razem myli ręce mydłem kolei państwowych, które ma specyficzny zapach, długotrwały, zapach tego, co jest wyrabiane dla wszystkich.

Popatrzył na czerwoną chusteczkę w zieloną kratkę. Roześmiał się.

— Jak byłem mały, też miałem takie. Na każdy dzień tygodnia inną.

Jak był mały! Gdy mówił, od czasu do czasu słyhać było południowy akcent, mimo kpin i napomnień Jezusków", akcent już złagodzony, zniekształcony, jakim w Awinionie mówią ci synalkowie dobrych rodzin, którzy nie wiedzą, że trzeba powiedzieć „przepraszam”. A potem odwrócił się raptownie, bo pewnie pomyślał o chusteczkach i wielka fala tęsknoty napłynęła mu do serca.

Bébé.

Z trudem dojadła właśnie swoje sadzone jajka, gdy nagle uprzytomniła sobie, że przecież klucze od pokoju zostały w torebce.

Daniel, wychodząc, zostawił otwarte drzwi, o czym powiedział jej przez telefon. Nawet specjalnie po to zadzwonił. O czwartej po południu.

— Bambi?

— Tak.

Pierwszy dzień była w biurze. Gdy powiedziano: „Telefon do pani”, wiedziała, że to może być tylko on.

— Nie zamknąłem drzwi pokoju, nie zostawiłaś mi klucza.

— Gdzie jesteś?

— W Clichy.

Nastała długa, bardzo długa chwila ciszy, bo nie wiedziała, co powiedzieć, on zresztą też, a poza tym krępowała ją obecność nowych kolegów.

— Gdzie to jest? \_ Dość cł&lgko

Dla nich oznaczało to: daleko od Gare de Lyon. Wszystkie dzielnice Paryża mierzyli odległością od tego miejsca, w którym oboje po raz pierwszy ujrzeli to wilgotne miasto dwa dni temu.

— To daleko stąd?

— Nie wiem.

Znowu cisza, znów długa cisza.

— Wyjeżdżam, Bambi.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Cóż można odpowiedzieć, gdy patrzy na człowieka dziesięć par oczu i gdy jest się głupią gąską?

— Myślę, że lepiej będzie, jak wrócę do domu. Wytlumaczę ojcu To on pogada z policją. Ani ty, ani ja nie będziemy mieli żadnych przykrości. Juz tata potrafi to załatwić.

— Jak się tam dostaniesz?

— Pojadę pociągiem, tak jak tu przyjechałem.

Chciała mu odpowiedzieć, ale nie mogła. Gdyby powiedziała mu o pewnych sprawach, nie wiedziałaby, co ma robić. A poza tym paraliżowały ją te wszystkie uważne spojrzenia, skierowane w jej stronę.

— Daniel...

Wymówiła jednak jego imię i może głos zdolny jest wyrazić to wszystko, co rozdziera serce, bo słuchający odwrócili wzrok. Usłyszała rzeczy cudowne, które mówił bardzo szybko: „moja maleńka Bambi, moja maleńka Bambi, kocham, wkrótce, zawsze, noc, niedługo, Paryż, Nicea, ty, ja, moja maleńka Bambi, słuchaj, Bambi” — i odwiesił słuchawkę.

Ona też odłożyła słuchawkę, przeszła pomiędzy stołami, wśród terkotu maszyn do pisania, niczego nawet nie wywracając, nie potykając się, z uśmiechem odsłaniającym zęby; zabrała się z powrotem do swojej pracy i nie podnosząc głowy, wystukała jeszcze dwie czy trzy strony. A potem nagle, było to ponad jej siły, nie mogła dłużej, niech się dzieje, co chce: wstała, pobiegła po palto, do drzwi, przez hall na ulicę, do poczekalni Gare de Lyon, na peron. Dopiero tam spostrzegła, że jest godzina 17.00, a najbliższy pociąg do Marsylii, Nicei, Vintimille odchodzi o 17.40. Czekwała...

**Wyszli** na korytarz wagonu, najpierw ona, by sprawdzić, czy nikogo me ma. Stali obok siebie, w pobliżu harmonijki łączącej wagony. Wtedy opowiedział jej, że uciekł z domu przed tygodniem, autostopem dojechał do Cannes, potem do Marsylii, parszywe miasto, wszyscy ciągle o cos człowieka pytają. Dwie noce spał w schronisku dla młodzieży, dwie w jakiejś poczekalni, jedną w bistro, którego nie zamykano na noc, a jedną, gdy jeszcze miał forszę, w hotelu.

— Co pan teraz zrobi?

— Nie wiem.

Nigdy nic nie wiedział. Ponieważ była o te pięć czy sześć lat od niego starsza, zaufał jej natychmiast, mówił do niej nawet „szanowna pa-



ni". Najbardziej peszyła go własna walizka, żałował, że ją zabrał. Bambi myślała: koniecznie powinien się przespać.

— W moim przedziale jest wolna kuszетка. Niech pan zaczeka chwilę. Jak już nie będzie nikogo na korytarzu, niech pan przyjdzie. To na samej górze, po lewej od wejścia. Akurat nad moją.

Patrzył na nią z pewnym uwielbieniem, kiwając głową potakująco przy każdym jej słowie. Wtedy właśnie powiedział do niej „szanowna pani”.

Młoda brunetka i Cabourg wciąż stali w korytarzu. Bambi wychyliła głowę, by ich zobaczyć, potem powiedziała: „Chce mi się spać, proszę poczekać, aż nikogo już nie będzie, i nie narobić hałasu, jak będzie pan wchodził”.

— A moja walizka?

— No to co? Proszę ją wziąć z sobą.

Wszystko stało się z powodu tej walizki. Tej jego przekłetej walizki ze świńskiej skóry, w której miał tylko dwie koszule i ubranie na zmianę, ale poza tym mnóstwo nieprawdopodobnych rzeczy: książki, rękawice do boksu, zagłówkę, puszki z konserwami, sucharki, komplet srebrnych sztucców, które zamierzał sprzedać, butelkę wody kolońskiej, żeby ładnie pachnieć, co najmniej trzy szczotki do włosów, by wyglądać elegancko.

Jakby nie był dość śliczny i bez tego, myślała Bambi, wychodząc ze słabo oświetlonej kawiarenki przy Palais-Royal. Tędy przechodzili także w niedzielę rano, wczoraj, tysiąc lat temu.

Śledzili niskiego inspektora w kurtce, który bez przerwy jeździł taksówkami. Jedenaście franków na ulicę La Fontaine, gdzie czekali, siedząc po dwu stronach stolika w barze na rogu ślepej uliczki.

Inspektor w kurtce z kapturem wszedł tam chyba w pół godziny później, nie zauważył ich, podszedł do telefonu.

— Przecież on się myli — mówił Daniel. — Ale frajerzy z tych glin! Być mikro, być frajerem — to wyrażenia z ich świata. Pochodzili z tych samych stron, jak to dobrze.

— Jest młody — mówiła Bambi. — Zielony.

W pociągu — a potem jeszcze przez cały dzień i całą noc — Bambi zachowywała różnicę lat, wciąż pozostając dla Daniela „szanowną panią”.

Na korytarzu wagonu wybuchła kłótnia. Ze swej kuszетки Bambi słyszała podniesiony głos Georgette Thomas; odchyliła nawet zasłonkę nad głową, żeby zobaczyć, co się tam dzieje.

Cabourg stał tyłem, ale i tak można było poznać, że jest zdruzgotany. Brunetka trzymała rękę na piersi, tuż przy ramieniu, palce miała kurczowo zaciśnięte, jak szpony drapieżnego ptaka. Wyglądało, że broni czegoś, co było w wewnętrznej kieszeni żakietu, a co usiłowano jej odebrać.

Bambi odgadła, że tamta wymyśla Cabourgowi, że ostrym głosem mówi mu ostre słowa, ale sensu słów nie chwytiała.

Nieco później, gdy już wszystkie lampki zgaszono, Georgette Thomas weszła do przedziału. Bambi widziała, jak układa się na kuszette naprzeciw, spokojna, jakby tamta awantura w ogóle się nie zdarzyła. Kobieta była piękna, szczupła, miała długie nogi, wyciągnęła się w kostiumie na wznak. Bambi nie czuła do niej sympatii. Nie mogła pojąć, co znaczyło spojrzenie, którym ją obrzuciła w korytarzu, spojrzenie, które było przerażone i które ją, Bambi, napełniło przerażeniem. Jeszcze później — było chyba wpół do pierwszej albo pierwsza w nocy — wszedł także Cabourg. Bambi widziała, jak zdjął marynarkę i położył się.

Pociąg dojechał do Lyonu. Na zasłonki w oknach wagonu padały plamy światła, słychać było nawoływania i odgłosy bieganiny na peronach. Bambi domyśliła się, że sprzedają kawę w kartonowych kubkach, sandwicze opakowane w celofan, jak na dworcu w Awinionie. Pociąg ruszył znowu.

Zasypiała już, leżąc na brzuchu, dotykając twarzą ramienia, gdy usłyszała, jak chłopak otwiera ostrożnie drzwi przedziału i zasuwa je za sobą. Potknął się o własną walizkę, stracił równowagę, przewrócił się na kogoś, mówiąc: „Cholera, co ja wyrabiam!...”

Ona też zastanawiała się nad tym. Zachciało się jej śmiać do rozpuku, sama nie wiedziała, dlaczego: czy że musiała mu pomóc wtaszczyć walizkę na górę, czy że przytrzymał się jej, a była przecież na wpół rozebrana, powtarzając wciąż „cholera”, czy że upadł najpierw na kuszettek dolną, potem na jej własną, cały czas sapiąc, wściekły, macając dokoła z przerażeniem, zupełny idiota. Wreszcie wylądował na wolnej kuszette, długo nie śmiał się poruszyć, szepcząc: „Szczęście, że to się dobrze skończyło, o mało co nie pomyliłem przedziałów”.

Potem zwiesiwszy głowę ze swej kuszетки, pochylił się tuz nad nią, tak że prawie mogła widzieć jego oczy. Rozmawiali ledwo dosłyszalnie, cichym szeptem, który musiał drażnić resztę pasażerów. Bambi często ogarniała wariacka ochota do śmiechu.

W lipcu skończył szesnaście lat. Oboje byli spod tego samego znaku zodiaku. Powiedziała, że to okropne, gdy się jest spod Raka, bo to znak wariatów. Zapytał: „Naprawdę?” - tonem przestraszonym, zmieszanym i na chwilę wyciągnął się z powrotem na swojej kuszette, bo czuł że od tego pochylania się w dół krew napływa mu do głowy.

A potem Bambi już się nie śmiała. Mówił rzeczy smutne, mówił o sobie. Umiał mówić o sobie. Pociąg toczył się w stronę Dijon, w stronę Paryża, oddalał się od szkoły, oddalał się od ojca, z którym Daniel pokłócił się o skuter.

Bambi usnęła, leżąc na wznak, przykryta po samą brodę, patrząc na twarz, którą powoli zniekształcały ciemności i sen, twarz pochyloną ku niej, którą знаła od dawna: „Naprawdę powinien pan wrócić do domu, nie ma sensu uciekać”... pociąg jedzie, pociąg jedzie, pociąg jedzie.

Rano otworzyła jedno oko, by zobaczyć, jak schodzi w swym wymiętym tweedowym garniturku, z ortalionem w rękę. Mijając ją, pochylił się wyszeptał „proszę pani” i suchymi wargami, prawie niewyczuwalnie, pocałował ją w policzek. Pomyślała, że chyba wcale nie spał. I zasnęła na nowo. . .

A potem, nagle, była już 7.30, pociąg dojeżdżał do Paryża, na korytarzu panował tłok, pasażerowie palili papierosy przy otwartych oknach. Słyszała, jak ktoś powiedział, że jest zimno.

Uniosła się, by włożyć sukienkę. Brunetka z kuszетки naprzeciwno uśmiechnęła się do niej. Aktorka była już ubrana, walizka stała obok niej Bambi odrzuciła okrycie, które jej przeszkadzało, myśląc: mężczyźni śpią. I przez cały czas - gdy wkładała sukienkę i pończochy ze spuszczonej oczkami - czuła na sobie spojrzenie Georgette Thomas. Skrzyżowała swój wzrok ze wzrokiem tej kobiety: był taki sam jak wczoraj, umykający, niezrozumiały.

Poszła umyć zęby i przetrzeć nieco twarz kolońską wodą. W korytarzu było dużo ludzi. Widziała, nie zwracając zresztą na niego specjalnej uwagi, tego mężczyznę, o którym później mówił jej Daniel. Przypomniała sobie, że był w szarym palcie, trochę podobnym do tego, jakie

nosił wuj Charles, za długim czy za wąskim, a w ręku trzymał torbę plażową z niebieskiego materiału z herbem Prowansji u dołu.

Nie myślała już właściwie o Danielu. Były to raczej ulotne myśli nieważne. Poszedł, da sobie radę.

Do przedziału wróciła w chwili, kiedy pociąg wjeżdżał na stację Mężczyzna z kuszetki dolnej, ten w zielonej skórzanej kurtce sapiąc sznurował ciężkie buciory. Cabourg wyszedł pierwszy, nie mówiąc do widzenia, me patrząc na nią ani w ogóle na nikogo, bo pewnie wstydził się wczorajszej scysji. Potem, akurat w chwili gdy pociąg się zatrzymał, mężczyzna w zielonej kurtce wziął swą walizkę o wytartych rogach, powiedział: „Do widzenia paniom” — i wyszedł także.

Bambi układała przybory toaletowe. Teraz doskonale przypomina sobie ow drobny pożegnalny gest aktorki, gest dłoni powtórzony dwa razy, i jej pobłażliwy uśmiech. Eliane Darres wyszła, pozostawiając w przedziale ostry zapach perfum, wyprostowana, mimo ciężaru dźwiganego bagaży.

Korytarz opustoszał. Georgette Thomas stała przy oknie ze spuszczoneymi zasłonkami. — Proszę pani...

Były same. Bambi wkładała swój niebieski płaszczyk. Czuła się odświeżona i wypoczęta, bo umyła sobie twarz i uczesała się bez pośpiechu, choć inni pasażerowie dobijali się do toalety.

Georgette Thomas z bliska wyglądała na trzydziestkę, miała bardzo bladą twarz, jeszcze bledszą przy bardzo czarnych włosach i duże oczy, niebieskie jak u Bambi. Spoglądała wciąż tym samym umykającym wzrokiem, a gdy napotykała wzrok Bambi, odwracała oczy.

Chciałaby z nią, z Bambi, pomówić. Musi z nią pomówić. Koniecznie musi z nią pomówić.

Ale — i Bambi pojęła to od razu — nie miała jej nic do powiedzenia. Spytała tylko: „Widziała pani tego faceta wczoraj wieczorem? To straszne, prawda?” W jej głosie nie było przekonania, jej głos żebrał o jakąkolwiek odpowiedź.

— Och, zdarzają się tacy, wie pani — rzekła Bambi. — Niech się pani nie przejmuję.

Wzięła walizkę, chciała wyjść. Ale nie. Georgette Thomas stanęła w drzwiach wyraźnie po to, by ją zatrzymać, mówiąc: „To okropne, że

są tacy mężczyźni, nie, niech mnie pani posłucha, panno Bombat, niech pani nie wychodzi".

Bambi pomyślała: „Skąd ona zna moje nazwisko?" I jednocześnie: „Na pewno będzie chciał przejść przez bufet lub koło kas, co za dureń, muszę go zaraz złapać".

Zdecydowanie wyminęła młodą kobietę, mówiąc: „Przepraszam panią, proszę mnie przepuścić, czekają na mnie". I było to dziwne, ale poczuła, że obie się boją.

— Właściwie czego pani ode mnie chce? Proszę mi dać spokój!

„Czego ona ode mnie chciała? — myślała Bambi, idąc teraz przez Hale, wśród zapachów, które przyprawiały ją o mdłości. — W tej chwili powinien być w Dijon albo i dalej. W Dijon w sobotę rano spałam sobie, nic się nie działo, był pochylony nade mną, może jeszcze coś do mnie mówił".

Nogi same ją niosły w kierunku ulicy Réaumura. Opuściła biuro przed końcem urzędowania, nie wyjaśniając niczego, w pierwszym dniu swej pracy. Jutro na pewno ją wyrzucą. Bywają takie wieczory, gdy ma się wrażenie, że Pan Bóg zawziął się na człowieka i że jest to Pan Bóg, którego nie można przebłagać.

Zaangażowano ją na posadę listownie, na podstawie zaświadczenia z kursów pisania na maszynie, z wynagrodzeniem 880 franków miesięcznie, minus świadczenia, plus trzynasta pensja, dodatek za przejazdy oraz pokój na poddaszu, przy ulicy du Bac, z bieżącą wodą i centralnym ogrzewaniem.

Jutro pan Picard podpisze jej zwolnienie i na pewno odbiorą jej pokój. Pan Bóg niczego jej na pociechę nie zostawi. Mama mówiła przy takich okazjach: „Nic, tylko oczy do płakania".

Mimo wszystko mogłaby jednak pójść jeszcze dziś wieczór do biura. Zobaczyłaby się z panem Picardem, który na pewno pracuje do późna. Wytłumaczyłaby mu. Wygląda na porządnego człowieka, mógłby nawet mieć córkę w jej wieku. Powie mu: „Gdyby pana córka zobaczyła Bébé stojącego przed wejściem na peron na Gare de Lyon, tak jak ja go widziałam przedwczoraj rano, też by się wzruszyła".

Następnie trzeba mu będzie wytłumaczyć sprawę pokoju, pierwszej nocy, drugiej, i w ogóle sprawy, które są nie do wytłumaczenia.

Ale pana Picarda pewnie nie ma już w biurze. Było ciemno, zimno, smutno. Pan Picard poszedł sobie do domu. Jedyne, co może zrobić, to prosić dozorcę na ulicy Reaumura, żeby wydał jej zostawioną w biurze torebkę.

O godzinie ósmej rano, owej pamiętnej soboty, stał nieopodal wyjścia, z rękoma w kieszeniach ortalionu, z damską apaszką na szyi. Podróżni potrącali go w pośpiechu, ale on nie zwracał na to uwagi, spacerując sobie to w jedną, to w drugą stronę — co za idiota.

Postawiła walizkę na ziemi, powiedziała: „No więc tak, ciągle pan tu jeszcze jest, co ma pan zamiar dalej robić?” A on westchnął:

— Nareszcie! Co pani robiła tyle czasu?

— Jak to, co ja robiłam?!

— Nie wzięła pani mojej walizki?

— Pana walizki?

— Uzgodniliśmy przecież...

— Co niby uzgodniliśmy?

On kiwał głową, nie rozumiejąc. Ona kiwała głową, nie rozumiejąc. Sprawę wyjaśnili dopiero na ławce, siedząc obok siebie, przedzieleni walizką Bambi. Bez przerwy poprawiał apaszkę, zakładając ją na kołnierz ortalionu. Na chustce był wydrukowany fragment zatoki nicejskiej.

— To jest damska apaszka.

— Tak, mamy. Sam nie wiem, po co ją wzięłem. Jak byłem mały, bardzo mamę kochałem, lubiłem nosić jej rzeczy. Teraz już sam nie wiem.

To on wykombinował, jak wydostać się z Gare de Lyon. Twierdził, że tłumaczył jej w nocy, co ma robić. Ponoć klarował to dobre pół godziny, pochylony nad jej kuszetką. Nie słyszała, widocznie właśnie wtedy zasnęła.

— Miała pani wziąć moją walizkę. Miała pani wyjść ze swoim biletem, postawić walizkę w poczekalni i wrócić z dwoma peronówkami. Potem wyszlibyśmy oboje.

— Nie zrozumiałam. W ogóle tego nie słyszałam. Też ma pan pomysły!

Spojrzał na nią z rozczarowaniem i nieufnością. Tym dorosłym nie można jednak wierzyć. Nigdy nie słyszą, co się do nich mówi.

Ruchem, który miał wyrażać pewność siebie, położyła mu dłoń na ramieniu. Myślała: „Teraz dopiero robię prawdziwe głupstwo, na dobrą sprawę, jedyne, czego powinnam mu życzyć, to żeby go złapali i jak najprędzej odstawili do domu. W najgorszym razie nie dostanie za karę deseru”.

— Niech pan idzie po swoją walizkę. Gdzie ona została?

— W przedziale. Na półce.

— Szybko, proszę ją przynieść.

— A potem zrobimy tak, jak powiedziałem?

— Tak. Zrobimy tak, jak pan powiedział.

— A pani stąd nie odejdzie?

Popatrzyła na niego z bliska, dziwnie podniecona, jak kiedyś w szkole, ale jeszcze bardziej. Oszukać wychowawców, zrobić zamieszanie, tylko na większą skalę.

— Za kogo mnie pan ma?

Skinął głową potakująco, ufny, szczęśliwy, pobiegł pędem w kierunku peronu M — po walizkę.

Czekała z dziesięć minut, siedząc na ławce i rozmyślając: „Znam siebie, znam siebie dobrze, nie będę miała dość odwagi, żeby go zostawić samego, biorę sobie kłopot na głowę, jestem wariatka”.

Wrócił z walizką, już nie biegł, z dziwnym wyrazem twarzy, poważny, spokojny, nie do poznania.

— Co się stało?

— A co się miało stać?

Wyszła sama, dźwigając obie walizki i torebkę. Wszystko razem było ciężkie. W poczekalni długo szukała w kieszeniach i portmonetce, żeby znaleźć dwie monety po pięćdziesiąt centimów. Wykupiła dwie peronówki w automacie. Postawiła z boku walizki i wróciła do Daniela. Czekał po drugiej stronie barierki, twarz jego miała nadal dziwny wyraz — i wtedy właśnie Bambi zauważyła, że brak mu apaszki. — Gdzie jest pana apaszka?

— Pewnie zostawiłem w wagonie. Chodźmy, to nieważne. Minęli kontrolera, Daniel szedł z tyłu, peronówki pokazała Bambi.

Stali z walizkami na chodniku przed dworcem, ranek był chłodny, słoneczny, przed nimi śmigały autobusy i samochody.

— Dobra — powiedział. — Do widzenia.

Wciąż nie przychodziło mu do głowy, żeby podziękować.

— Co pan teraz zrobi?

— Niech się pani o mnie nie martwi.

— Owszem, martwię się.

Dość długo musieli iść w kierunku Bastylii, nim Bambi udało się zatrzymać taksówkę. Wsiadła. Stał na jezdni, trzymając tę swoją walizkę ze świńskiej skóry; twarz miał smutną. Bambi powiedziała:

— Jedzie pan, prawda?

— Dokąd?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Z trudem włądował swoją walizkę do środka. Ciągle ze wszystkim miał trudności. Siedzieli ciasno obok siebie, suknia Bambi podwinęła się, odsłaniając kolana, ale nie mogła jej obciągnąć — w tej taksówce, która hamowała gwałtownie, mknąc przez nie znane ulice, gdzie nikt nie znał nikogo.

Podawała adres, o którym myślała z niepokojem od dwóch tygodni: jaka jest ta ulica du Bac? Gdy przejeżdżali prze most (Sekwana, Plateau de Langres, 776 kilometrów), popatrzyła na Daniela, który był czymś zaabsorbowany. Powiedziała, ponieważ sama siebie musiała o tym zapewnić, że wszystko jakoś się ułoży. Położył jej na dłoni swoją opaloną podczas wakacji rękę o długich palcach.

Na ulicy, du Bac wynikła cała historia z szukaniem klucza od pokoju. Kamienica nie miała dozorca, pytali w sąsiednim barze, potem u lokatorów z innych pięter. Bambi uznała, że w Paryżu ludzie nie są zbyt uprzejmi.

W końcu okazało się, że jakaś dziewczyna, imieniem Sandrine, czekała na nich w pokoju. Ona także pracowała w biurze przy ulicy Réau-mura. Rok temu przyjechała z Nantes. Mieszkała w pobliżu, w podobnym pokoju, przy ulicy de Sèvres. Pan Picard polecił jej, żeby przyjęła Bambi. Twierdziła, że to skandal — pracować w przedsiębiorstwie budowlanym, a mieszkać w takich warunkach. Spoglądała na Daniela, ciekawa, kto to taki, i czekając, że zostanie jej przedstawiony. Ale Bambi, z wysokości jakiegoś stołku, z rękoma w kieszeniach niebieskiego płaszczyka, patrzyła przez okno na dachy Paryża i zapomniała o Danielu.

**Nie** mam kluczy — rzekł dozorca z ulicy Réaumura. — Choćby się paliło, nic nie poradzę.

— Chciałabym tylko wziąć moją torebkę.



— Gdyby pani chciała wziąć maszynę do pisania czy forszę z kasy pancерnej, nic by to nie zmieniło: nie mam kluczy.

Bambi odwróciła się na pięcie i ruszyła ku schodom.

— Dokąd pani idzie?

— Na górę. Może ktoś jest w biurze.

— Nie ma nikogo. Wszyscy już poszli. Wie pani, która godzina?

Była 21.00. A jednak poszła na górę, zadzwoniła do drzwi na drugim piętrze, zeszła. Dozorca czekał przed dyżurką. Nic nie powiedział. Patrzył, jak znika w ciemności nocy, z rękoma w kieszeniach niebieskiego płaszczyka, i pomyślał pewnie: „Co za pokolenie” albo: „Co za czasy”, albo: „Dałbym jej w skórę”, albo coś w tym rodzaju.

Pokój miał cztery metry na trzy, ścięty sufit, ściany pomalowane na biało. W jednym rogu była wnęka z płytką gazową, z szafą w ścianie, umywalką i, szczyt luksusu, prysznic za zasłonami z plastyku w kolorze cytrynowym.

— Urządzę się tutaj — powiedziała Bambi. Sandrine pozostała jeszcze dłuższą chwilę. Stwierdziła:

— Ma pani ładną sukienkę. Ładnie się pani czesze, jak pani to robi? Ma pani fajne pantofle. Ma pani fajny prysznic, prawda?

Wszystko się jej podobało. A ponieważ Bambi, pochłonięta wyjmowaniem rzeczy ze swojej walizki, nie odpowiadała, tamta zaczęła mówić o biurze, wygłosiła długi monolog, którego zresztą nikt poza nią nie słuchał. Biuro też było fajne.

Nagle zrobiło się prawie południe. Sandrine odeszła, nieobowiązująco zapowiadając się na wieczór, a Bébé zasnął na łóżku.

Pokój wyglądał teraz zupełnie inaczej dzięki fotografiom ustawionym na nocnej szafce, książkom na etażerze i pluszowemu misiowi na łóżku, który wsunął się śpiącemu Danielowi pod ramię i łaskotał go w policzek.

Bambi wzięła prysznic, włożyła czerwony szlafrok frotté; ten szlafrok i prześcieradło kąpielowe kupowała z mamą.

Szum wody obudził Daniela. Siadł na łóżku, potargany, ostentacyjnie nie patrząc w jej stronę.

— Niech pan też weźmie prysznic. Pewnie jest pan brudny jak grzebień, którym czeszą w Armii Zbawienia. Nie życzę sobie tutaj pcheł. No, a ja tymczasem będę mogła się ubrać.

Ubierając się, zerknęła na jego sylwetkę, rysującą się przez zasłonki. Wydał jej się strasznie wychudzony. Zadawała sobie pytanie, co ma z nim dalej począć.

— Jak mam wyjść spod tego prysznicza?

Podala mu swój szlafrok i wyszedł z mokrymi jak i ona włosami, rękawy sięgały mu zaledwie do łokci, a na ramionach szlafrok omal nie pękał w szwach. Miał nieszczęśliwą minę. Bambi była jeszcze w samej bieliźnie, szukała właśnie pończoch. I to ten moment uznał za najodpowiedniejszy, by powiedzieć:

— Tam w przedziale widziałem jakąś kobietę, nie żyła.

**Gdyby** od razu poszli na policję — myślała teraz Bambi — wszystko byłoby w porządku. Nie straciłaby jutro posady, mogłaby napisać do mamy, że pierwsze dni minęły pomyślnie.

Na placu du Chatelet był neon, jakiś pomnik, jakiś most. Poszła prosto przed siebie, myśląc: „Minął już Dijon, potrafi co prawda zmienić zdanie i przesiąść się do pociągu jadącego w przeciwnym kierunku. Znakomicie mogę sobie wyobrazić, że zastuka do mnie o drugiej w nocy”.

Po Danielu można się spodziewać wszystkiego.

**W** sobotę wyszli z pokoju o godzinie pierwszej w południe. Przedtem długo dyskutowali po cichu, siedząc obok siebie na łóżku, niby współnicy przestępstwa, bo ani jedno, ani drugie nie potrafiło o takiej strasznej sprawie mówić głośno.

— Pani siedziała na ławce, a ja pobiegłem do pociągu. Zapomniałem, którym wagonem jechaliśmy. W końcu go znalazłem. Byłem już w korytarzu, gdy usłyszałem głosy. To było w naszym przedziale, więc zaczekałem w sąsiednim. Rozmawiali mężczyźni. Właściwie mówił jeden z nich, wydawał rozkazy. Drugi był jakby chory. Pokasływał tak dziwnie. Z czymś mi się to skojarzyło już później, w taksówce... Wtedy jednak nie zwróciłem na to specjalnej uwagi. Nie miałem powodu, żeby podsłuchiwać, co oni mówią. Czekałem tylko, kiedy wreszcie sobie pójda. Bałem się, że to kontrolerzy i zażądają okazania biletu. W każdym razie bałem się, było coś takiego w ich głosach, chociaż nie rozumiałem słów... Byli tam ze dwie minuty, może trochę dłużej. Słyszałem, jak odsuwają drzwi, a potem je zasuwają. Poszli. Nie przechodzili koło mnie, poszli w przeciwnym kierunku, do wyjścia na peron. Odczeka-

lem, żeby wysiedli, a potem poszedłem zabrać walizkę. Ta brunetka leżała na dolnej kuszecie, po lewej, na wznak, skurczona. Nigdy nie widziałem trupa, ale może mi pani wierzyć: ona nie żyła. Złapałem walizkę i czym prędzej wyszedłem, zasuważąc drzwi. Nie przypuszczam, aby ktoś widział, jak wysiadałem. W pociągu nie było już nikogo. Pani czekała na mnie na ławce.

Powtarzał te same zdania, niemal te same słowa po dziesięć razy. Nie mógł się otrząsnąć z wrażenia. Cała historia wydała się Bambi najpierw idiotyczna, potem ogarnął ją niepokój o chłopca, zaczęła wraz z nim roztrząsać sprawę. Po czym znowu uznała wszystko za bzdurę.

W trakcie rozmowy, ponieważ był bardzo zdenerwowany i wyglądał śmiesznie w tym szlafroku frotté, zaczęła zwracać się do niego per „ty”.

— Mówisz, że z czymś ci się skojarzył kaszel tego chorego. Z czym?

— Z jednym facetem, wczoraj wieczór, jak wyjeżdżaliśmy z Marsylii. Siedziałem na korytarzu, blisko toalety. Był w następnym wagonie, w kącie korytarza, i widziałem go przez harmonijkę łączącą wagony. Kaszłał bez przerwy, jakby go drapało w gardle. Od czasu do czasu patrzył na mnie. Był w szarym palcie, miał torbę, taką plażową, niebieską, z wydrukowanym herbem Prowansji. Taki sam herb mam na kieszeni blezera. Rano był w naszym korytarzu. Poznałbym go: blady, bardzo chudy, wygląda na chorego.

Bébé ubrał się, odwrócony plecami do Bambi, która jednak zdążyła dostrzec z przerażeniem jego podarte skarpetki, slipy, raczej szare niż białe, i ciemną smugę na kołnierzyku koszuli.

— Nie masz czystej bielizny?

— Wie pani, w tym tygodniu nie miałem czasu na pranie. A w ogóle to nie bardzo umiem. Nie mogłaby się pani odwrócić?

Nie pytając o pozwolenie, przetrząsnęła jego walizkę. Na widok futerału ze srebrnymi sztućcami, pośród brudnej bielizny, pomyślała: „Tak nie może być, muszę przemówić mu do rozsądku, niech napisze do rodziców, niech wraca do domu”.

— Możesz zmienić garnitur, masz tu przecież drugi.

— Jest cały poplamiony smarem.

W czasie swej wędrówki wpadł do kanału w jakimś garażu: chciał zobaczyć od spodu mechanizm ciężarówki, która miała podrzucić go do Marsylii.

— Nie zauważyłem, że był tam jeszcze jeden schodek.

Bambi, sama nie wiedząc dlaczego, nie miała odwagi włożyć innej sukienki, ubrała się w tę, w której przyjechała.

Na ulicy było jej nawet nieco chłodno. Szli długo. Około drugiej wstąpili do restauracji. W pustej sali, obserwowani przez dwie kelnerki, znów zaczęli rozmawiać o tamtym. Bambi chciała iść na policję, zeznać od razu, co widzieli. A jednocześnie nie chciała ze względu na mamę i na tego uciekiniera Daniela, on także nie chciał, bo w gruncie rzeczy chodziło tu na pewno o jakieś porachunki i nie powinni się do tego wtrącać.

Restauracja była przytulna, z zasłonkami w kratkę i bretońskimi talerzami. Bébé zamówił porcję ślimaków, pytając Bambi, czy to nie będzie zbyt drogie, i wypił prawie sam pół butelki czerwonego wina z Bandol w departamencie Var. Nie był przyzwyczajony do picia, a ponieważ ciągle mówił, więc mało jadł — pod koniec obiadu był trochę podniecony.

Pałił papierosy Bambi, policzki mu się zaróżowiły, z czym wyglądał ładnie, oczy zrobiły się zupełnie, zupełnie maleńkie. Wciąż się zastanawiała, co powinna z nim zrobić.

Znowu szli w stronę ulicy du Bac. Po drodze kupiła w trafice paczkę gitanów (nie lubiła ich, ale Bébé mówił, że woli je od amerykańskich) i właśnie wyjmując papierosa, powiedział nagle: „Ajednak zobaczę, mam pewien pomysł”. Zostawił ją tam, na bulwarze Saint-Germain, pędem przebiegając jezdnię między dwoma strumieniami pojazdów. Z przeciwległego chodnika krzyknął, że przyjdzie wieczorem, aby zabrać walizkę. Patrzyli na siebie przez szerokość jezdni. Myślała: „Zrobi jeszcze większe głupstwo. Skoro to zaczęłam, należało ciągnąć, nie powinnam pozwolić mu odejść”. Ale on już odszedł.

Na Vert-Galant, pod pomnikiem Henryka IV, Bambi przystanęła, żeby z kieszeni paltà wyciągnąć jeszcze jeden cukierek. Para zakochanych całowała się w ciemnościach przed kratą ogrodu, nad brzegiem rzeki. Ten cukierek miał smak pomarańczowy.

Idąc wzdłuż Sekwany, w kierunku Tuileries, trafi na ulicę du Bac. Rozbierze się po ciemku, bo widok pokoju mógłby przywołać wspomnienia z dnia wczorajszego, przykryje sobie głowę jaśkiem, poszepcze sama do siebie, żeby zasnąć.

Wciąż widziała Daniela sprzed dwóch czy trzech godzin, stojącego w drzwiach wagonu. Dlaczego nie był już tym głuptasem z poprzedniego wieczoru? Dlaczego rzeczy zmieniają się z dnia na dzień tak gwałtownie, że człowiek nie poznaje samego siebie?

Zobaczyła go na pięć minut przed odjazdem pociągu, jak biegł wzdłuż peronu, z walizką w jednym ręku, z ortalionem w drugim, z oczami rozszerzonymi i ciemniejszymi niż zwykle, ze ściągniętą, postarzałą ze zmęczenia twarzą. .

Zdobyła się na odwagę, by czekając na niego, kupie mu bilet, wieczorne wydanie gazety, torebkę cukierków, upewniła się, czy jest wagon restauracyjny, a gdy Bébé już był przy niej, nie próbowała go zatrzymać.

— Wyszłaś z biura?

— Tak.

— Jesteś szurnięta.

— Jakie to ma znaczenie?

— Jesteś szurnięta.

— To przez ciebie.

Natychmiast tych słów pożałowała. To było podłe, sprawiła mu przykrość. Nie chciał cukierków.

— Zdaje mi się, że zrozumiałem.

— Co?

— To wszystko. Teraz zabiją pewnie jeszcze kogoś. Zdaje mi się, że zrozumiałem.

— Kogo zabiją?

— Nie wiem. Muszę wrócić do domu, pogadać z tatą. On ma wprawę w takich sprawach. Komisarze policji nieraz bywają u nas na obiedzie. Nie będziemy mieli żadnych kłopotów.

Pocałował ją czule jak zeszłej nocy.

Miała pewnie głupią minę, stojąc tak z tymi cukierkami w ręku, których nie chciał wziąć, z perspektywą owych kłopotów, na które przystałaby, skacząc z radości. Przygotowała sobie zdanie, jakie zamierzała mu powiedzieć, bo czekając na niego, sto razy przeżywała scenę pożegnania. W końcu nic sobie nie powiedzieli. Był zmęczony, zmartwiony z powodu Bambi i z powodu siebie, myślał o tej głupiej historii. Taki chłopiec. Patrzy na ciebie i myśli całkiem o czymś innym, a poz-

niej, już w pociągu, usiłuje sobie nagle uświadomić, czy przypadkiem nie zapomniał cię pocałować, i jest strasznie nieszczęśliwy.

Dopiero w ostatniej chwili, zdając sobie sprawę, że pociąg już rusza, zobaczył ją tak naprawdę, stojącą w niebieskim paltociku na peronie, znikającym mu powoli sprzed oczu, może była potargana, może okropnie wyglądała, z paczką nieszczęsnych cukierków w jednej ręce z dwoma tysiącami starych franków w drugiej, wyciągniętej ku niemu' i jedyne, co potrafił powiedzieć, to:

— Cholera jasna, nie zostawiaj mnie tak.

— Przecież to nie ja cię zostawiam.

Biegła wzdłuż pociągu. Chwycił banknoty, potrząsnął nimi gwałtownie, niby chusteczką.

— A tobie jeszcze zostało?

Czuła ogarniające ją szaleństwo, i to na dobre, biegła po peronie czekała na jedno słowo, wszystko jedno jakie, które mogłaby rozpamiętywać bez końca, żeby móc dalej żyć, ale on powiedział tylko:

— Oddam ci wszystko!

Wreszcie, ponieważ wagony biegły szybciej niż ona, a on wychylał się niezgrabnie z okna i łatwo mógł przecież wypaść, i ponieważ to było niesprawiedliwe, zawołała:

— Daniel!

— Zostawiłem ci wiadomość w pokoju. Naprawdę!

On też krzyczał. A potem dwa banknoty po 10 franków, z daleka z bardzo już daleka stały się podobne do chusteczki, tłum ludzi popychał ją ku wyjściu, deszcz przestał padać. Znowu znalazła się na ulicy, przed wejściem na dworzec, ze smakiem pocałunku na wargach z poziomkowym cukierkiem w ustach, puste pudełko zapalek wyrzuciła na brzeg chodnika.

W sobotę Sandrine przyszła o godzinie szóstej po południu. Czekwały razem na Daniela, rozmawiając o biurze, Awinionie, Nantes Sandrine też była blondynką, tylko szczuplejszą. Powiedziała, że Bambi jest pulchna jak Dany Robin. Przypomina Dany Robin w młodości. Uważała, że Bambi jest bardzo ładna.

W końcu, znudzone oczekiwaniem, zostawiły kartkę w drzwiach. Obie poszły do Sandrine.

Jej pokój był większy. Miał malutki przedpokoik oraz prawdziwą kuchenkę. Sandrine położyła już na stole trzy nakrycia, bo była pewna, że Bébé też przyjdzie. Przygotowała rostbef z zielonym groszkiem.

— Czy on to lubi?

— Nie wiem. To bardzo daleki kuzyn. Znam go nie lepiej niż panią.

Daniel zjawił się około dziesiątej wieczorem, właśnie gdy kończyły kolację. Zachowywał się, jakby spadł z księżyca: na powitanie ucałował je obie w policzek, niby grzeczny chłopczyk, który przyszedł z wizytą.

Prawie nic nie jadł, nie odzywał się ani słowem. Wychodząc, przyznał się Bambi, że zjadł stek w restauracji koło Gare de l'Est.

— Miałeś pieniądze?

— Wziąłem dziesięć franków z pani torebki, dziś rano, jak pani się myła.

Teraz Bambi nie mogła wydobyć z siebie ani słowa do samej ulicy du Bac. W bramie powiedział szybko, patrząc w ziemię, że nie powinna mieć mu tego za złe, sam już nie wie, co robić. Powtarzał: „To straszne”.

— Co jest straszne? Napisać do taty i mamy, że przepraszasz? Postępujesz jak małe dziecko.

Bambi podobały się jej własne słowa. Poczowała się dorosła, dojrzała, opiekuńcza. Nigdy by nie przypuszczała, że potrafi być taka dorosła i dojrzała.

Była godzina jedenasta. W całej kamienicy panowała cisza, tylko w rurze centralnego ogrzewania coś grało. Bambi zdjęła wierzchni materac z łóżka, zasłała go złożonym we dwoje prześcieradłem, drugie zostawiła na łóżku. Nie patrzyła na Daniela. On nie patrzył na nią. A ponieważ był jedynakiem i odznaczał się większą wstydlivością niż młody kleryk — poszedł rozebrać się za zasłonkę od prysznic.

Wrócił — w pasiastej piżamie, z dużym monogramem DS (Daniel Cravero), wyhaftowanym na górnej kieszeni — machając rękoma, przyglądając się Bambi wzrokiem potulnym i nieufnym. Bambi, w białej halce, boso, zauważyła, że bez wysokich obcasów jest niższa od niego.

Wyciągnął się na materacu, w drugim kącie pokoju, z rękoma pod głową, wdychając. Zgasła światło, żeby włożyć nocną koszulę. Czowała się nieswojo, ale raczej była zła niż zawstydzona.

Po ciemku, gdy już leżała, powiedział, że nie jego historia jest straszna, lecz ta historia z pociągu. Gdyby się nie gniewała o te dziesięć franków, które i tak odda, pokazałby jej gazetę.

Zapaliła więc znowu światło, przeczytała wiadomość.

— Oni panią znajdą.

— E, ludzi o tym nazwisku jest na pęczki.

— To straszniejsze, niż się wydaje.

Powiedział, że kiedy opuszczał ją po obiedzie, myślał, iż jakiś policjant zatrzymał mordercę w przedziale, wieczorem jednak zrozumiał, że coś się tutaj nie zgadza.

— Więc kto jest mordercą?

— Ten chory mężczyzna. Takie miałem wrażenie, gdy o tym rozmyślałem. Byłem tego pewien, może to wino, ale tego byłem pewien. Jakiś policjant nadszedł niespodziewanie, nie wiem skąd ani po co, i nakrył tamtego w przedziale. Ale teraz już nic nie rozumiem.

— Idiotyczna historia.

Im bardziej to było idiotyczne, tym bardziej stawało się prawdopodobne, gdy Bébé był tutaj.

„Rozmawialiśmy z dobrą godzinę — myślała Bambi, idąc ulicą du Bac — zjadł stek, czekając na tego Cabourga, buchnął mi 10 franków z torebki". Myślał o „Progine"; zatelefonować do „Progine", śledzić Cabourga, który pokłócił się z brunetką. Był przebiegły i zaradny. W trakcie mówienia zasnął. Na tym materacu, na podłodze. Rano wspólnie zasłali łóżko. To było wczoraj, w niedzielę.

— Dokąd pani dzisiaj pójdzie?

Pomagał jej, jak mógł, przy porządkowaniu łóżka. Włożyła czarną dopasowaną sukienkę, w czarnym było jej do twarzy.

— Nigdzie. Sprzątnę pokój i wypiorę swoje rzeczy. A ty napiszesz do rodziców...

Widziała już ich oboje, siebie samą i Daniela, spokojnych, nie myślących o tej historii, o której nigdy już nie usłyszą — on pisze list, ona obszyje zasłonki kupione poprzedniego dnia w domu towarowym, wzruszające pożegnanie, życzenia noworoczne, jakie od niego później otrzyma — aż do czasu, który nadejdzie wkrótce, kiedy ta niedziela będzie dla nich czymś dalekim, zapomnianym.



Ale wszystko ułożyło się inaczej. Ona nie obrębiała zasłonek. On nie napisał listu. Przesiadali się z taksówki do taksówki, jeździli z Quai des Orfèvres do Trocadéro, od Clichy na pole wyścigowe w Vincennes, tropiąc to, co sobie ubzdurał Bébédetektyw w wymiętym tweedowym garniturku.

Zdążyła jednak rano przeprać mu bieliznę. Gdy wrócili wieczorem, wszystko było już suche, wisiało w poprzek pokoju, dwie męskie koszule ze spuszczoneymi rękawami i sweter obok damskich koronkowych majteczek. Ucisk w sercu: „Nie będę już mogła zostać w tym pokoju .

Koło południa, gdy byli właśnie na tropie bruneta (był bowiem brunet i inspektor-blondyn, a Daniel nie wydawał się wcale młodszy od nich), znaleźli się oboje na schodach jakiegoś domu przy ulicy Duperre i stojąc tuż obok siebie, nie mogli ani drgnąć, ani głośniejsz odetchnąć, żeby nie zdradzić swojej obecności. Usta Daniela były tak blisko jej twarzy że w końcu Bambi nie mogła myśleć o niczym innym. Dotychczas całowała się tylko z dwoma chłopakami: z kuzynkiem, gdy miała lat trzynaście, przez ciekawość, jak to jest, i z kolegą szkolnym podczas tańca na prywatce, bo trochę wypila, a chłopak był natarczywy. Daniel miał teraz inne kłopoty, stojąc tak przytulony do niej i obejmując ją ramieniem. Właśnie wtedy podarł jej drugą parę pończoch. Wieczorem, po tych nie kończących się jazdach z jednego końca Paryża na drugi, zjedli wreszcie obiad w hałaśliwej restauracji na bulwarach Bambi opowiadała o Awinionie. Nie chciała już słuchać tamtej historii. Gdy wracali piechotą, wzięła Daniela za rękę i trzymała ją w swojej aż do ulicy du Bac.

— Przykro mi, że podarłem pani pończochy — powiedział, kiedy wchodzili na górę. Nie odwrócił się, gdy je zdejmowała. Sama nie wiedziała, co odczuwa: zmęczenie, niejasne pragnienie, by jego usta były znowu tak blisko Patrzyli na siebie, w tym pokoju, przez długą chwilę, bez słowa, ona z pończochami w rękę, boso, w czarnej sukience, on - w ortalionie. A potem ona powiedziała coś głupiego, czego później żałowała, cos w rodzaju: dlaczego tak na mnie patrzysz?

Nic nie odpowiedział. Zapytał, czy mógłby jednak zostać? Chciała powiedzieć: dlaczego Jednak"? Nie mogła.

Siedział bez ruchu na łóżku, naprzeciw niej, w ortalionie, a potem ona zrobiła sama z sobą taką małą umowę - pomyślała: „Jesh jutro

pójdę do więzienia, jeśli on też pójdzie, mama będzie miała jeszcze więcej powodów do omdlenia. Pocałuję go, i niech się dzieje, co chce".

Pochyliła się ku niemu, bosa, w czarnej sukience, i pocałowała go w usta leciutko, myśląc: „Niech się dzieje, co chce, niech się dzieje, co chce, niech się dzieje, co chce".

Nie wykonał żadnego z tych gestów, których oczekiwała. Nagle spuścił głowę, objął ramionami jej kolana i tak pozostał, z twarzą przytuloną do sukni, nieruchomy, milczący, mały chłopiec.

Tego wieczoru, jak przedwczoraj, w sobotę, i jak wczoraj, w niedzielę, Bambi trafiła do domu przy ulicy du Bac dzięki czerwonej marchewce, szyldowi sąsiedniego baru. Marchewka była oświetlona, czerwieniła się wśród czerwonych świateł samochodów. Na drugim piętrze Bambi musiała ponownie nacisnąć guzik, bo światło zgasło. Znowu usłyszała granie w rurach centralnego, widocznie źle funkcjonowało. Wchodziła na schody powoli, krok za krokiem, myśląc: „Milczący, nieruchomy, mały chłopiec"... a potem, nie podnosząc głowy, przesunął wyżej ręce, te duże ręce, na które patrzyła w restauracji przed godziną, jakby już wtedy wiedziała...

Trzecią parę pończoch rozdarł jej nazajutrz rano — dziś rano! — przewracając na łóżko, już na wpół ubraną. Powiedział: „Cholera, to chyba jakieś fatum" — Bambi zaś udawała, że się gniewa, ale pragnęła, by znowu był taki czuły jak w nocy, rano bowiem był zupełnie inny niż noc, ponieważ z trudem rozpoznawała siebie i Daniela. Tb, co się działo w nocy, było jednak prawdą — ta sama gładkość skóry, ten sam łagodny dotyk warg — noc nie była snem.

Czwarte piętro. Jeszcze jedno. Światło, jak i centralne ogrzewanie, było pewnie zepsute. Wyciągnęła rękę, szukała kontaktu, macając po ciemku. „Szukałam po ciemku jego ust, leżałam całą noc w jego ramionach, mój Daniel, mój Dany, mój ukochany, tym gorzej dla mamy, tym gorzej dla mnie... no, nareszcie jest światło".

Co on zrozumiał? Czego jej nie dopowiedział na peronie dworca? W południe wsiadła do taksówki, by wrócić jak najprędzej z biura, trochę nieprzytomna od niewyspania i stukotu maszyn, z wargami jeszcze nabrzmiałymi, powtarzała sobie przez cały rano; „Wszyscy poznają po mojej twarzy, co mi się przydarzyło tej nocy". Zastała go w tej samej restauracji, co pierwszego dnia, przy bretońskich talerzach; by-

ło tłoczno, patrzyli na siebie, niezdolni wymówić ani słowa. Nie opowiadał już o swych poszukiwaniach po Paryżu.

Bambi zatrzymała się na podeście piętra, gdzie były pokoje służbowe. „Położę się po ciemku — rzekła sobie — tę kartkę, którą mi zostawił, przeczytam jutro rano, nie teraz; chociaż, owszem, chcę ją przeczytać. W południe, to okropne, nie potrafiliśmy o niczym mówić. Chciałam zjeść jak najszybciej, żeby na chwilę bodaj wrócić do pokoju, i on to zrozumiał. Plotłam same głupstwa przytulona do jego twarzy, rozbierał mnie, delikatnie, jak w nocy. *Mój Boże, on naprawdę wrócił, to Daniel, jest tam.*

Widziała światło w szparze pod drzwiami swego pokoju. Myślała, że się myli. Ale nie, to na pewno jej drzwi. *A więc zmienił kierunek, wrócił.*

Szła ku drzwiom przez cały korytarz, po omacku, bo automat znów przestał działać; w zupełnej ciemności odcinała się wyraźnie jasna szpara nad podłogą i dziurka od klucza, niby czyjeś świecące oko. „To niemożliwe — pomyślała — nie mógł nigdzie wysiąść, żeby złapać pociąg do Paryża, można by powiedzieć, że tylko to świecące oko na mnie czeka”. Niemal zderzyła się z drzwiami, rozwarła je szeroko i weszła.

Po rewolwerowym strzale został w pokoju gryzący zapach dymu. Sandrine leżała na łóżku — przerażająco bezwładne nogi, ciało jak gdyby z wosku. Padając, pociągnęła za sobą taboret, dłoń zaciskała kurczowo na rypsowej narzucie, czerwonej jak ta straszliwa plama, która była jej twarzą.

Na nocnej szafce, tuż koło listu Daniela — złożonej we czworo kartki papieru — czarna lakierowana torebka Bambi odbijała światło lampy pod sufitem, okrągłe, żółte, oślepiające.

Znacznie później — upłynęło może dwie, może trzy godziny... straciła poczucie czasu — w obcym hotelowym pokoju z jasnymi meblami, na jakiejś ulicy niedaleko placu Inwalidów, Bambi stała w swoim niebieskim paltociku przy oknie, z czołem opartym o szybę; deszcz celował prosto w jej twarz, ale jej twarz była sucha.

W prawej dłoni trzymała jeszcze kartkę Daniela — nieczytelne, zmięte, zgniecione „kocham cię” — zwykłą papierową kulkę, którą tuliła do ust, gryzła zębami.

Czepiała się z rozpaczą owego „kocham cię”, byle tylko nie myśleć o Sandnne, która weszła do nie zamkniętego pokoju, żeby jej odnieść torebkę; byle nie myśleć o tej strasznej plamie, która była twarzą Sandnne; byle nie myśleć: „Wzięto ją za mnie, to ja powinnam tak leżeć, z ręką zaciśniętą na narzucie. Jutro pójde na policję Kocham cię, nie mogę się doczekać, kiedy już będziesz w Nicei żeby juz nic złego nie mogli ci zrobić, nie myślę o niczym innym, kocham cię i to wszystko”.

Evelyne Berthe Jacqueline Garaudy, z domu Laverte, lat dwadzieścia siedem, przystojna, zgrabna, włosy długie, czarne, wzrost 160 cm; cechy szczególne: skryta, kłamliwa, uparta, wyzywająca. Wielkie, błękitne, przerażone oczy utkwiała w różowej kartce, którą Mallet oderwał właśnie od framugi okna i podał jej przez stół: „Cena nieboszczyka” znowu spadła o 350 franków po znalezieniu zwłok dziewczyny z Awi-nionu.

— Pięć ofiar, to dla pani jeszcze mało?

— Pan oszalał! To ohydne!

I znowu rozplakała się, zasłaniając twarz ładnymi rękoma; była w zamszowym płaszczu, nie nowym, ale jeszcze bardzo eleganckim.

— Nie powiedziała pani jeszcze słowa prawdy.

— Ja nie kłamię!

— Tak wielką ma pani ochotę zostać szóstą ofiarą?

— Co pan chce, żebym powiedziała? Nic nie wiem.

— W tym przedziale jechało sześć osób. Pozostała już tylko pani. Tamte też nic nie wiedziały. Zastrzelono je właśnie dlatego, że nic nie wiedziały, zgoda. W takim razie niech mi pani powie to, czego pani nie wie!

Z uporem kręciła głową. Mallet miał w obu dłoniach różową kartkę i wreszcie wrzucił ją do stojącego obok kosza na śmieci.

— No, powodzenia — rzekł Grazzi — ciągnij to dalej.

Wyszedł z gabinetu, czując ucisk w żołądku. Zmęczenie albo odraza.

**Jak** tam z nią? — spytał Tarquin.

— Jeszcze z godzinę, ze dwie i chyba przed południem zaczniesz gadać.

Grazzi z notesem w ręku usadowił się w fotelu przed biurkiem szefa i założył nogę na nogę.

Poranne gazety donosiły o zamordowaniu Cabourga, Eliane Darrès i Rivolaniego. Jadąc autobusem numer 38, Grazzi zauważył, że gdy mijali filię „Proginę”, w której pracował Cabourg, pasażerowie z zaciekawieniem wyglądali przez okna.

— Informacje napływają ze wszystkich stron — powiedział po chwili. — Jeszcze dwa dni temu mogłyby naprowadzić na jakiś ślad. Ale teraz...

— Co nowego?

— Przede wszystkim „Proginę”. W sobotę wieczorem dzwonił ktoś do biur centrali, pytając o adres Cabourga. Głos mężczyzny. Podał się za agenta, który przygotowuje listę gwiazdkowych upominków dla swoich klientów. Możliwe zresztą. Ale również możliwe, że w taki sposób nasz spryciarz odszukał tego biedaka.

Grazzi postawił ptaszka przy zapisie w swoim notesie.

— Następnie Rivolani: miał długi.

— Ja też — wtrącił Tarquin.

— Eliane Darrès: w trakcie rewizji znaleziono u niej wyciąg z konta bankowego, ale brak książeczki czekowej.

— No to co? Pewnie jej się skończyła i nie zdążyła wziąć drugiej. Też problem!

— Mnie to jednak niepokoi. Jestem przekonany, że widziałem tę książeczkę.

— Gdzie?

— U niej, gdy wyjmowałem z jej rąk torebkę, w windzie. Położyłem ją chyba na jakimś meblu w pokoju.

— Nie pierwszy raz gubi się coś w Policji Śledczej. Uważni to oni nie są. Tak czy owak trzeba zatelefonować do banku.

— Już zrobione. Jean-Loup mówi, że miała dwa czy trzy tysiące franków na koncie i nic nie zostało ruszone.

— No to daj mi święty spokój ze swoimi pomysłami. Tylko gmatwasz nam wszystko. W każdym razie mamy ślad.

Trzy kwadranse wcześniej, punktualnie o godzinie 10.00, zatelefonowano z Marsylii: żadnych śladów Rogera Tramoniego w Alpach Nadmorskich. Hotel, w którym kelner zatrzymywał się

rokrocznie podczas urlopu, znajduje się w Puget-Théniers. Przetrzęsnięto wszystkie pensjonaty tego typu w całym departamencie.

Rysopis Tramoniego przekazano do Sûreté National: wzrost średni, wygląd chorowity, lat trzydzieści siedem, szczupły, szatyn, włosy gęste. Rysopis zgadzał się z rysopisem człowieka, który — jak przewidywał Tarquin — podjął 7 tysięcy franków z kasy Loterii Państwowej przy ulicy Croix-des-Petits-Champs.

— I ani śladu po nich — rzekł Grazzi.

Poprzedniego dnia, około godziny 17, otrzymano numery tych nowych banknotów. O 19.00 powinni byli przystąpić do wyłapywania ich według powielonych wykazów. Czternaście pięćsetfrankówek.

— W najlepszym razie nie usłyszymy o nich wcześniej niż za dzień lub dwa — powiedział Tarquin. — To wariat. Możliwe, że jeszcze w ogóle ich nie wydał.

— Zawiadomiono matkę małej Bombat, żeby przyjechała rozpoznać zwłoki. W biurze pracowała dopiero od wczoraj i tam nikt nie chce się tego podjąć. Za mało ją jeszcze znano. Co prawda, w tym stanie, w jakim zostawił ją ten bandzior, rodzona matka może jej nie poznać...

— Dalej, Grazzi.

— Wybiegła z biura około czwartej, jak oszalała, nikt nie umie wyjaśnić dlaczego. Zresztą, jeśli chodzi o tę małą, to niestety nic nie wiemy. Ani przyjaciół, ani znajomych, nikogo, z kim by ją można powiązać w Paryżu. Nie miała przy sobie żadnych dokumentów, zupełnie jak Cabourg. Tylko fotografie w swoim pokoju. Znalaziono ją tam o dziesiątej wieczorem. Gabert wpadł wreszcie na jej trop dzięki kierowcy taksówki, na jakiś kwadrans przedtem. Zabito ją o dwudziestą drugą, może o dwudziestą drugą piętnaście. Z taksówki wysiadła godzinę wcześniej. Kierowca zapamiętał jej płaszcz. Mówi też, że była bardzo ładna. Zawiózł ją na ulicę du Bac, razem z młodym chłopakiem. O nim też absolutnie nic nie wiadomo.

— Co jeszcze?

— Nic. Drobiazgi bez znaczenia. Właściciele baru w Marsylii mówią, że Roger Tramoni należał do tych namiętnych graczy, którzy sami nigdy nie grają. Notował numery sprzedawanych losów, gdy na któryś padło dziesięć tysięcy franków, mawiał zwykle: „To ja mogłem mieć tę forszę, przeszła przez moje ręce”.

Grazzi zamknął notes, dodając, że takie typy określa się specjalną nazwą.

— Wiem — rzekł komisarz — to masochiści.

Tego ranka on sam miał udręczoną twarz masochisty. Grazzi wstał, powiedział: „No, dobra, jak tylko go złapiemy, sam się nim zajmę” — a ponieważ Tarquin nic na to nie odpowiedział, Grazzi ośmielił się w końcu zapytać, co tak mu dolega, wątroba czy co innego?

— Ta pukawka — odrzekł Tarquin. — Uduszenie w pociągu i kaliber 45 o nacinanych kulach to nie pasuje do siebie. I jeszcze coś: jak on to robi, że prędzej od nas znajduje ludzi, którzy mogliby mu zawadzać?

We wtorek, o godzinie 11.30 zwycięstwo narodziło się na korytarzu, wpadło do pokoju inspektorów, po wewnętrznej linii telefonicznej pomknęło do komisarza, stamtąd do komisarza naczelnego i wreszcie dowiedział się o nim sam sędzia śledczy Frégard. Zwycięstwu nie towarzyszyły okrzyki triumfu, hałaśliwy śmiech czy wybuchy radości, jak to bywa zazwyczaj, co okazało się bardzo dla wszystkich dogodne, albowiem, dokładnie w osiemnaście minut później, czyli o 11.48, po zwycięstwie zostało tylko gorzkie wspomnienie, którego każdy wolałby się szybko pozbyć. Tarquin, człowiek myślący logicznie — zbrodnia dla niego to: zbrodniarz, ofiara i świadkowie — przestał w ogóle cokolwiek rozumieć w tej całej sprawie.

O 11.20 obaj kontrolerzy z pociągu „Phocean” oświadczyli, że przypominają sobie pasażera podobnego z opisu do Rogera Tramoniego. Widzieli go na korytarzu wagonu.

O 11.30 kasjerzy z ulicy Croix-des-Petits-Champs formalnie rozpoznali kelnera na fotogramie, który im pokazał Jouy. Złapano ślad. Był w Paryżu. Należało jeszcze przeszukać hotele, posprawdzać nazwiska — zwykła, rutyniarska robota.

— Z powodu tej małej nie mógł wyjechać z Paryża wczoraj przed dziesiątą czy jedenastą wieczorem. Ale mamy przecież panią Garaudy. Na pewno jest nie mniej ważna od tamtych. Na pewno będzie chciał i ją załatwić. Więc musi być jeszcze w Paryżu.

Tak zapewne rozumowali wszyscy, może oprócz Tarquina, który wciąż myślał o rewolwerze, i oprócz Jean-Loupa, który — pochłonięty



swoją układanką — nieuważnie przesłuchiwał raz jeszcze żonę elektronika.

O 11.40 zatelefonowano z biur Zarządu Wyścigów. Czternaście nowych banknotów znalazło się w kasach w Vincennes po niedzielnych gonitwach.

— Sprytnie jak na wariata — powiedział Tarquin. — Mógł je wymienić po jednym, w różnych sklepach, ale to zwraca uwagę, czterna-stokrotnie zwiększa ryzyko. Natomiast koniki to zupełnie coś innego! Nie trzeba wiele wydać, by rozmiąć pięćsetkę. Jeśli jest sknera, to zrobił czternaście zakładów za pięćset franków. Dziesięć biegów po południu, dziesięć czynnych okienek, czyli mógł poprzestać na chodzeniu od jednego do drugiego. No, a ludzi tam tyle, że nikt na niego nie zwraca uwagi.

Istotnie, kasjerzy z okienek nie zauważyli opisywanego mężczyzny. Mallet zgniótł w dłoni wykaz numerów nowych banknotów i cisnął do kosza na śmieci.

— Jeśli ten skurwysyn miał szczęście, to mógł nawet coś wygrać. W tej chwili do gabinetu wszedł Pardi, krokiem trochę nieśmiałym, z płaszczem z wielbłądziej wełny na ręku. Była godzina 11.46.

— Znalazłem go — powiedział z ponurą, jak zwykle, kamienną twarzą.

— Tramoniego?

— We własnej osobie.

— Gdzie?

— W Sekwanie. Wyłowiono go wczoraj po południu. Dorwałem go, jak i Cabourga, w wydziale Boileau. Boileau zaczyna mieć tego po dziurki w nosie. Mówi, że to mu psuje reputację.

Grazzi wciąż jeszcze uśmiechał się kącikami warg. Zabawne: czuł niemal fizycznie, jak ten jego uśmiech zmienia się powoli, przeobraża i wykrzywia mu usta w głupkowaty, żaloszny grymas.

— Zwariowałeś czy co? — zawołał Tarquin.

— Bynajmniej — odparł Tino Rossi. — Leży na stole sekcyjnym. Właśnie stamtąd wracam, nie ma wątpliwości. Dziura w głowie, jak u tamtych.

— Kiedy? — wrzasnął Tarquin.

— Niech pan tak nie krzyczy. Robiliśmy, co się dało, wyłaziliśmy ze skóry, może pan wierzyć. Zginął w sobotę, zaraz po południu. Do Se-

kwany wrzucono go w sobotę wieczorem, z bulwaru Râpée. Jakaś mała dziewczynka zobaczyła, jak wypływa na powierzchnię.

Punktualnie o 11.48 — Tarquin ledwie miał czas zapalić papierosa półleżąc na krześle, jak bokser po solidnej porcji ciosów, a Grazzi zastanawiał się jeszcze, czy to nie pomyłka, nie zbieg okoliczności lub dowcip Pardiego — do gabinetu wszedł z kolei Alloyau z Gabertem, który trzymał w dłoni swoją nieodłączną zabawkę.

— Zmiękła. Przepraszam, panie komisarzu, ale ja się tylko na nią zamierzyłem. Przysięgam, że jej nie tknąłem.

Tarquin nie wiedział już nawet, o kim mowa.

— Garaudy, kapujecie? — powiedział Alloyau. — Garaudy nie jechała tym pociągiem.

— Jak to?

— Tak. Wykupiła miejscówkę, ale nie pojechała. Wybrała pociąg wcześniejszy, w południe. Z powodu jakiegoś gacha. Jak się na nią patrzy, można uwierzyć. W piątek jej mąż tyrał cały dzień, wyjechała więc w południe zamiast wieczorem. W Paryżu spotkała się z gachem, ten też jest elektronikiem. Mam jego adres. Spędziła noc u niego, przy ulicy Gay-Lussac. W sobotę rano odprowadził ją na dworzec. Wykupiła peronówkę. Wyszła w tłumie pasażerów z pociągu marsylskiego, świeżutka jak różyczka, żeby uściskać teściową, która na nią czekała.

Alloyau był nieco zakłopotany milczeniem, z jakim przyjmowano te wiadomości. Uznał jednak za stosowne mówić dalej, tylko cokolwiek ściszył głos.

— Nie mogła przyznać się, że nie jechała „Phoceanem”, rozumiecie? Mówi, że postąpiła idiotycznie, że złamała sobie życie. Powiada, że nie mam pojęcia, jacy są jej teściowie. Płacze...

— Zamkniesz się w końcu, czy nie?

To Grazzi; stał obok komisarza, nie ośmielając się spojrzeć na czerwony notes ani schować go do kieszeni, żeby żadnym ruchem nie zwrócić uwagi na swoje nieszczęsne zapiski.

Komisarz Tarquin, ze zgaszonym przez ślinę papierosem, wstał, poklepał przyjaźnie Grazziego dwa razy po ramieniu i powiedział: dobra, pójdzie teraz wysmażyć jakiś raport, a on, Grazzi, niech się tym wszystkim nie przejmuje, co się stało, to się nie odstanie. Dobrze im się dał we znaki ten bandyta i zapłaci im za to prędzej czy później.

— Na razie trzeba kilka dni odczekać. Ale nie dawać za wygraną. Przywarujemy. Była jakaś sprawa, była ofiara, morderca, świadkowie. Teraz nie ma już ani świadków, ani mordercy. A ponieważ ofiary zwykle nie mówią, ja, moi kochani, zrobię to samo. Wychodzę. — Już w drzwiach, wkładając płaszcz, dorzucił: — Wrócę o drugiej, złożymy do kupy wszystko, co się da.

Dyżurny policjant stał w progu, usiłując zwrócić na siebie uwagę Grazziana. Na próżno jednak, bo Grazzi patrzył na komisarza, który i tak nigdy na nikogo nie patrzył.

— Panie inspektorze — odezwał się wreszcie policjant do Grazziana — przyszła jakaś dziewczyna, nazwiskiem Bombat, jest w poczekalni. Mówi, że chce się widzieć z panem, z nikiem innym.

Grazzi słyszał tylko słowa szefa mówiącego, że ostatecznie, jeśli ta kretynka nie zajmowała kuszетки, to ktoś tam jednak spał, skoro w ogóle była zajęta. Chyba logiczne, nie?

Grazzi machinalnie odsunął policjanta, który ciągnął go za rękaw, odsunął również Gaberta, który chwycił go za drugi rękaw (co się temu Gabertowi stało?), i wetknął swój niepotrzebny już notes do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Popatrzył na szefa, na jego lśniąca twarz, na brzuch, duży jak u ciężarnej kobiety, na umykające oczka. Pomyślał: „Dlaczego dużo mniej on mi się dzisiaj nie podoba? Dlaczego wydaje mi się, że jest nawet moim przyjacielem?” A policjantowi odpowiedział: „Tak, tak, idę, zaraz tam do niej przyjdę”.

*KUSZETKA NR 000*

Grazzi? Jouy przy aparacie. Mam dla ciebie Marsylię.

— Kto dzwoni?

— Jeden taki mądrała.

— Sam się nim zajmij, ja mam tę małą na głowie.

— Kiedy on chce mówić z tobą.

— Powiadam ci, sam się nim zajmij.

Georges? Jouy przy aparacie. Co mówi Marsylia?

— „Cholera”, to jedno słowo słyhać wyraźnie. Zdaje się, że to jakiś dzieciak. Mówi, że starczy mu pieniędzy tylko na jedno połączenie. Chce, żeby Grazzi przedzwonił. Czeka w barze. Mówi, że Grazzi będzie wiedział.

— Dawaj mi go.

— Kiedy już się rozłączył.

Jouy? Tu Grazzi. Kto to był, ten z Marsylii?

— Ien przed chwilą? Jakiś dzieciak. Chce, żebyś zatelefonował do niego do baru. Mówi, że będziesz wiedział.

— Powiedział, jak się nazywa?

— Gdybym od rana notował nazwiska wszystkich zgłaszających się na ochotnika detektywów, wypisałbym już cały długopis.

— Dawno dzwonił?

— Z dziesięć minut temu, może kwadrans.

— Jestem z tą małą w gabinecie szefa. Zatelefonuj do baru i przełącz tutaj. Potem daj cynk Prefekturze w Marsylii, żeby im się nie wymknął po skończonej rozmowie. A później złap Pardiego, niech tu zaraz przywiezie szefa.

— Takie ważne?  
— Rób, co ci mówię.  
Pan nazywa się Daniel?  
— Tak. Czy pan dobrze mnie słyszy?  
— Co pan robi w Marsylii?  
— Za długo by opowiadać. Gdzie jest Bambi?  
— Kto?  
— No, panna Bombat, Benjamine Bombat. Wiem, gdzie pan mógłby ją znaleźć.  
— Tak? Proszę sobie wyobrazić, że ja też wiem. Co pan robi w tym barze?  
— Pan wie, gdzie ona jest?  
— Jest tutaj.  
— U pana?  
— U mnie. Proszę tak nie krzyczeć. Co pan robi w tym barze?  
— Już mówiłem, że za długo by tłumaczyć.  
— Mam mnóstwo czasu, ośle jeden! I to my płacimy za rozmowę! Myślałem, że pan już wrócił do domu, do Nicei.  
— Pan wie, kto ja jestem?  
— Musiałbym być głuchy, żeby nie wiedzieć! Od trzech kwadransów nabijają mi głowę głupstwami, jakie pan nawyrabiał.  
— Czy ona jest zdrowa?  
— Jak ryba! Siedzi właśnie przede mną, po drugiej stronie biurka, schowała twarz w dłoniach i oblewa łzami akta komisarza. Ale nic jej nie grozi! To o pana, kretynie, boję się teraz! Do diabła, powie pan wreszcie, po co siedzi pan w tej Marsylii?  
— Z powodu strajku.  
— Jakiego znów strajku?  
— No, przecież na kolei.  
— Jaki to dziś dzień?  
— Wtorek. A bo co?  
— Nie do pana mówię! Niech pan przestanie wreszcie tak krzyczeć! No tak, jest strajk, zgadza się. Może by pan zechciał być taki miły i powiedział, co pan robi w Marsylii. Tylko bez krzyku.  
— Wcale nie krzyczę. Jestem w Marsylii i nie mogę się stąd ruszyć z powodu strajku.

— Kpi pan sobie ze mnie, czy co? Przecież pociąg, do którego wsiadł pan wczoraj wieczorem, już przeszło pięć godzin temu przyjechał do Nicei.

— Kiedy ja tym nie jechałem, wysiadłem jeszcze w Dijon.

— Po co.

— Pan tego nie zrozumie.

— Do diabła ciężkiego, będzie pan odpowiadał na moje pytania, czy nie? Sam pan się przekona, czy zrozumiem! Żeby wrócić?

— Czy ona myślała, że tak zrobię?

— Owszem, że pan tak robi, a nawet, że pan tak zrobił, gdy wracając do domu, zobaczyła światło w swoim pokoju. Tylko że to nie pan na nią czekał, a ta nieszczęsna dziewczyna, która odniosła jej torebkę i w podziękę za to dostała kulę w czaszkę! Teraz już nie żartuję! To całkiem serio! Rozumie pan?

— Znowu kogoś zabili?

— Tę małą Sandrine. Dlaczego pan mówi „oni”?

— Bo ich jest dwóch.

— I to właśnie rozumiał pan wczoraj wieczorem, kiedy zobaczył pan swoją przyjaciółkę na dworcu?

— Wtedy nie rozumiałem jeszcze absolutnie niczego.

— A jednak rozumiał pan, że zabiją kogoś jeszcze! Sam jej to pan powiedział.

— To ja miałem być tym kimś. Jedyne, co rozumiałem, to to, że mnie właśnie szukają.

— Wiedział pan kto?

— Nie. Ale czytając gazety dziś rano, na dworcu w Marsylii, zrozumiałem. Powinienem był domyślić się tego wcześniej, no, ale pan przecież też...

— Pan na pewno jest znacznie lepiej poinformowany od nas i o to właśnie mam do pana pretensje, gamoni! Dlaczego nie zgłosił się pan do nas natychmiast?

— Nie chciałem mieć kłopotów. Zobaczyłem martwą kobietę w przedziale. Wiedziałem, że za chwilę i tak ktoś ją znajdzie. Nie chciałem mieć kłopotów. Ostatecznie, to nie była moja sprawa!

— Nie mówię o sobocie. Ale wczoraj wieczorem dowiedział się pan pewnych bardzo dla nas ważnych rzeczy i wołał pan wrócić czym prędzej do tatusia.

— Nie wiedziałem, że oni znowu zabili! Wiedziałem tylko, że mnie szukają. Zastanawiałem się w pociągu i pomyślałem, że jeśli oddalę się od Bambi, to oni zostawią ją w spokoju. Potem przyszło mi do głowy, że mogą jednak wziąć się i za Bambi, i chciałem wrócić. Najbliższy pociąg z Dijon do Paryża był dopiero dzisiaj rano. A właśnie rano zaczął się strajk. Wsiadłem do pociągu, żeby jechać do Nicei, bo miałem bilet, a poza tym ojciec lepiej by się zajął tą sprawą niż ja. On jest adwokatem.

— Wiem. Więc wyruszył pan do Nicei. To dlaczego wysiadł pan w Marsylii?

— Bo podczas postoju zobaczyłem na peronie gazety. Wtedy właśnie zrozumiałem. Wczoraj wieczorem nie miałem zielonego pojęcia o całej tej historii z loterią i numerami nowych banknotów. Ani o morderstwach.

— Śledził pan Cabourga pierwszego dnia wieczorem. Nie wiedział pan, że został zabity?

— Nie! Najpierw śledziłem Cabourga, potem policję, pana i tego faceta w kurtce z kapturem, a potem chodziłem za Grandinem. Rozumie pan? Łaziłem od jednego do drugiego, to było takie łapaj-uciekaj.

— Co było?

— Łapaj-uciekaj. Wie pan, to taka dziecinna zabawka, polega na tym, że zwierzęta kręcą się jedno za drugim, jakby się nawzajem goniły. No, taka mała karuzela. Ja goniłem kogoś, a ten ktoś gonił mnie, Co gorsza, myliłem się. Temu, co widziałem, nadawałem zwykły sens. Dziś rano, czytając gazety, zrozumiałem, że łapaj-uciekaj zepsuło się i jedno ze zwierząt kręci się w odwrotnym kierunku. Wówczas przyszedłem do tego baru, żeby się przekonać, czy się nie mylę. Dowiedziałem się, że pan poszukuje kelnera, który nazywa się Roger Tramoni. A więc wszystko szło tak, jak przypuszczałem. No, może oprócz tego, że Roger Tramoni prawdopodobnie nie żyje i na próżno pan traci czas. — Właśnie, zgadza się.

— Nie żyje?

— Nie żyje. Od soboty. Wrzucono go do Sekwany. Ale czemu pan śledził mnie? Dlaczego śledził pan Grandina?

— Gdzie jest Bambi?

— Przecież powiedziałem już, że tutaj. Będzie pan słuchał, do diabła?!

— Kto jest tam u pana? Gdzie pan jest?  
— Jak to, gdzie jestem?  
— O Boże! Nie mogę przestać myśleć o jednej rzeczy. Jeśli wczoraj wieczorem on się pomylił i zabił Sandrine zamiast Bambi, to teraz już dobrze wie, która to jest Bambi!  
— Jak to?  
— Gdzie pan jest?  
— W gabinecie komisarza! W Prefekturze! Co tu jej może grozić?  
— Nie wiem. On jest szalony.  
— Kto? Grandin?  
— Nie. Tamten drugi...  
— Posłuchaj, ty wa...  
— Halo?  
— Tak.  
— Halo! Czy pan mnie słyszy?  
— Tak. Posłuchaj, mój mały. Muszę już kończyć. Nie wychodź stamtąd. Słyszysz? Nie wychodź stamtąd.  
— Panie inspektorze!  
— No?  
— Pan zrozumiał?  
— Tak.  
— On tam jest?  
— Tak.  
— Słyszy mnie?  
— Tak.  
Mallet? No i co?  
— Sam już nie wiem, co myśleć. W banku powiedzieli, że sami nas zawiadomili o wszystkim rano tego samego dnia, kiedy ten facet telefonował w sprawie książeczki czekowej.  
— Co to było?  
— Eliane Darres wpłaciła na konto w zeszłym tygodniu sześćdziesiąt tysięcy franków. Słuchaj, Grazzi...  
— A kiedy zostały podjęte?  
— W piątek o jedenastej.  
— Na czyje nazwisko?



— Rahis Alphonse. Prawo jazdy wystawione w departamencie Sekwany. Mam numer. Jouy pojechał sprawdzić. Rysopis z grubsza przypomina rysopis Grandina. Jesteś pewny, że nie popełnimy błędu?

— Nie mam pojęcia.

Grazzi? Jouy przy telefonie. Jedyne Rahis Alphonse, jakiego znalazłem w rejestrze praw jazdy, umarł dwa lata temu w więziennym szpitalu. Oszust, rak wątroby.

— Pasuje. Mógł zwędzić prawo jazdy ze starych akt lub gdzie indziej. Zmienił tylko zdjęcie.

— Szef już wie?

— Przyszedł przed chwilą. Fregard także.

— Uwierzyli?

— Teraz tak.

Pan inspektor Grazziano?

— Słuchaj, mój mały, teraz ja będę stawiał pytania, a ty mi grzecznie odpowiesz, możliwie najdokładniej. Rozumiesz?

— Jak się pan domyślił?

— Nie musiałem się niczego domyślać. Bałeś się. Więc zacząłem kombinować, czego możesz się bać. Pomyślałem o pewnym rewolwerze. A także o książeczce czekowej, która znikła. O tym wszystkim, co powiedziała mi Bambi. O tym, że zawsze byłem wyprzedzany. Teraz posłuchaj mnie uważnie. Siedzę przy biurku mego szefa. Szef siedzi obok i ma drugą słuchawkę przy uchu, jest tu jeszcze dwóch inspektorów, którzy wytrzeszczają na mnie oczy. Rozumiesz chyba, że jeśli się pomyliłeś, to może to być dla wszystkich bardzo nieprzyjemne...

— Nie pomyliłem się.

— Dobra, teraz wytłumacz mi, co robiłeś po wyjściu z pociągu, gdy już zabrałeś swoją walizkę. Pojechałeś z Bambi na ulicę du Bac. Zaczynaj od tego.

— Gdzie on jest? Niech mi pan powie.

— W sąsiednim pokoju. Policja jest u Grandina.

— Nie protestował?

— Nie. Powiedział, że to bzdura.

— Jak on się nazywa?

— Gabert. Jean-Loup Gabert.

— Nosi kurtkę z kapturem, ma długie, falujące włosy, dziewczęce ruchy? To on był z panem?

— Tak, był ze mną. Kiedy zacząłeś chodzić za nami? W sobotę, koło drugiej, trzeciej?

— Nie wiem. Najpierw zjadłem z Bambi obiad. Potem ją zostawiłem... Poszedłem na Gare de Lyon, żeby coś sprawdzić. Zapomniałem apaszki w przedziale obok. To była apaszka mojej matki. Z drukowanym widokiem Nicei. Bałem się, że naprowadzi to policję na mój ślad. Nie miałem odwagi upomnieć się o nią.

— Chwileczkę...

— Sprawdził pan?

— Tak. Mów dalej. Co myślałeś wtedy?

— Że policja złapała mordercę na gorącym uczynku. Nie wiem dlaczego, ale tak mi się zdawało. Myślałem, że to ten chory facet, którego widziałem na korytarzu wagonu. Miałem zresztą rację, bo zatrzymano go w przedziale. Słusznie mi się wydawało. Tylko że tym policjantem, który go zatrzymał, był Gabert.

— Po kolei. Opowiadaj spokojnie. Z Gare de Lyon poszedłeś na Quai des Orfèvres, do Prefektury, tak?

— Tak. Najpierw długo szedłem piechotą, potem wsiadłem do autobusu. Widziałem, jak pan wychodzi z Gabertem. Pan rozmawiał przed wejściem z jakimś człowiekiem. Takim wysokim jak pan. Usłyszałem, że wybiera się pan na ulicę Duperré. Z początku chciałem pana zaczepić. Ale się rozmyśliłem. Wsiadł pan do samochodu i odjechał. Ja też udałem się na ulicę Duperré. Nie wiedziałem, jaki to numer, ale zobaczyłem zaparkowane auto policyjne. Zacząłem szukać w sąsiednich korytarzach. Sam dobrze nie wiedziałem, czego właściwie szukam. W końcu wydało mi się, że wpadłem na lepszy pomysł. Pomyślałem o Cabourgu. I odnalazłem go.

— Po co?

— Nie wiem. Kłócił się w pociągu z kobietą, którą potem uduszono. Nudziło mi się. Sądzę teraz, że odczuwałem potrzebę działania. Rozumie pan? A to był jedyny fakt, jaki znałem. Słyszałem, jak w pociągu mówił, że pracuje w „Proginie”. Zacząłem szukać. Nie byłem pewny, czy nazywa się Labour, czy Cabourg. W pociągu nie zwróciłem na to uwagi. Przez telefon, na wszelki wypadek, powiedziałem niewyraźnie „pan AOUR”.

— Telefonowałeś do „Progrine”?

— Tak. Z kawiarni na ulicy Duperré. Zamówiłem bulion Viandox. W Tuluzie, w internacie, często nam go dają. Przejrzałem książkę telefoniczną. Było tam z dziesięć adresów „Progrine”. Zadzwoiłem do centrali firmy a potem po kolei do wszystkich filii. W trzeciej go znalazłem. Powiedziałem, że jestem agentem i przygotowuję upominki gwiazdkowe dla klientów.

— Wiem. Dostałeś jego adres. Dalej,

— Pomyślałem sobie, że mam czas. Znowu szedłem pieszo. Potem wsiadłem do autobusu. Cabourga nie było w domu, nie świeciło się u niego. Wobec tego czekałem na ulicy. Kupiłem gazetę i znalazłem listę pasażerów. Pomyślałem, że rano się pomyliłem, że wcale nie zatrzymano winowajcy. Cabourg nie nadchodził. Byłem głodny. Wszedłem do restauracji w jego domu, żeby zjeść stek. Jedząc, zobaczyłem nagle Cabourga, który zaglądał przez szybę do środka. A potem odszedł. Zanim zapłaciłem, zanim wyszedłem, on już ruszył w dół ulicy. A za nim ktoś szedł. Policjant w kurtce z kapturem. Na samym dole ulicy Cabourg zaczął biec.

— Która to była godzina?

— Późno. Chyba dziewiąta.

— Dokąd za nimi szedłeś?

— Nie szedłem za nimi. Przed dworcem Cabourg wsiadł do taksówki. Nie wiem, jak się ten dworzec nazywa, to ten, koło którego on mieszka. W Paryżu pełno jest dworców.

— To Gare de l'Est. I tam straciłeś go z oczu?

— Nie. On wsiadł do jednej taksówki, a Gabert zaraz do drugiej i pojechał za nim. Uznałem sprawę za załatwioną, skoro policja śledzi tamtego. No i przede wszystkim nie miałem pieniędzy. W Paryżu nawet głupi stek dużo kosztuje. Wróciłem do Bambi, trochę na piechotę, trochę autobusem. W drzwiach znalazłem kartkę, że Bambi jest u Sandrine, więc tam poszedłem.

— W porządku. Co robiłeś nazajutrz, to już wiem od Bambi. Z rana przyszedliście najpierw na Quai des Orfèvres. Wahaliście się, wejść czy nie. W końcu, koło jedenastej, zobaczyliście wychodzącego Gaberta.

— Wziął taksówkę.

— I pojechał na ulicę La Fontaine, przesłuchać panią Garaudy. A wy pojechaliście za nim. Dlaczego?

— Bo doszedłem do wniosku, że Cabourg nie mógł być tym dusicielem. Po pierwsze, czekając na Bambi przy wyjściu na peron, widziałem go, jak wychodził. A po drugie, że nie był żadnym z tych dwóch mężczyzn, których głosy słyszałem w sąsiednim przedziale. Przeciwnie, wydawało mi się, że mordercą jest ten mężczyzna z korytarza, ten chory, i że to wy się mylicie.

— Więc razem z Bambi śledziłeś Gaberta?

— Tak. Najpierw pojechał na ulicę Duperré. Wsiadłem z taksówki, ale nie zdążyłem wbiec za nim na górę, bo bardzo szybko wyszedł z powrotem.

— Co sobie pomyślałeś?

— Nic. Śledziliśmy go dalej. Udał się na ulicę La Fontaine. Naprzeciw tego domu jest bar. Tam czekaliśmy. Po chwili wszedł na salę i telefonował. Wtedy właśnie przeraziło i mnie, i Bambi to, że policja jest na całkiem fałszywym tropie. W bramie przy ulicy La Fontaine zobaczyłem nazwisko na liście lokatorów. Ta pani Garaudy, której wcale nie znałem, nie mogła być w przedziale, bo to ja zajmowałem tę kuzetkę.

— Wiemy. Dalej.

— No więc śledziliśmy Gaberta. Wrócił na ulicę Duperré. Trochę się nam zgubił po drodze, ale był już tam, gdyśmy przyjechali. Przyczailiśmy się z Bambi w kącie korytarza, bojąc się odetchnąć, a on tymczasem schodził na dół z jakimś chłopakiem, brunetem. Dowiedziałem się potem, że to Erie Grandin, przyjaciel Georgette Thomas.

— Rozstali się na dole. Myśleliście, że Gabert wykonuje swoje funkcje zawodowe. A jednak śledziliście go nadal. Która była godzina?

— Pierwsza, może druga po południu. Znowu wsiadł do taksówki i pojechał do Clichy. Bambi zaczęła protestować, bo te jazdy kosztowały kupę forsy i do niczego nie prowadziły.

— No, zaprowadziły was do Rivolaniego.

— Tak. fén policjant w kurtce z kapturem wszedł do bramy. Czekaliśmy z kwadrans, aż wyszedł. I znowu wziął taksówkę.

— I zgubiliście go. Pomyśleliście, że pewnie wrócił na Quai des Orfèvres albo pojechał do innego świadka, i daliście mu spokój.

— Zjedliśmy obiad w Clichy. Jedząc, przejrzeliliśmy książkę telefoniczną i znaleźliśmy tam adres aktorki.

— i udaliście się do Trocadéro?

— Tak.

— Byłeś już wtedy zupełnie zdecydowany bawić się w detektywa?

— Tak.

— A kiedy byłeś w Vincennes?

— Przedtem. Racja. Do Vincennes pojechaliśmy wcześniej. Tyle tego było, że trochę mi się płacze...

— A dlaczego do Vincennes?

— Słyszeliśmy, jak Grandin mówił o tym na ulicy Duperre, gdy schodził ze schodów. Wydało mi się to czymś niebezpiecznym i bardzo ważnym. Zdawało mi się, że Grandin chce pomóc policji. W każdym razie wyglądało na to, że chce pomóc Gabertowi. Powiedział, że będzie w Vincennes od samego początku gonitw. W Vincennes zostawiłem Bambi przy wejściu, żeby nie płacić za dwa bilety. Grandina zobaczyłem przed okienkiem kasy.

— Co robił?

— Stawiał. Zaczekałem chwilę, ale nic się nie działo. Popatrzyłem sobie na jedną gonitwę. Grandin podszedł znowu do kasy, by postawić.

— Idiota. Mów dalej.

— Wiem. Ale trzymałem się z daleka od niego, tam był zresztą tłum ludzi. Nie wiedziałem o tej historii z loterią, z nowymi banknotami. Dziś rano dopiero zrozumiałem.

— Dalej. Trocadero.

— Tak. Widziałem tam pana z Gabertem. Pan schodził po schodach. Gabert wrócił do kamienicy, pan na niego czekał przez chwilę w samochodzie. Bambi siedziała w herbaciarni, już nie miała sił.

— I to mnie śledziliście.

— Nie. Pan odjechał z Gabertem. Bambi była na granicy wyczerpania nerwowego. Trzeba było zostawić to wszystko. Poszliśmy się przejść, potem do restauracji.

— A na drugi dzień? W poniedziałek?

— Bambi poszła do biura. Ja wróciłem na Trocadero, by porozmawiać z aktorką.

— Po co?

— Chciałem jej wszystko wytłumaczyć. Powiedziała mi to, czego nie wiedziałem. Gdy tam przyszedłem, policjanci stali przed jej drzwiami. Zobaczyłem nadbiegającego Gaberta. Myślałem, że Eliane Darres aresztowano.

— Wyobrażasz sobie, że to tak właśnie aresztuje się ludzi? Z kupą policjantów przed drzwiami?

— Jeśli mam sądzić według tych wszystkich, którzy w tej chwili są tu na sali, nadal tak uważam. Pan chce mnie wsadzić do więzienia?

— Ależ nie. A są tam?

— Są.

— Nie bój się. Powiedz, co odkryłeś wczoraj wieczorem, a ja ci powiem, co masz robić.

— Tb niech pan najpierw powie. A ja powiem później. Jeśli pan zamierza mnie aresztować, to w ogóle będę mówił tylko w obecności mego ojca.

— Słuchaj, mały. Mają nam sprowadzić tutaj Grandina. Gabert jest w sąsiednim pokoju i zaprzecza absolutnie wszystkiemu, o ile mogę wierzyć facetom, którzy tu siedzą.

— A gdzie jest Bambi?

— Siedzi w kącie tego pokoju, z którego mówię. W ręku trzyma wielką kanapkę z masłem i szynką. Wcina z apetytem. Zaraz zrobisz to samo. Powiedziałeś mi już dosyć dużo, ale jeszcze nie wszystko. Pogadamy sobie jeszcze ze dwie minuty, potem oddasz słuchawkę sierżantowi. Ja z nim pogadam, a ty masz grzeczniutko pójść tam, dokąd cię zaprowadzą. A tam znowu do ciebie zadzwonię, rozumiesz?

— Dobrze, ale jednak niech pan zawiadomi mego ojca.

— Wyobraź sobie, że już dawno to zrobiono. No więc wczoraj po południu...? — Bambi wróciła do biura. Nie miałem kluczy i zostawiłem jej pokój nie zamknięty. Była mniej więcej godzina druga, bo kwadrans po drugiej Bambi miała być w pracy. Poszedłem na ulicę Duperré. — Po co?

— Ponieważ rano przed domem Eliane Darrès widziałem Grandina. I, w pewnym sensie to nawet zabawne, on też się ukrywał jak ja. Siedział w wozie, w Dauphinie, który stał opodal. Teraz myślę, że to był ten sam samochód, z którego wysiadał tam Gabert.

— Ulica Duperre. Mów dalej.

— Wszedłem na górę. Pan był wtedy u Grandina. Słyszałem pana głos, stojąc na podeście, nie podchodząc do drzwi. Pan mówił: „Gdy słyszał pan o niejakim Rivolanim, o Eliane Darrès?” Odpowiedział, że nie. Nic już z tego wszystkiego nie rozumiałem. Jak pan wyszedł, ledwo

zdażyłem zejść kilka stopni. Mógł pan usłyszeć, że schodzę przed panem. Zdecydowałem się zawrócić na górę. Wtedy pan mnie zapytał, czy jestem przyjacielem Grandina.

— Więc ten chłopak w ortalionie to ty?

— Ja. Pan już mnie widział na Quai des Orfèvres albo może przed domem aktorki. W każdym razie podsunął mi pan pewien pomysł. Poszedłem do Grandina. Powiedziałem, że studiuje na Sorbonie, że zamierzam założyć studenckie pismo. Rozmawialiśmy trochę. Widziałem wyraźnie, że facet czegoś się boi. Siedziałem u niego chyba z dziesięć minut. Zadawałem pytania, które go denerwowały, na temat jego pokoju, fotografii zwierząt. Nie odważyłem się mówić z nim o zbrodni i zrozumiałem, że ja też się boję. Ale pomyślałem, że jeśli w jakiś sposób naprowadzę rozmowę na pociąg, to będzie całkiem naturalne, gdy on opowie mi, co się przydarzyło jednej z jego znajomych.

— Próbowalesz?

— Próbowalem. Nic mi nie opowiedział. Przeciwnie, od tej chwili zaczął mnie wypytywać. Skąd jestem, kim jestem, skąd mam jego adres, gdzie mieszkam. Wyszedłem. Bałem się. Nie wiedziałem dlaczego, ale zrozumiałem w kilka minut potem, gdy wysiadłem z autobusu, żeby pójść do Bambi. Zobaczyłem, że Dauphine mnie śledzi. Wsiadłem do innego autobusu, potem do metra. Wróciłem do Bambi, zabrałem moją walizkę i odszedłem z ulicy du Bac. Zatelefonowałem do Bambi z kawiarni w Dzielnicy Łacińskiej.

— Dobra, chłopcze. Daj mi sierżanta.

— Zaraz. Pan nie chce wiedzieć, co zrozumiałem dziś rano, czytając gazety?

— Zdaje się, że teraz i ja już zrozumiałem. Przyrzekam, że niedługo znowu do ciebie zadzwonię. Bądź rozsądny i nie denerwuj się.

Pan sędzia Frégard? Tarquín przy aparacie.

— Jest coś nowego?

— Mały Grandin długo nie wytrzyma. Przygwoździmy go tym czekiem. Charakter pisma daje się zidentyfikować z tym na żyro, wiadać, że celowo zmieniony. Podpis Eliane Darrès dobrze podrobiony. To wymagało pracy. Na pewno trafimy także na jakiś papier z próbkami.

— Co dała rewizja u Gaberta?

— Nic. To prawdziwe muzeum broni palnej. Ale żadnego śladu czterdziestki piątki ani forsy. Dowiedzieliśmy się, że jest sierotą od szóstego roku życia, wychowywała go ciotka gdzieś na prowincji. Nie wiem dlaczego, wszyscy tu sobie wyobrażali, że jego ojciec to jakaś gruba ryba.

— Kto go przesłuchuje?

— Grazi. Zna dobrze Gaberta i swój fach. Zabrano go do gmachu naprzeciw Palais de Justice, żeby tu nie robić za dużo sensacji. Myślę, że dziś wieczorem podamy coś niecoś do prasy. Będzie już po wszystkim.

Pardi? Grazi przy telefonie. Wezwałś kogoś z banku i z wyścigów?

— Tak. Dla Fregarda nie będzie to wystarczające. Oni nie mogą tak na sto procent zidentyfikować Grandina.

— Szef przydzielił Alloyau i mnie do Jean-Loupa. Mógłbyś tu przyjść? Twoja kolej.

Oddaję panu słuchawkę, zachowuje się rozsądnie.

— Daniel?

— Tak.-Zmiękli?

— Nie, jeszcze nie. Słuchaj, mały, jedno pytanie i jedna wyraźna odpowiedź...

— Gdzie jest Bambi?

— Poszła do biura. Będzie tu znowu wieczorem. Ty też będziesz mi potrzebny i postaram się to zorganizować. Słuchasz mnie?

— Słucham, panie inspektorze, słucham.

— Nie rozumiem, dlaczego Gabert pozwolił aktorce wyjść z dworca ani dlaczego chciał ją zabić w pociągu. Czy wiesz coś na ten temat?

— To nie aktorkę chciał zabić.

— A kogo? Georgette Thomas?

— Nie! Georgette trzymała z nimi! Pan nic nie zrozumiał. Oni chcieli zabić Bambi.

— A cóż, do licha, Bambi ma z tym wspólnego?

— Bambi lub kogokolwiek innego. To nie było ważne. Georgette Thomas miała zatrzymać jednego z pasażerów w przedziale. Wszystko jedno kogo, byle nie Eliane Darres. Gabert miał wsiąść do wagonu i zabić.



— Właśnie, dlaczego Gabert postanowił zabić kogoś w tym pociągu?

— Na tym przecież polegał cały ich pomysł. Coście zrobili, gdy znaleziono Georgette Thomas? Zaczęliście śledztwo w sprawie morderstwa Georgette Thomas! Potem ginie ktoś z tego samego przedziału. Pomyśleliście sobie: sprzątnięto kompromitującego świadka. Rozumie pan? Gabert dobrze wiedział, jak takie sprawy przebiegają. Odwrócił role! Ktoś, byle kto, miał paść ofiarą zbrodni bez motywów. A właściwa ofiara miała być uznana po prostu za świadka, który znajdował się w tym przedziale, i nikomu by na myśl nie przyszło szukać innych przyczyn tego drugiego morderstwa. Zwłaszcza że Gabert nie zamierzał na tym poprzestać. Miał zabić Cabourga albo Rivolaniego, żeby nadać większe prawdopodobieństwo historyjce o pozbywaniu się świadków. Rozumie pan?

— Tak. Jak do tego doszedłeś?

— Już panu mówiłem. Ponieważ chcieli zatrzymać Bambi w przedziale. Ponieważ Grandin znał aktorkę i znał również Georgette Thomas, ponieważ obie jechały tym samym pociągiem, w tym samym przedziale i ponieważ nawzajem się nie znały. Także dlatego, że jeśli pan sądzi, iż ktoś taki jak Rivolani mógłby być dla kogokolwiek niebezpiecznym świadkiem, to tylko dlatego, że pan nie słyszał, jak on śpi. Pech Georgette Thomas polegał na tym, że wygrała na loterii. Nie mam pojęcia, czego chcieli od aktorki. Ale to wszystko stało się z jej powodu.

— W piątek wieczorem podjęto z konta Eliane Darres sześćdziesiąt tysięcy, fałszując czek. Jest w tym wszystkim coś przerażającego. Ile ty masz lat?

— Kto? Ja? Szesnaście.

— Niesamowite.

Grazzi? Tu Tarquin. Możesz przyjść, gotowe.

— Jak ty to zrobiłeś, szefie?

— Pokazaliśmy mu fotografie tej jego Georgette. Martwej.

## A TAK SIĘ KOŃCZY

Pytanie: — Powiedziałeś nam, że znasz Gaberta od kilku miesięcy. Kiedy poznałeś go z Georgette Thomas?

Odpowiedź: — Mniej więcej przed dwoma miesiącami. Jedliśmy razem obiad w restauracji w Halach.

Pytanie: — Kiedy zdecydowaliście się zamordować Eliane Darrès?

Odpowiedź: — Nie tak zaraz. Spotykaliśmy się od czasu do czasu. Jean-Loup opowiadał o swojej pracy, o kolegach. Z początku mówiliśmy o zbrodni, nikogo określonego nie mając na myśli. Taka sobie zabawa. Śmieliśmy się, bo Georgette była naiwna i dałaby się z pewnością nabrać. No i tak się w końcu stało. Opowiedziałem kiedyś o Eliane, że mam klucze od jej mieszkania i wiem, że ona ma forszę.

Pytanie: — Od dawna nie widywałeś się już wtedy z Eliane Darrès?

Odpowiedź: — Z kilka miesięcy. Wiedziałem, że szukała mnie w kawiarni przy placu Dantona, gdzie się poznaliśmy, ale już tam nie chodziłem. Tb była przebrzmiała sprawa.

Pytanie: — Kto wpadł na pomysł wyjazdu?

Odpowiedź: — My, wszyscy troje. Każdy coś dorzucił, ale to ciągle jeszcze były żarty. Potem Jean-Loup zwrócił mi uwagę, że to wszystko gra i że byłoby głupotą zmarnować taki pomysł. Jak zrozumiałem, że zaczyna się serio, przestraszyłem się. Mówiłem o tym z Georgette. Powiedziała: „Posłuchajmy go, to jeszcze do niczego nie zobowiązuje”. Któregoś wieczoru poszliśmy do niego, mieszka przy moście Austerlitz. Pokazywał nam swoje rewolwery. Mówił, że jeden jest z tłumikiem. Nie byłoby żadnego ryzyka, ponieważ on działałby też i po drugiej stronie. Miał się tak urządzić, aby być na Quai des Orfèvres, jak przyjdzie meldunek. No i zawsze by wiedział o wszystkim, co się dzieje.

Pytanie: — Czy pomysł zabicia kogoś przedtem był jego?

Odpowiedź: — Mówił, że najlepszy sposób to popełnić najpierw zbrodnię doskonałą, bez żadnych motywów. Jeśli śledztwo potoczy się w sprawie dokonanego morderstwa i zabijemy jeszcze dwóch świadków — a wśród nich właściwą ofiarę — to, mówił, nie ma żadnego ryzyka. Znał tych, z którymi pracował. Prowadziliby dochodzenie w sprawie pierwszego zabójstwa. Dwa pozostałe połączyliby po prostu z pierwszym. A pierwsza zbrodnia byłaby bez żadnego motywu.

Pytanie: — Więc Gabert planował trzy morderstwa? I to cię nie odstraszyło?

Odpowiedź: — Nie wiem. Nie bardzo wierzyłem, że to wszystko prawda. Tb Georgette wahała się. I tego samego wieczoru, po powrocie od Jean-Loupa, rozmawiałem z nią o tym. Uważałem, że Jean-Loup rozumuje prawidłowo. A poza tym, gdy uzgodniliśmy, że zabijemy, to ilość ofiar niczego nie zmieniała. Teraz też tak myślę.

Pytanie: — Pomimo Rivolaniego i małej Sandrine?

Odpowiedź: — Wtedy nie wiedziałem, kto to będzie. A teraz, gdy mówię, że ilość nie gra roli, jest to dla mnie czymś abstrakcyjnym, nie widzę twarzy tych osób. Zresztą nigdy nie widziałem ani Rivolaniego, ani Cabourga, ani tej młodej dziewczyny. Prawdopodobnie dlatego oboje z Georgette mieliśmy wrażenie, że to wszystko nie jest prawdziwe,

Pytanie: — Kiedy postanowiliście zrealizować wasze plany?

Odpowiedź: — Gdy dowiedziałem się, że Eliane jedzie na Południe kręcić film.

Pytanie: — A kiedy się o tym dowiedziałeś?

Odpowiedź: — Na jakieś dwa dni przed jej wyjazdem, tego dnia, kiedy znalazłem u niej książeczkę czekową. Obserwowałem jej dom od kilku dni. Gdy wychodziła, korzystałem z kluczy, jakie miałem, i wchodziłem do jej mieszkania. Niczego nie ruszałem. Szukałem książeczki czekowej. Ale nigdy jej nie zostawiała. Któregoś popołudnia musiała się widocznie bardzo śpieszyć, bo wyszła bez torebki. Znalazłem w torebce książeczkę czekową i list angażujący Eliane do filmu w Aix-en-Provence. Wyciąłem żyłką ze środka książeczki jeden pusty czek, Jean-Loup miał zniszczyć resztę, gdy tylko zacznie się śledztwo, żeby nie zdążyli jej sprawdzić.

Pytanie: — Skąd wiedziałeś, ile jeszcze ma na koncie?

Odpowiedź: — W sekreterze trzymała rozliczenia bankowe. Często je widywałem. Była bardzo skrupulatna w sprawach pieniężnych. Sprawdziłem w książeczce, czy przypadkiem nie podjęła już jakiejś większej sumy.

Pytanie: — Kiedy wypełniłeś ten czek?

Odpowiedź: — Ib nie ja, to Georgette. Zabrało to nam dwa wieczory. Podrobiliśmy podpis Eliane ze starej polisy ubezpieczeniowej, którą zabrałem z sekretery.

Pytanie: — Przecież podpis złożony w banku mógł być inny.

Odpowiedź: — Trudno, trzeba było ryzykować. Miałem podjąć czek w piątek rano. Jakby coś nie grało, odwołałoby się całą imprezę. Jean-Loup skombinował mi prawo jazdy na nazwisko Rahis. Zamieniliśmy fotografie. W banku czekałem bardzo długo, ale w końcu nie robiono żadnych problemów.

Pytanie: — Skąd wiedzieliście, że Eliane Darres będzie wracała z Marsylii w piątek pociągiem wieczornym?

Odpowiedź: — Jean-Loup pod jakimś pretekstem poprosił o listę rezerwacji na pociągi i samoloty z Marsylii i Nicei. Myśleliśmy, że Eliane zostanie w Marsylii do środy wieczorem, a może nawet do czwartku. Jej angaż kończył się w środę. Georgette załatwiła sobie w „Barlin”, gdzie miała dość dużą swobodę ruchów, by przesunęli jej termin dwóch podróży do Marsylii, żebyśmy się tam mogli spotkać.

Pytanie: — Mielicie ją uprzedzić, żeby zakupiła miejsce w tym samym przedziale, prawda?

Odpowiedź: — Nie, to nie musiał być ten sam przedział. Nie wiem, dlaczego wzięła akurat ten sam. Miała po prostu jechać tylko tym samym pociągiem. Gdyby wróciła w czwartek, powiedziałyby w „Barlin”, że źle się czuła.

Pytanie: — Czy sądzisz, że umyślnie wybrała ten sam przedział?

Odpowiedź: — Jak tylko wygrała los na loterii, chciała wszystko zostawić. Zapomniała, że przecież już w piątek podjąłem czek. A jej telegram otrzymałem właśnie dopiero w piątek.

Pytanie: — Dlaczego chciała was powstrzymać? Dlatego że miała teraz siedem tysięcy zamiast sześćdziesięciu?

Odpowiedź: — Pan nie znał Georgette. Nawet gdyby wygrała połowę tego, ćwierć, jedną dziesiątą, uznałaby to za przestrożę nieba. I też chciałaby wszystko zatrzymać. Jeszcze nigdy nic nie wygrała.

Pytanie: — Pamiętasz treść jej telegramu?

Odpowiedź: — Tak. „Projekt niemożliwy. Wy tłumaczę potem. Georgette.” Sądziłem, że ma pietra. W każdym razie dostałem to w piątek, już po zrealizowaniu czeku.

Pytanie: — Musiała go jednak wysłać natychmiast. Zresztą dowiedzielibyśmy się o tym.

Odpowiedź: — Podała adres „Dupont-Latin”. W tej kawiarni zostawiam często różne rzeczy na przechowanie. Odebrałem go dopiero w piątek wieczorem.

Pytanie: — Czy to tam chowaliście pieniądze? I rewolwer?

Odpowiedź: — Tak. W walizce Jean-Loupa.

Pytanie: — Załóżmy, że Georgette Thomas, ponieważ była niespokojna i myślała, że uda jej się czemuś zapobiec, postarała się o miejsce właśnie w przedziale Eliane Darres. Czy wiedzieliście o tym, zanim się tam zjawiała?

Odpowiedź: — Nie. To znaczy, ja nie, ale Jean-Loup wiedział, bo przecież znał listę rezerwacji miejsc. Prawdopodobnie zrobiła to właśnie po to, żeby się o tym dowiedział i żeby ogarnął go strach. Nie wolno było dopuścić, aby ktokolwiek z nas zeznawał jako świadek.

Pytanie: — A jak tłumaczysz to, że po przyjeździe starała się jednak zatrzymać w wagonie tę młodą dziewczynę z Awinionu?

Odpowiedź: — To jest niezrozumiałe. Georgette już taka była. Przypuszczam, że w ostatniej chwili opanował ją lęk, że to przez nią, przez to, iż nie zrobiła, co do niej należało, mogą nas nakryć.

Pytanie: — Kiedy dowiedziałeś się, że to ją zamordowano?

Odpowiedź: — O jedenastej, gdy przyszedłem do Jean-Loupa. Mieliśmy się spotkać u niego. Jean-Loup akurat przyszedł prosto z Gare de Lyon, tuż po pierwszych oględzinach. Tramom siedział zamknięty u niego w mieszkaniu. Jean-Loup wyjaśnił mi, że będziemy musieli się podzielić. Byłem jak ogłuszony, nie reagowałem.

Pytanie: — W jaki sposób udało się Gabertowi odstawić Tramoniego do siebie?

Odpowiedź: — Miał samochód Georgette. Zatrzymał Tramoniego i powiedział, żeby nie protestował, może da się w jakiś sposób wyciągnąć go z tego. Tb był żaloszny facet, ten Tramom.

Pytanie: — Kiedy go zabiliście?

Odpowiedź: — Kiedy wrócił po zainkasowaniu wygranej z ulicy Croix-des-Petits-Champs. Nie wiedziałem, że Jean-Loup ma go zabić. Myślałem, że wystarczy, że Georgette nie żyje. W mieszkaniu przy moście Austerlitz wyciągnął rewolwer z tłumikiem. Tramom właśnie przeliczał banknoty, nic nawet nie zauważył. Ciało schowaliśmy pod łóżko. W nocy, między drugą a trzecią, zanieśliśmy je do samochodu Georgette. Wrzuciliśmy je do Sekwany z bulwaru Râpée.

Pytanie: — Następnie, ponieważ czek był podjęty, zabiliście Eliane Darres. Ale po co Cabourga?

Odpowiedź: — Jean-Loup powiedział najpierw, że musimy nadal wykonywać to, co zaplanowaliśmy. Mówił: „Zacieramy ślady”. Potem przyznał mi się, że się pomylił, że ma kłopoty.

Pytanie: — Spostrzegł się, że słyszano, jak uprowadzał Tramonie-go, że ktoś był w sąsiednim przedziale?

Odpowiedź: — Tak. Wiedział, że jest jakiś świadek, ale nie wiedział, kto. Zorientował się, gdy wrócił z panem na Gare de Lyon, by kontynuować śledztwo. Zauważył, że w przedziale jest tylko jedna walizka, a były dwie. Myślał, że to Georgette miała dwie walizki ze swymi próbkami. Jeśli ktoś wchodził do przedziału przed konduktorem, to ten ktoś mógł go zobaczyć. I ten ktoś był z pewnością pasażerem przedziału, skoro zabrał walizkę.

Pytanie: — To wszystko?

Odpowiedź: — Nie. Zdarzyło się jeszcze coś w czasie podróży, co wydało mu się niebezpieczne. Sprzeczka Georgette z Cabourgiem. Tramo-ni nam o tym powiedział. Cabourg telefonował do pana wieczorem. Jean-Loup mówił mi później, że nie ma zamiaru ryzykować. Poszedł za Cabourgiem i zabił go w toalecie hali sportowej podczas przerwy. Dowiedziałem się o tym dopiero nazajutrz.

Pytanie: — Kto wpadł na pomysł z windą?

Odpowiedź: — Ja. Kiedyś długo musiałem czekać na Eliane na schodach i potem przetrzymałem ją, dla żartu, w windzie. Wytlumaczyłem Jean-Loupowi, jak to się robi.

Pytanie: — To nie ty zabiłeś Eliane Darrès?

Odpowiedź: — Nie zabiłem nikogo. Sam już nie wiedziałem, jak go powstrzymać. Po usunięciu Tramoniego myślał tylko o zabijaniu. Mówił, że jak raz się zacznie, to już potem idzie gładko. O śmierci Ri-

volaniego dowiedziałem się z gazet dziś rano. A od pana, że zabił również tę młodą dziewczynę.

Pytanie: — Kiedy Gabert dowiedział się, że pani Garaudy nie jechała pociągiem?

Odpowiedź: — Od samego początku, bo przecież rozmawiał telefonicznie z kontrolerami, zaraz pierwszego dnia. Oni zaznaczają obecność pasażera na listach. Przy pani Garaudy znaczka nie postawili. Jean-Loup po prostu tylko to przemilczał. Gdy przesłuchiwał panią Garaudy, wiedział, że ona kłamie, ale ponieważ twierdziła, że jechała tym pociągiem, mogła was tylko zmylić.

Pytanie: — Gabert wiedział również, że ktoś jednak zajmował jej miejsce w przedziale. Czy to go nie zaniepokoiło?

Odpowiedź: — Owszem. Było zresztą jeszcze wiele innych spraw, które go niepokoiły Głupstwa, które wyczyniał Tramoni. Znadto pokazywał się w pociągu. Znalazł poza tym bilet loteryjny Georgette w fiolce po aspirynie. Dowiedzieliśmy się później, świadkowie to sobie przypomnieli, że Georgette wyjęła tę fiolkę z walizki. Pewnie wołała ją mieć w torebce, przy sobie. Nieraz robiła takie numery. Ale Tramoni, jakby nie mógł wymyślić nic lepszego, włożył pustą fiolkę z powrotem do jej walizki. Jean-Loup mówił zawsze, że wpada się właśnie przez takie głupie drobiazgi.

Pytanie: — Czy Tramoni wyjaśnił, w jaki sposób dowiedział się o tych siedmiu tysiącach franków?

Odpowiedź: — Tb był żaloszny facet. Gdy go zobaczyłem u Jean-Loupa, trząsł się cały jak galareta. Powiedział nam, że chciał jej tylko odebrać los. Potem nie chciał, żeby krzyczała. Notował sobie wszystkie numery biletów loteryjnych, jakie sprzedawał. Ponieważ Georgette nie chwaliła się, że wygrała, myślał, że nie sprawdzała jeszcze tabeli w gazecie, że jeszcze nie wie. Wziął urlop, jaki mu się w tym roku należał, i jechał za nią aż do Paryża. Nie mam pojęcia, jak zamierzał postąpić. Myślę, że nie był zbyt mądry.

Pytanie: — A jak wy zamierzaliście postąpić?

Odpowiedź: — Nie wiem. Wierzyłem Jean-Loupowi. Gdy omawialiśmy to w trójkę, u niego, wszystko wydawało się proste, nie wyobrażaliśmy sobie konkretnych twarzy. Nigdy przedtem nie widziałem rewolweru, dopiera on mi go pokazał.

Pytanie: — Dlaczego go nienawidzisz?

Odpowiedź: — Wcale go nie nienawidzę.

Pytanie: — Dlaczego zwalasz winę na niego?

Odpowiedź: — Bo to już nie ma znaczenia. To już niczego nie zmieni. Czek i tak był już podjęty, gdy Jean-Loup wsiadał do pociągu. Gdyby Trameni nie zabił Georgette, on by to zrobił. Jestem pewny. Musiał kogoś zabić.

Pytanie: — Jaki był cel waszego planu?

Odpowiedź: — Nie rozumiem pytania.

Pytanie: — Dlaczego to zrobiliście?

Odpowiedź: — Nie wiem. Był projekt, żeby wyjechać do Południowej Afryki lub do Australii. Najpierw pojechałbym ja, z tymi sześćdziesięcioma tysiącami Eliane, nieco później Georgette. Może też i Jean-Loup. Nie wiem. Wyjechalibyśmy. Coś byśmy zrobili.

Człowiek zwany Grazzi siedział sam w gabinecie komisarza, z łokciami na blacie biurka, z czołem na lewej dłoni, w prawej ręce trzymał dwie ostatnie kule ze Smitha & Wessona. Myślał o swym małym synku, który miał trzy lata i osiem miesięcy i spał teraz z piąstkami zaciśniętymi na poduszce, i o różnych takich głupstwach... Gdy komisarz wszedł do pokoju, Grazzi powoli ustawił przed nim obie kule.

Tarquin popatrzył na niego, zamknął drzwi, cisnął na stół przyniesione maszynopisy i powiedział: „Jak tam zdrówko, panie Holmes, chciałem wieczorem iść do kina, ale coś mi się wydaje, że mam to z głowy”. Wyjął papierosa z górnej kieszeni marynarki, powiedział: „len bydlak Fregard miał minę, jakby mu ulżyło... zawsze mi buchnie zapalaki, daj no ognia”.

Drzwi otworzyły się znowu i Mallet wsunął głowę, by oznajmić, że ta mała jest na korytarzu.

— Do licha — powiedział Grazzi — byłbym zapomniał.

Zamówił telefon do Marsylii. Powiedział do komisarza, że zaraz ustąpi mu miejsca, tylko „musi sprowadzić tego chłopaka do Paryża”. Młoda dziewczyna o jasnych włosach weszła niepewnym krokiem do gabinetu i komisarz powiedział: „Niechże pani wchodzi, moje dziecko, proszę sobie usiąść na tym fotelu. Jak się pani pracuje w biurze?”

Nie odpowiedziała. Stała przy stole, a lampa oświetlała jej ładną, nieco pobladłą twarz. Grazzi patrzył na nią, mówiąc do telefonu:



— Słuchaj, mały. Teraz jest dziewiętnasta. Za godzinę przetransportują cię do Marignane. Uzgodniłem to z twoim ojcem. Zabierze cię wojskowy samolot, który leci z Algierii. Będę czekał na lotnisku Bourget.

— O której tam będę?

— Około dwudziestej trzeciej. Co do dzisiejszej nocy, uzgodniłem to z twoim ojcem. Jutro on sam zjawi się tutaj.

— Żeby mnie bronić?

— Nie, żeby ci przywieźć czystą bieliznę. Może trzeba będzie, żebyś zobaczył Gaberta i Grandina, możesz to zrobić?

— Jeśli już mam się z kimś widzieć, wolałbym zobaczyć kogo innego.

— Daję ci piętnaście sekund i rozłączam.

Bambi, wyprostowana, w swoim niebieskim płaszczku, ze złotymi włosami rozświetlonymi lampą, wzięła słuchawkę, a komisarz zaciągnął się papierosem, obsypując sobie marynarkę popiołem; ściągnięta ze zmęczenia twarz lśniła mu jak zawsze.

Grazzi okrążył stół. Głos chłopca, który mówił na tamtym końcu linii, dobiegał do niego wyraźnie. Panna Benjamine Bombat stała w świetle lampy wyprostowana, odwrócona do nich plecami i odpowiadała tylko milczącymi ruchami głowy: tak, tak, tak. Chłopak mówił: „Słyszysz mnie, halo, przywiozą mnie, halo, zobaczę cię, zobaczę cię dziś wieczór, halo, słuchasz mnie, dlaczego milczysz, Bambi?” Mówił: „Bambi, moja kochana, Bambi”, a ona, bez słowa, jedynie ruchem swych jasnych włosów, oświetlonych lampą, odpowiadała: tak, tak, tak.

Paryż, styczeń 1962